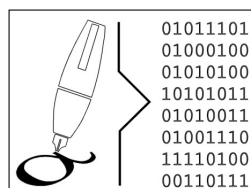


# Philip K. Dick

## Cudowna broń

Przekład: Małgorzata Fiałkowska, Cezary Frąc



System naprowadzania — system 207, składający się z sześciuset miniaturowych elementów elektronicznych, najwygodniej zbudować w formie lakierowanej ceramicznej sowy. Nieoświeconym wydaje się ona jedynie ozdobą, jednak poinformowani wiedzą, że po zdjęciu głowy ptaka odsłania się puste wnętrze, gdzie można przechowywać cygara albo ołówki.

Oficjalny raport ONZ, Rada Bezpieczeństwa Bloku Zachodniego, 5 października 2003, Concomody A (prawdziwa tożsamość podlega utajnieniu ze względów bezpieczeństwa; patrz zarządzenie Rady XV 4 — 5 — 6 — 7 — 8).

# 1.

— Panie Lars.

— Obawiam się, że nie mam wiele czasu na rozmowę. Przykro mi.

Ruszył dalej, ale autonomiczny reporter telewizyjny z kamerą w dłoni zastąpił mu drogę. Twarz istoty rozpromienił metaliczny, pewny siebie uśmiech.

— Zaczyna, pan wpadać w trans, sir? — spytał z nadzieją autonomiczny reporter, jakby takie zjawisko mogło rzeczywiście zajść tuż przed jego kamerą z obiektywami o zmiennej ogniskowej.

Lars Powderdry westchnął. Stał na bieżnicy dla pieszych, skąd było widoczne jego nowojorskie biuro. Widoczne, lecz nieosiągalne. Zbyt wielu ludzi, zbyt wielu prosapów interesowało się nim, a nie jego pracą. Tymczasem liczyła się jedynie praca.

— Chodzi o czas — rzekł znużonym głosem. — Nie rozumiesz? W świecie wzornictwa militarnego...

— Tak, dochodzą nas słuchy, że odbiera pan coś naprawdę imponującego — rozgadał się reporter, który podtrzymywał rozmowę nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co powiedział Lars. — Cztery transy w ciągu jednego tygodnia. To praktycznie na okrągło! Czyż nie tak, sir?

Autonomiczny twór był idiotą. Lars cierpliwie próbował dać mu to do zrozumienia. Nie obchodziło go, że zwraca się również do całych zastępów prosapów, głównie pań, które oglądają poranny program „Pięć minut z Radosnym Włóczęgą”, czy jak go tam zwą. Bóg świadkiem, że Lars nie wiedział. W jego rozkładzie dnia brakowało czasu na tego rodzaju jałowe rozrywki.

— Posłuchaj — rzekł łagodnie, jakby autonomiczny reporter był żywą istotą, nie zaś jedynie losowo wyposażonym w pewne cechy psychiki rozumnym wytworem pomysłowości technologii Zachbloku *anno domini* 2004.

Pomysłowość, przyszło mu na myśl, zmarnowana w taki sposób... chociaż, jak się dobrze zastanowić, czyż jego własna działka nie jest równie odrażająca? To raczej nieprzyjemna refleksja.

Wyparł ją z umysłu i powiedział:

— W świecie wzornictwa militarnego nowy projekt musi pojawić się w określonym momencie. Jutro, za tydzień lub za miesiąc jest za późno.

— Proszę nam powiedzieć, co to takiego — rzekł reporter i z powściąganą zachłannością czekał na odpowiedź.

Jakże ktokolwiek, nawet pan Lars z firmy w Nowym Yorku i Paryżu, mógłby rozczarować miliony widzów w całym Zachłoku, w dziesiątkach państw? Sprawienie im zawodu równałoby się słuzeniu interesom Wschodniego Oka. W każdym razie to dawał do zrozumienia autonomiczny reporter. Lecz usiłowania reportera spełzły na niczym.

— Szczerze mówiąc — odparł Lars — to nie twoja sprawa.

Wolnym krokiem minął grupkę pieszych gapiów i rezygnując z chwały związanej z publicznymi wystąpieniami, podążył w stronę biura firmy Lars Incorporated, jedno-piętrowego budynku, jakby umyślnie postawionego pośród wysokich biurowców, których same już rozmiary świadczyły o tym, jak ważne spełniają funkcje.

Fizyczne rozmiary, pomyślał Lars, gdy dotarł do holu dla interesantów, nie są właściwym kryterium.

Nawet autonomiczny reporter nie dał się zmylić; chciał pokazać w telewizji właśnie Larsa Powderdrya, nie zaś przemysłowców, których miał wokół siebie pod dostatkiem. Chociaż przemysłowcy z miłą chęcią zatrudniliby ekspertów od reklamy i propagandy do promocji własnych produktów.

Drzwi biura firmy Lars Incorporated zamknęły się. Nastawiono je na częstotliwość fal mózgowych Powderdrya. Był bezpieczny, odizolowany od tłumu gapiów, których ciekawość rozbudzili profesjonaliści. Prosapy zostawione samym sobie, miały do sprawy rozsądne podejście; były mianowicie obojętne.

— Panie Lars.

— Tak, panno Bedouin. — Zatrzymał się. — Wiem. Wydział do spraw szkiców twierdzi, że mój projekt numer 285 nie trzyma się kupy.

Nic na to nie mógł poradzić. Po piątkowym transie obejrzał projekt i na własne oczy przekonał się, że to groch z kapustą.

— Powiedzieli... — zawiesiła z wahaniem głos.

Była młoda i drobna, nieprzystosowana, jeśli wziąć pod uwagę jej temperament, by znosić przykrości ze strony ludzi, dla których pracowała jako rzecznik.

— Porozmawiam z nimi osobiście — powiedział Lars zdobywając się na współczucie. — Szczerze mówiąc wygląda mi to na samoprogramującą się trzepaczkę do jajek umieszczoną na trzech kółkach.

I co niby można tym zniszczyć? — zadał sobie pytanie.

— Och, oni chyba uznali to za wspianiałą broń — rzekła panna Bedouin, a jej naturalne, powiększone hormonalnie piersi poruszyły się, co Lars natychmiast zauważył. — Sądzę, że po prostu nie potrafią określić, co jest źródłem zasilania. Wie pan, struktu-

ra zasilania. Zanim przejdzie pan do projektu 286...

— Chcą, żebym uważniej przyjrzał się projektowi 285 — powiedział.  
— W porządku.

Nie przejmował się tą sprawą. Pogodny kwietniowy dzień przyjaźnie nastrajał go do świata. Poza tym panna Bedouin (lub panna Bed, jeśli chciałoby się spojrzeć na to w ten sposób, łóżko to w końcu dobra rzecz) wystarczająco ładna, by przywrócić witalność każdemu mężczyźnie. Nawet projektantowi mody — projektantowi mody militarnej.

Nawet, pomyślał, najlepszemu i jedynemu projektantowi mody militarnej w całym Zachodnim Bloku.

Aby znaleźć godnego go rywala, choć zdaniem Larsa istnienie kogoś takiego było nader wątpliwe, należałoby przenieść się na drogą półkę do Wschodniego Oka. Blok Sino — Sowiecki posiadał, zatrudniał lub w inny właściwy sobie sposób wykorzystywał medium takie samo jakim był Lars.

Powderdry często o niej myślał. Nazywała się Topczew; tak poinformowała go agencja prywatnej policji planetarnej, KACH. Lila Topczew. Urzędowała tylko w jednym biurze i to nie w Nowej Moskwie, lecz w Bułganingradzie.

Odniosł wrażenie, że jest osamotniona, ale KACH nie wypowiadał się na temat subiektywnych własności osób, o których zbierał informacje.

Być może, zastanawiał się, panna Topczew robi swoje projekty broni na drutach... albo układa je w transie z płytek ceramicznych o wesołych barwach. W każdym razie ma to coś wspólnego ze sztuką. I nie obchodzi ją klient — albo raczej zleceniodawca, jakim jest organ rządzący Wschodnim Okiem, mianowicie SeRKeB, ponura, bezbarwna i surowa holistyczna akademickość, przeciwko której jego półkula zawzięcie pracuje od wielu dziesiątków lat.

Bo rzecz jasna należy dostosować się do zachcianek projektanta mody militarnej. Za swojej kadencji Lars zdążył się o tym przekonać.

W końcu nie musiał czuć się w obowiązku wpadać co tydzień w trans każdego z pięciu dni. Podobnie Ula Topczew.

Lars opuścił pannę Bedouin i wszedł do swego gabinetu zdejmując po drodze wierzchnią odzież: pelerynę, czapkę i pantofle. Wszystko schował do szafy.

Wkrótce wypatrzył Larsa opiekujący się nim zespół medyczny w osobach doktora Todta i siostry Elwiry Funt. Podnieśli się z miejsc i pełni szacunku podeszli do Powderdry. Był z nimi obdarzony własnościami bardzo zbliżonymi do psionicznych quasi — podwładny Larsa, Henry Morris.

Nigdy nie wiadomo, pomyślał Lars wnosząc z czujności swego personelu, kiedy nadejdzie trans.

Siostra Funt ciągnęła za sobą buczącą maszynę do iniekcji żylnych, a doktor Todt, najwyższej klasy produkt wysoko rozwiniętej zachodniemieckiej nauki medycznej,

gotów był w błyskawicznym tempie wykorzystać delikatne urządzenia do dwóch głównych celów: by po pierwsze, nie dopuścić do zatrzymania akcji serca w czasie transu, do pojawienia się zatorów płucnych oraz nadmiernego hamowania funkcji nerwu błędnego, które powoduje ustanie oddechu i uduszenie, i po drugie — bez tego zaś warunku całe przedsięwzięcie nie miałoby najmniejszego sensu — że podczas transu przez cały czas będzie rejestrowana aktywność umysłowa Powderdrya i jej zapis można będzie potem odczytać.

Z tego powodu doktor Todt był niezbędny dla działalności firmy Lars Incorporated. W filii paryskiej czekał na wszelki wypadek podobny, równie dobrze przeszkolony zespół. Często bowiem zdarzało się, że Lars Powderdry miał tam silniejsze emanacje niż w rozgorączkowanym Nowym Yorku.

Poza tym w Paryżu mieszkała i pracowała jego kochanka Maren Faine.

Słabością, czy raczej, jak wolał myśleć Lars — zaletą projektantów mody militarnej było to, że w odróżnieniu od swych żalonych odpowiedników w świecie mody odzieżowej lubili kobiety. Jego poprzednik, Wade, także heteroseksualista, dosłownie wykończył się przez pewną malutką właścicielkę sopranu koloraturowego należącą do zespołu Dresden Festival. Pan Wade dostał migotania przedsionków w bardzo niestosownym momencie: o drugiej nad ranem w jej mieszkaniu mieszczącym się w wiedeńskim kondominium, długo po tym jak opadła kurtyna po przedstawieniu „Wesela Figara” i po tym jak Rita Grandi na darmo — co podała do publicznej wiadomości niezawodnie czujna homeogazeta — zdjęła jedwabne pończochy, bluzkę i tak dalej.

Tak więc w wieku czterdziestu trzech lat pan Wade, poprzedni projektant mody militarnej na Blok Zachodni, zszedł ze sceny zostawiając tak ważne dla społeczeństwa stanowisko nieobsadzonym. Na jego miejsce czekali jednak liczni potencjalni następcy.

Być może to właśnie przyspieszyło śmierć pana Wade’a. Praca, jaką się zajmował nadwreżęła organizm, medycyna nie wie dokładnie w jakim stopniu i na czym to polega. Oprócz tego, przyszło Larsowi na myśl, nie ma nic bardziej dezorientującego od świadomości, że jesteś niezastąpiony, lecz zarazem można cię zastąpić kimś innym. Tego rodzaju paradoks nikogo nie bawił, z wyjątkiem, rzecz jasna, NZ-Z Narbez-u, Rady rządzącej Zachłokiem, która to zawsze miała pod ręką następcę aktualnego projektanta.

Teraz pewnie też ktoś czeka na mój stołek, pomyślał Lars.

Lubią mnie, pomyślał. Byli wobec mnie w porządku, a ja wobec nich. System działa.

Jednak najwyższe organa władzy, odpowiedzialne za życie bilionów prosapów, nie podejmują ryzyka. Nie robią tego, czego kogom robić nie wolno.

Nie żeby prosapy miały ich zwolnić z urzędów... doprawdy nic podobnego. Zwolnienie zstępuje z góry od generała George’a McFarlane’a Nitza, wodza Narbez-u. Nitz może usunąć każdego. W zasadzie usunąłby nawet samego siebie, gdyby zaistniała taka konieczność (lub choćby jedynie możliwość). Łatwo wyobrazić sobie satysfak-

cję, jakiej doznałby w momencie rozbrajania własnej osoby i zdzierania z czaszki identyfikatora, dzięki któremu akceptują go autonomiczni wartownicy stojący na straży Festung Waszyngtonu!

Prawdę mówiąc, wzięwszy pod uwagę fakt, że generał Nitz ma w sobie wiele z policjanta i wielkiego specja od przeprowadzania czystek z powodu swych...

— Pańskie ciśnienie, Lars — rzekł ponury, tyczkowaty, z wyglądu podobny do księdza doktor Todt, który zbliżył się do Powderdrya ciągnąc za sobą maszynę medyczną. — Proszę pozwolić.

Za doktorem Todtem i siostrą Elwirą Funt podniósł się z miejsca szczupły, łysy i blade jak kreda, lecz wyglądający na wysokiej klasy specjalistę młody człowiek ze skoroszytem pod pachą ubrany w uniform w kolorze grochówki. Lars Powderdry natychmiast wezwał go do siebie gestem dłoni. Pomiar ciśnienia krwi mógł poczekać. To był facet z KACH-u i przyniósł coś ze sobą.

— Panie Lars, czy możemy przejść do pańskiego gabinetu? — spytał człowiek z KACH-u.

— Zdjęcia — rzekł Lars w drodze do gabinetu.

— Tak, sir — odparł człowiek z KACH-u starannie zamykając za sobą drzwi. — Jej szkiców z... — otworzył skoroszyt i przestudiował zrobiony na ksero dokument — z ostatniej środy. Sygnatura AA — 335. — Znalazłszy wolne miejsce na biurku Larsa, zaczął rozkładać stereofotosy. — Do tego niewyraźne zdjęcie modelu znajdującego się w laboratorium Akademii Rostockiej. Jest to model... — Znowu zerknął do notatek. — z sygnaturą SeRKeB-u AA — 330.

Odsunął się, aby Powderdry przejrzał dokumenty.

Lars usiadł, zapalił cygaro marki Cuesta Rey Astoria, lecz dokumentów nie przejrzał. Był otępiały i cygaro mu nie pomogło. Nie bawiło go niuchanie pośród zdobytych przez szpicli wytworów działalności jego odpowiedniczki we Wschodnim Oku, panny Topczew. Niech NZ-Z Narbez sam zrobi analizę! Parę razy powiedział nawet o tym generałowi Nitzowi: raz na zebraniu całej rady, kiedy to wszyscy uczestnicy wbili się w najbardziej dostojne i uroczyste wyjściuchy — prestiżowe peleryny, turbany, buty, rękawiczki... i prawdopodobnie bieliznę z cienkiego jak pajęczyna jedwabiu, pokrytą złowieszczymi sloganami i ukazami wyszytymi różnobarwnymi nićmi.

Pośród takiego oto uroczystego zgromadzenia, oficjalnego posiedzenia rady, gdy wszyscy czuli na barkach brzemień Atlasa, nawet konkomodatorzy, ta szóstka ludzi, których zrobiono głupcami, Lars spytał łagodnie, dlaczego, na Boga, nie mogą zrobić analizy broni wrogiego obozu?

Nie możemy i koniec dyskusji. Ponieważ (proszę uważnie posłuchać, panie Lars) to nie jest broń Wschodniego Oka. To są jego, Larsa, projekty broni. Ocenimy je, gdy przejdą od stadium prototypu do masowej automatycznej produkcji, rzekł generał Nitz ze

szczególną nutą w głosie. A co się tyczy tego wstępnego etapu... tu rzucił Larsowi znaczące spojrzenie.

— Panie Lars — mruknął blady i łysy pracownik KACH-u zapalając staromodnego, a więc nielegalnego papierosa — mamy coś jeszcze. Może to pana nie zainteresuje, ale ponieważ zdaje się pan zwlekać...

Wsadził rękę w skoroszyt.

— Zwlekam, bo tego nienawidzę — odparł Lars. — Nie dlatego, że chciałbym jeszcze coś zobaczyć. Uchowaj Boże.

— Mhm.

Pracownik KACH-u wyjął jeszcze jedną lśniąca fotografię o wymiarach osiem na dziesięć i rozsiadł się na krześle.

Była to fotografia niestereograficzna, zrobiona z dużej odległości, może nawet przez satelitę szpiegowskiego i bardzo przetworzona. Przedstawiała Lilę Topczew.



## 2.

— Ach, tak — rzekł Lars z wielkim zainteresowaniem. — Zdaje się, że o to prosiłem?

Nieoficjalnie, rzecz jasna. Była to osobista przysługa ze strony KACH-u bez pisemnej umowy, z „wkalkulowanym ryzykiem”, jak mawiali ludzie w dawnych czasach.

— Niewiele może się pan z tego dowiedzieć — zauważył pracownik KACH-u.

— W ogóle niczego nie mogę się dowiedzieć — odparł zawiedziony Lars rzucając mu wściekłe spojrzenie.

Pracownik KACH-u wzruszył ramionami z właściwą swojej profesji nonszalancją.

— Spróbujemy jeszcze raz — powiedział. — Wie pan, ona nigdy nigdzie nie wychodzi i nic nie robi. Nie pozwalają jej. Może blagują, ale mówią, że jej transy pojawiają się niezależnie od woli, coś jak napady padaczki. Może wywołują je narkotykami, mówię to panu prywatnie rzecz jasna. Nie chcą, żeby zwała się z nóg na środku jakiejś publicznej bieżnicy i żeby rozjechał ją jakiś ichni stary pojazd powierzchniowy.

— Nie chcą, żeby zwała do Zachbloku, tak pan sądzi? Człowiek z KACH-u wzruszył ramionami jak filozof.

— Mam rację? — spytał Lars.

— Obawiam się, że nie. Panna Topczew dostaje taką samą pensję jak pierwszy poruszciciel SeRKeB-u, marszałek Paponowicz. Ma superdrogie mieszkanie na najwyższym piętrze, pokojówkę, lokaja i autolot marki Mercedes — Benz. Dopóki będzie współpracować...

— Z tego zdjęcia — przerwał mu Lars — nie mogę nawet wywnioskować, ile ma lat. Nie mówiąc już o tym, jak wygląda.

— Lila Topczew ma dwadzieścia trzy lata.

Drzwi gabinetu otworzyły się i w ich układzie odniesienia zmaterializował się niski, niechlujny i niepunktualny Henry Morris. Człowiek ten stale balansował na ostrzu noża. Lars w każdej chwili mógł mu podziękować za pracę. Jednocześnie Henry Morris był w firmie niezbędny.

— Jest coś dla mnie?

— Chodź tu — rzekł Lars i wskazał zdjęcie Lili Topczew.

Człowiek z KACH-u natychmiast schował zdjęcie do skoroszytu.

— Panie Lars, zgodnie z paragrafem 20 — 20 to ściśle tajne! Tylko do pańskiego wglądu.

— Pan Morris jest moim wzrokiem — powiedział Lars.

Najwyraźniej miał do czynienia z dość zasadniczym funkcjonariuszem KACH-u.

— Jak pana nazwisko? — spytał go z długopisem i notatnikiem w dłoni.

Po chwili człowiek z KACH-u odprężył się.

— *Ipsa dixit*, ale to w końcu pańska sprawa.

Odłożył zdjęcie na biurko. Jego obojętna twarz fachowca nie zmieniła wyrazu. Henry Morris krzywiąc się i mrużąc oczy pochylił się nad zdjęciem. Poruszał ustami, mięsiste policzki drżały, jakby coś żuł, jakby próbował wgryźć się w niewyraźne zdjęcie i wydobyć z niego jakiś namacalny element.

Na biurku Larsa zapiszczał widkom.

— To z Paryża. Zdaje się panna Faine — powiedziała nieco chłodno i z nutką dezaprobaty w głosie sekretarka Larsa, panna Grabhorn.

— Przepraszam — rzekł Lars do funkcjonariusza KACH-u. Po chwili, nadal z długopisem w dłoni, dodał: — Proszę mimo wszystko podać mi swoje nazwisko. Wolę je mieć w notesie w razie gdybym ewentualnie chciał się jeszcze z panem kiedyś skontaktować.

— Nazywam się Don Packard — powiedział funkcjonariusz KACH-u, jakby ujawniał jakąś wstydliwą tajemnicę.

Nie wiedział, co począć z rękami. Pytanie Larsa sprawiło, że poczuł się dziwnie nieswojo.

Zapisawszy dane w notatniku, Lars włączył widkom i pojawiła się twarz jego kochanki, blada i w otocze ciemnych włosów, na ekranie wydawała się podświetlona od wewnątrz jak latarnia z dyni przypominająca ludzką twarz.

— Lars!

— Maren! — powiedział czule.

Maren Faine zawsze wzbudzała u niego opiekuńcze uczucia. Jednocześnie złościła go, tak jak ukochane dziecko złości rodziców. Maren nigdy nie wiedziała, kiedy przestać.

— Jesteś zajęty?

— Taak.

— Przylecisz po południu do Paryża? Możemy zjeść razem obiad, a potem, och, mój Boże, będzie grała ta kapela *gleckik blue jazz*...

— Jazz nie jest niebieski — przerwał jej Lars. — Tylko jasnozielony. — Zerknął na Henry'ego Morrisa. — Czyż jazz nie jest jasnozielony?

Henry skinął głową.

— Czasami doprowadzasz mnie do tego, że... — rzekła ze złością Maren Faine.

— Zadzwoń do ciebie później — powiedział Lars. — Kochanie.

Wyłączył widokom.

— Obejrzę teraz szkice broni — powiedział do funkcjonariusza KACH-u.

Do gabinetu bez zaproszenia weszli kościsty doktor Todt i siostra Elwira Funt. Lars odruchowo wyciągnął ramię, aby zrobili mu pierwszy tego dnia pomiar ciśnienia krwi. Tymczasem Don Packard porozkładał szkice i zaczął wskazywać szczegóły, które wydały się groźne niezbyt wysokiej klasy prywatnemu analitykowi broni, którego zatrudniała policja.

W taki oto sposób zaczął się dzień roboczy w firmie Lars Incorporated. Niezbyt zachęcająco, pomyślał Lars. Rozczarowała go bezużyteczna fotografia Lili Topczew. Może to właśnie wprowadziło go w pesymistyczny nastrój. Albo może coś jeszcze miało się zdarzyć?

O dziesiątej rano czasu nowojorskiego miał się spotkać z przedstawicielem generała Nitz, pułkownikiem... Boże, jak on się nazywa? W każdym razie Lars miał się dowiedzieć jak rada ustosunkowała się do ostatniej partii modeli skonstruowanych w San Francisco przez Stowarzyszenie Lanfermana na podstawie szkiców firmy Lars Incorporated.

— Haskins — powiedział Lars.

— Słucham? — spytał funkcjonariusz KACH-u.

— Pułkownik Haskins. Wiesz, że Nitz ostatnio dość regularnie unika wszelkich kontaktów ze mną? — rzekł z zadumą Lars do Henry'ego Morrisa. — Zauważyłeś?

— Ja wszystko zauważam, Lars — odparł Morris. — Tak, odnotowałem to w mojej „przedśmiertnej teczce”.

„Przedśmiertna teczka”... ognioodporne, wojnoodporne (trzecia wojna światowa), odporne na kule z tytanu, dobrze ukryte kasetki z dokumentami, które miały wybuchnąć w chwili śmierci Morrisa. Henry Morris nosił przy sobie mechanizm wyzwalający, czuły na bicie jego serca. Nawet Lars nie wiedział, gdzie aktualnie podziewają się dokumenty. Pewnie były w wydrążonej sowie z polakierowanej ceramiki, którą wykonano na podstawie układu naprowadzającego, pozycja numer 207, i która stała w łazience przyjaciela przyjaciółki Morrisa. Dokumenty zawierały wszystkie oryginały wszystkich szkiców broni, które kiedykolwiek powstały w firmie Lars Incorporated.

— Co to znaczy? — zapytał Lars.

— To znaczy — rzekł Morris wysuwając żuchwę i ruszając nią tak, jakby spodziewał się, iż zaraz odpadnie — że generał Nitz tobą pogardza.

— Z powodu tamtego jednego szkicu? — spytał zaskoczony Lars. — No, może jakichś dwóch. Tego p-termotropicznego wirusa, który mógł przeżyć w próżni dłużej niż...

— Och, nie. — Morris energicznie potrząsnął głową. — Dlatego że robisz durnia z siebie i z niego. Tylko że on już nie daje robić z siebie durnia. W przeciwieństwie do ciebie.

— Jak to?

— Wolałbym nie mówić tego przy wszystkich — powiedział Morris.

— No dalej, powiedz! — zachęcił go Lars.

A jednak serce podeszło mu do gardła. Naprawdę boję się rady, zdał sobie nagle sprawę. Boję się swego klienta? Czy oni są moim klientem? S z e f e m, to właściwe słowo. NZ-Z Narbez znalazł mnie i przez lata przygotowywał do objęcia stanowiska po panu Wade. Byłem gotowy i niecierpliwie czekałem na śmierć Wade'a Sokolariana. A teraz mam świadomość, że w t y m m o m e n c i e czeka ktoś inny, gotowy zająć moje miejsce, jeśli pewnego dnia stanie mi serce albo stracę, czy też uszkodzę sobie jakiś inny ważny narząd, albo stanę się n i e w y g o d n y...

Ja już jestem niewygodny, pomyślał.

— Packard — zwrócił się do funkcjonariusza KACH-u — należy pan do niezależnej organizacji. Działacie na całym świecie. Teoretycznie każdy może was zatrudnić.

— Teoretycznie — zgodził się Packard. — Chodzi chyba panu o KACH, a nie konkretnie o moją osobę. Jestem wynajęty.

— Sądziłem, że chcesz się dowiedzieć, dlaczego generał Nitz tobą pogardza — przypomniał Henry Morris.

— Nie — odparł Lars. — Zachowaj to dla siebie.

Wynajmę kogoś z KACH-u, zawodowca, postanowił, żeby przyjrzał się NZ-Z, nawet całemu aparatowi, jeśli trzeba będzie, i dowiedział się, co oni knują przeciwko mnie. Zwłaszcza, pomyślał, co potrafi ich nowe medium; w tej sprawie zdecydowanie muszę mieć dokładne informacje.

Ciekawe, co by zrobili, zastanawiał się, gdyby wiedzieli, że często przychodzi mi do głowy, żeby wyjechać do Wschodniego Oka. Jeśli spróbowaliby mnie kimś zastąpić, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo i umocnić swój autorytet...

Próbował sobie wyobrazić sobie wzrost, sylwetkę i karnację osoby, która zajmie jego miejsce, która będzie chodzić po jego śladach. Czy będzie to dziecko czy nastolatek, stara kobieta czy puszysty pan w średnim wieku...? Psychiatrzy z Zachbłoku, którzy pracują dla państwa jak niewolnicy, bez wątplenia potrafią wypatrzeć talent psioniczny zdolny wchodzić w kontakt z Tamtym Światem, hiperwymiarową rzeczywistością, do której on, Lars wkracza w czasie swoich transów. Wade miał taki talent. Ma to Lila Topczew i on, Lars. Tak więc niewątpliwie tego rodzaju zdolności trafiają się wszędzie. Im dłużej urzęduje, tym więcej czasu ma Rada na uświadomienie sobie tego faktu.

— Czy mogę coś powiedzieć? — spytał z szacunkiem Morris.

— Dobra, mów.

Czekał, usadowiwszy się na krześle.

— Generał Nitz nabrał podejrzeń, że coś jest nie tak, gdy odrzuciłeś honorowy tytuł pułkownika w Siłach Zbrojnych NZ-Zach.

— Ależ to było niepoważne! — odparł Lars wpatrując się w rozmówcę. — Zwykły papierek.

— Nie — powiedział Morris. — I ty nie byłeś, nie jesteś, na tyle głupi, by tak sądzić. Podświadomie, intuicyjnie wiedziałeś, o co chodzi. Przyjęcie tego tytułu uczyniłoby ciebie prawnie podmiotem jurysdykcji wojskowej.

— To prawda — powiedział do nikogo w szczególności człowiek z KACH-u. — Powołali do służby praktycznie wszystkich, którym przysłali te bezpłatne nominacje. Wcielili ich do wojska.

Twarz funkcjonariusza była, jak przystało na zawodowca, niewzruszona.

— Boże! — jęknął Lars.

Przejął go strach. Nie przyjął honorowej nominacji, bo taką miał akurat zachciankę. Myślał, że zakpił sobie z niepoważnego dokumentu, że odpowiedział dowcipem na dowcip. Tymczasem teraz, jeśli lepiej się zastanowić...

— Mam rację? — spytał Larsa Henry Morris bacznie mu się przyglądając.

— Tak — odparł po chwili Powderdry. — Zdawałem sobie z tego sprawę. — A niech to diabli. — Machnął ręką.

Wrócił do zgromadzonych przez KACH szkiców broni. Bądź co bądź chodziło o coś więcej. Jego nieporozumienia z NZ-Z Narbezem pojawiły się dużo wcześniej i dotyczyły poważniejszych spraw niż jakiś tam idiotyczny pomysł honorowej nominacji, na mocy której, jak się teraz okazało, miał być wcielony do wojska. Lars nie miał zamiaru wdepnąć w sferę, gdzie nie istniały dokumenty pisane. W sferę, która tak naprawdę nic go nie obchodziła.

Przeglądając szkice panny Topczew uświadomił sobie, na czym polega potworność jego pracy — na tym mianowicie, że zależy od niej życie wszystkich ludzi, z Radą włącznie. To było widać w każdym projekcie. Lars przekartkował szkice i rzucił je na biurko.

— Broń! — zwrócił się do człowieka z KACH-u. — Proszę to sobie wziąć i schować. Pośród szkiców nie było ani jednego projektu broni.

— Co się tyczy konkomodatorów... — zaczął Henry Morris.

— Co to takiego — spytał Lars — konkomodator?

— Jak to co to takiego konkomodator? — zdziwił się zaskoczony Morris. — Przecież wiesz. Spotykasz się z nimi dwa razy w miesiącu. — Zrobił gest wyrażający irytację. — Więcej wiesz o tych sześciu konkomodatorach z Rady niż ktokolwiek inny w Zachbloku. Spójrz prawdzie w oczy: wszystko co robisz, jest dla nich.

— Patrę prawdzie w oczy — rzekł Lars spokojnym głosem. Założył ręce i rozparł się na krześle. — A jeśli powiedziałem prawdę tamtemu autonomicznemu reporterowi te-

lewizyjnemu gdy ten spytał, czy odbieram coś naprawdę imponującego?

Zapadła cisza. Po chwili człowiek z KACH-u poruszył się niespokojnie i powiedział:

— Dlatego chcieliby, żeby pan był wojskowym. Wtedy nie występowałby pan przed kamerami telewizyjnymi. Nie byłoby żadnej wpadki.

Zostawił szkice na biurku Larsa.

— Może już była wpadka — rzekł Morris uważnie przyglądając się szefowi.

— Nie — zaprotestował natychmiast Lars. — Gdyby tak było, ty byś o tym wiedział.

W miejscu, gdzie stoi Lars Incorporated, pomyślał, pojawiłaby się dziura. Idealnie równa, jak nożem wycięta.

— Chyba jesteś świrem — stwierdził Morris. — Całymi dniami siedzisz za biurkiem, patrzysz na szkice Lili i powolutku świrujesz. Za każdym razem, gdy wchodzisz w trans, ginie jakaś częśćka ciebie — powiedział szorstko. — To zbyt kosztowne. A skończy się tak, że pewnego dnia zaczepi cię telewizyjny reporter i spyta: „Niech pan powie, co się święci?”, a ty powiesz coś, czego nie powinieneś mówić.

Doktor Todt, Elvira Funt i funkcjonariusz KACH-u spojrzeli na niego z przerażeniem, nikt się jednak nie odezwał. Siedzący za biurkiem Lars w milczeniu utkwiał wzrok w ścianie i oryginalnym Utrillu, którego podarowała mu Maren Faine na Gwiazdkę 2003 roku.

— Porozmawiajmy o czymś innym — powiedział Lars. — O czymś mniej stresującym. — Skinął na doktora Todta, który stał się teraz chudszy i bardziej podobny do księdza niż kiedykolwiek. — Doktorze, myślę, że teraz jestem gotowy psychicznie. Możemy wywołać autyzm, jeśli ma pan przy sobie swoje maszyny i całą resztę.

Badanie autyzmu — zajęcie chwalebne i szlachetne.

— Najpierw zrobię EEG — powiedział doktor Todt. — Na wszelki wypadek.

Przysunął bliżej przenośną maszynę do EEG. Rozpoczęły się przygotowania do codziennego transu, w trakcie którego Lars tracił kontakt ze wspólnym światem, *koinos kosmos*, i pogrążał się w drugim, tajemniczym królestwie, *idios kosmos*, całkowicie prywatnym świecie, gdzie jednak bytowało *aisthesis koine*, wspólne Coś, wspólny pierwiastek.

W jakież to ja sposób zarabiam na życie, pomyślał Lars.

### 3.

„Gratulujemy!” mówił list dostarczony przez pocztę błyskawiczną. „Został pan wybrany spośród milionów swoich przyjaciół i sąsiadów.

Jest pan konkomodatorem”.

Niemożliwe, pomyślał Surley G. Febbs, gdy powtórnie przeczytał druk. Był to niewielki dokument z jego nazwiskiem i numerem. Nie wyglądał poważniej niż ulotka od administracji budynku z prośbą, by głosował za podniesieniem czynszów. Tymczasem Febbs dostał przepustkę do — nie, to wprost niewiarygodne — Festung Waszyngtonu i jego podziemnego „kremla”, najbardziej strzeżonego miejsca w Zachbloku.

Febbs może tam wejść i to bynajmniej nie jako turysta.

Uznali mnie za typowego! — rzekł sobie w duchu i zaledwie o tym pomyślał, poczuł się typowy. Febbs urósł i spotęźniał w swoich oczach. Z lekka zakręciło mu się w głowie jak po kieliszku alkoholu i ugięły się pod nim kolana. Na chwiejnych nogach przeszedł niepewnym krokiem miniaturowy salonik i usiadł na swojej sofie w stylu jońskim, która była imitacją.

— Nic dziwnego, że mnie wybrali — rzekł na głos Febbs. — Wiem o broni wszystko.

Był autorytetem, a to dzięki temu, że co wieczór sześć do siedmiu godzin spędzał na oglądaniu filmów edukacyjnych w Boise w Idaho, głównej filii biblioteki publicznej, ponieważ tak jak innym zmniejszono mu liczbę godzin pracy z dwudziestu do dziewiętnastu tygodniowo.

Był autorytetem nie tylko w dziedzinie broni. Z absolutną dokładnością pamiętał każdą rzecz, jakiej kiedykolwiek się nauczył, na przykład szczegóły dotyczące wyrobu witraży we Francji na początku trzynastego wieku. Wiem dokładnie, z której części Cesarstwa Bizantyjskiego pochodzą mozaiki z okresu rzymskiego, które stopiono, by sporządzić z nich cudowne witraże, pomyślał z tryumfem Febbs. Nadszedł czas, by w Radzie NZ-Z Narbez-u zasiadł ktoś z ogólną wiedzą, jaką miał on, Febbs. Dosyć prośaków, pospolitych kretynów, którzy nie czytają niczego poza nagłówkami homeogazet, sportem i animowanymi komiksami, i oczywiście świńskimi kawałkami dotyczący-



mi seksu, a poza tym zatruwają swoje puste mózdzki toksycznym paskudztwem masowej produkcji, celowo wytwarzanym przez wielkie korporacje, które naprawdę rządzą tym światem, jak na przykład I. G. Farben, o czym on, Febbs, dowiedział się z poufnych źródeł. Że już nie wspomnę o większych trustach, powstałych później, produkujących sprzęt elektroniczny, systemy samonaprowadzające i rakiety, na przykład A. G. Beimler z Bremy, który — jeśli wnikliwie zbadać sprawę, jak to zrobił on, Febbs — okazuje się faktycznym właścicielem General Dynamics, IBM-u i G.E.

Niech tylko usiądę naprzeciwko generała George'a Nitza, Głównodowodzącego Najwyższego Sztabu NZ-Zach.

Założę się, pomyślał, że potrafię podać mu więcej danych dotyczących, dajmy na to, sprzętu komputerowego w homeostatycznym antyentropijnym fazowo konwertowanym bezfalowym oscylatorze Metrogretel, który Boeing wykorzystuje w swojej superszybkiej rakiecie międzyplanetarnej LL — 40 niż wszyscy „tak zwani” eksperci z Festung Waszyngtonu.

Ja nie poprzestanę na zastąpieniu konkomodatora, któremu wygasła umowa z Radą. Nic z tych rzeczy. Nie po to dostałem ten druk. Jeśli tylko ci durnie pozwolą mi działać, mogę sam zastąpić całe biura.

To z pewnością sto razy lepsze niż wysłać listy do gazety „Star-Times” i senatora Egdwella. Który nawet nie przysłał mi żadnego formularza, bo był tak bardzo, cytuję, zajęty. W rzeczywistości było to sto razy lepsze nawet od dni ciszy i spokoju siedem lat temu, kiedy dzięki spuściźnie w postaci kilku powiązań ze sferami rządowymi NZ-Zach opublikował własny mały biuletyn informacyjny i rozesłał jego egzemplarze pocztą błyskawiczną przypadkowym ludziom, których adresy znalazł w książce wideofonicznej oraz rzecz jasna urzędnikom rządowym w Waszyngtonie. Biuletyn ten zmienił lub zmieniłby — gdyby u władzy nie było tylu jełopów, komuchów i biurokratów — historię... na przykład w kwestii zastopowania importu chorobotwórczych molekuł proteinowych, które stale ściągano na Ziemię na statkach wracających ze skolonizowanych planet i które to proteiny były przyczyną grypy, na jaką on, Febbs, zapadł w dziewięćdziesiątym dziewiątym i nigdy już nie wyzdrowiał, jak powiedział urzędnikowi od ubezpieczeń zdrowotnych w swoim miejscu pracy, firmie o nazwie Nowa Era Kooperacyjnego Finansowania Oszczędności i Obsługi Pożyczek w Boise, gdzie badał podania o pożyczki pod kątem wykrywania potencjalnych oszustów.

Febbs był niezrównany w wykrywaniu osób nie oddających długów. Wystarczyło, że popatrzył na petenta, czarnucha zwłaszcza, krócej niż jedną mikrosekundę i potrafił zorientować się w aktualnym stanie jego kośćca moralnego.

Wiedzieli o tym wszyscy w NEKFOiOP, z dyrektorem działu panem Rumfordem włącznie. Jednak za sprawą swych egocentrycznych ambicji i chciwości pan Rumford rozmyślnie sabotował wielokrotnie ponawiane w ciągu ostatnich dwunastu lat formal-



ne prośby Febbsa o większą podwyżkę niż zawarowana w umowie.

Teraz problem ten przestał istnieć. Jako konkomodator będzie otrzymywał wysoką pensję. Z nagłym zażenowaniem przypomniał sobie, że w swych listach do senatora Edgewella często uskarżał się między innymi na pensje, które otrzymuje sześciu konkomodatorów odkomenderowanych do pracy w Radzie.

Teraz trzeba zadzwonić do Rumforda, który jeszcze przebywa w swoim superdrogim mieszkaniu i prawdopodobnie je śniadanie. Febbs powie, że szef może mu teraz skoczyć.

Wykręcił numer i wkrótce znalazł się twarzą w twarz z panem Rumfordem, ubranym w jedwabny szlafrok z Hongkongu.

Surley G. Febbs wziął głęboki oddech i oświadczył:

— Panie Rumford, chciałem tylko powiedzieć...

Umilkł nagle, onieśmielony. Nie tak łatwo wyzbyć się starych przyzwyczajęń.

— Dostałem zawiadomienie z Waszyngtonu, z NZ-Z Narbez-u — usłyszał swój cichy i niepewny głos. — Tak więc, hmm, może pan po... poszukać kogoś innego, że... żeby od... odwał za mnie całą brudną robotę. A w razie gdyby to pana interesowało: pół roku temu pozwoliłem pewnemu miglancowi zaciągnąć pożyczkę na dziesięć tysięcy, a on tego ni... nigdy nie spłaci.

Po tych słowach rzucił słuchawkę, spocony i osłabiony nagłym szczęściem.

I nie mam zamiaru powiedzieć mu, kto jest tym miglancem, rzekł sobie w duchu. Możesz sobie wertować góry akt albo zapłacić komuś, kto zrobi to za mnie. Mam cię gdzieś, Rumford.

Poszedł do maleńkiej kuchenki i szybko rozmroził paczkę moreli, które zwykł jadać na śniadanie. Usiadł za umocowanym w ścianie blatem. Jadł i dumał.

Niech no tylko dowie się o tym Organizacja, przyszło mu do głowy. Miał na myśli Związek Bojowników o Kaukaskie Dziedzictwo Kulturowe Idaho i Oregonu. Rozdział piętnasty. Zwłaszcza Rzymskiego Centuriona zwanego Komarem, czyli W. Johnstone'a, który niedawno zdegradował Febbsa na mocy edyktu dyscyplinarnego aa-35 z rangi Pierwszej Klasy Legionisty do Helota Pięćdziesiątej Klasy.

Kwaterna Główna Pretorian w Cheyenne, uzmysłowił sobie, przyjdzie do mnie jak koza do wożą. Sam Król Słońce Klaus osobiście! Będą chcieli zrobić mnie R. C. i pewnie wyrzucą Johnstone'a na zbity pysk.

Również innych spotka teraz to, na co zasłużyli. Na przykład ta chuda bibliotekarka z głównej filii biblioteki publicznej w Boise, która nie dopuściła go do ośmiu zamkniętych kasetek z mikrotaśmami wszystkich powieści pornograficznych dwudziestego wieku. Stracisz pracę, rzekł do siebie Febbs i wyobraził sobie reakcję bibliotekarki o wysuszonej, podobnej do brodawki twarzy, gdy dostanie wymówienie od samego generała Nitza.

Jedząc śniadanie wyobraził sobie ogromne centrum komputerowe w Waszyngtonie, które przegląda miliony plików z danymi, by ocenić, kto naprawdę ma typowe upodobania przy kupnie dóbr, a kto tylko udaje, jak Strattonowie z mieszkania naprzeciwko, którzy zawsze starali się wyglądać na typowych, choć w sensie ontologicznym nigdy im się to nie udało.

Jestem arystotelesowskim „człowiekiem — powszechnikiem”, pomyślał z radością Febbs, człowiekiem, jakiego genotyp ludzkość próbowała stworzyć od pięciu tysięcy lat! I którego wreszcie znalazł Univox-50R w Festung Waszyngtonie!

Kiedy wreszcie położą przede mną przeznaczony dla mnie składnik broni, pomyślał pełen wiary w siebie, będę wiedział, jak to zlemieszować. Bez obaw. Mogą na mnie liczyć. Wymyślę tuzin sposobów zlemieszowania i każdy będzie dobry. A wszystko dzięki mojej wiedzy i zdolnościom.

Dziwne, że trzeba im jeszcze pięciu dodatkowych konkomodatorów. Może zorientują się, że tamci są niepotrzebni. Może dadzą mi wszystkie składniki zamiast jednego. Może tak właśnie zrobią.

A będzie tak:

Generał Nitz (zaskoczony): Na Boga, Febbs! Ma pan zupełną rację. Tę oto przenośną cewkę indukcyjną można z powodzeniem zlemieszować w tanią chłodziarkę do piwa, używaną na wycieczkach, które trwają więcej niż siedem godzin. Świetnie, Febbs! Brawo!

Febbs spokojnie: Sądzę jednak, iż nadal nie chwyta pan sedna sprawy, generale. Jeśli uważniej przeczyta pan moje sprawozdanie...

Wtem zadzwonił wideotelefon, przerywając tok jego myśli. Febbs wstał zza stołu, by podnieść słuchawkę.

Na ekranie pojawiła się kobieta w średnim wieku, urzędniczka Zachbloku.

— Pan Surley G. Febbs z mieszkania 300685?

— Tak — odparł zdenerwowany Febbs.

— Otrzymał pan zawiadomienie pocztą błyskawiczną, że w przyszły czwartek obejmie pan urząd konkomodatora.

— Tak!

— Panie Febbs, dzwonię, aby przypomnieć, że pod żadnym pozorem nie wolno panu przekazywać, ujawniać, obwieszczać, ogłaszać lub w jakikolwiek inny sposób informować jakichkolwiek osób, organizacji, środków masowego przekazu lub autonomicznych przedstawicieli wyżej wymienionych, które w jakikolwiek sposób zdolne są odbierać, nagrywać i — lub przekazywać, komunikować i — lub transmitować dane, że został pan zgodnie z prawem wyznaczony na konkomodatora A przy Radzie NZ-Z Narbez-u w wyniku sprawiedliwej i formalnie poprawnej procedury, zgodnie z paragrafem 3 w pańskim pisemnym zawiadomieniu, które pod groźbą odpowiedzialności

karnej jest pan zobowiązany przeczytać i przestrzegać.

Surley Febbs zamarł. Nie doczytał do końca zawiadomienia. Pewnie że tożsamość sześciu konkomodatorów przy Radzie jest objęta ścisłą tajemnicą! Tymczasem on zdążył już poinformować o wszystkim pana Rumforda.

A może jednak nie? Gorączkowo starał się sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział Rumfordowi. Czy nie wspomniał jedynie, że dostał zawiadomienie? Och, Boże. Gdyby tak dowiedzieli się...

— Dziękuję, panie Febbs — powiedziała urzędniczka i rozłączyła się.

Febbs powoli odzyskał zimną krew.

Muszę jeszcze raz zadzwonić do pana Rumforda, przyszło mu na myśl. Zapewnić, że rzucam pracę ze względów zdrowotnych. Albo podam mu jakiś inny pretekst. Że straciłem mieszkanie, że muszę opuścić Boise. Cokolwiek!

Zauważył, że drży.

Wyobraził sobie przerażającą scenę.

Generał Nitz (ponuro, z groźbą w głosie): A więc to tak, Febbs.

Febbs (tonem tragika): Pan mnie potrzebuje, generale. Naprawdę! Potrafię lemieszować lepiej niż ktokolwiek z dotąd wylosowanych. Univox-50R wie, co robi. Na Boga, sir! Proszę mi dać szansę, abym pokazał, na co mnie stać!

Generał Nitz (poruszony): No dobrze, Febbs. Widzę, że nie jesteś taki, jak inni. Możemy sobie na to pozwolić, by traktować cię odmiennie, bo w ciągu wielu lat obcowania z wszelkiego rodzaju ludźmi doprawdy nigdy nie spotkałem kogoś tak wyjątkowego jak ty i cały Wolny Świat poniósłby wielką stratę, gdybyś zrezygnował ze współpracy i nie zechciał podzielić się z nami swą wiedzą, doświadczeniem i talentem.

Febbs usiadł za stołem i machinalnie dokończył śniadanie.

Generał Nitz: Febbs, powiedziałbym nawet, że...

Niech to diabli, zaklął w duchu Febbs wpadając w zły nastrój.

## 4.

Około południa w nowojorskim biurze firmy Lars Incorporated zjawił się wysokiej klasy inżynier ze Stowarzyszenia Lanfermana, firmy o filiach w San Francisco i Los Angeles, która konstruowała modele, prototypy i temu podobne na podstawie szkiców Larsa Powderdrya.

Inżynier nazywał się Pete Freid. Wszedł do biura bez ceregieli; czuł się w nim jak w domu. Mężczyzna garbił się, lecz mimo to był wysoki. Lars popijał właśnie mieszankę miodu z syntetycznymi aminokwasami na bazie dwudziestopięcioprocentowego alkoholu jako antidotum na powstały w wyniku porannego transu ubytek niezbędnych organizmowi substancji.

— Odkryli, że to, co żłopiesz, jest jedną z dziesięciu głównych przyczyn raka. Więc lepiej daj sobie z tym spokój.

— Nie mogę — odparł Lars. Jego organizm potrzebował składników zastępczych, a poza tym Pete tylko żartował. — Ale za to powinienem dać sobie spokój z... — zaczął i nagle...

Dzisiaj i tak już powiedział za dużo, w dodatku w obecności funkcjonariusza KACH-u. Ten zaś, jeśli ma głowę na karku, zarejestrował i zachował w pamięci wszystko, co usłyszał.

Pete przechadzał się po biurze. Odkąd pamięcią sięgnąć zawsze się garbił z powodu nadmiernego wzrostu i — co niestrudzenie powtarzał — swego „złego grzbietu”. Dokładnie to nikt nie wiedział, dlaczego ów grzbiet jest „zły”. Raz Pete’owi wypadł dysk. Kiedy indziej, jeśli dawało się wiarę chaotycznym monologom Freida, dysk ten był nadwerężony. Pete twierdził, że cierpi na wiele różnych dolegliwości związanych z wadami kręgosłupa. W środy, jak dzisiaj na przykład, niedyspozycja grzbietu była według niego skutkiem starej rany, którą odniósł na wojnie. Pete rozwodził się właśnie na ten temat.

— Jasne, że tak — rzekł do Larsa, trzymając ręce w tylnych kieszeniach spodni.

Przeleciał trzy tysiące mil z Zachodniego Wybrzeża na pokładzie publicznego odrzutowca w poplamionym smarem roboczym ubraniu. Poszedł na pewne ustępstwo wzglę-

dem zasad dobrego wychowania i założył przekrzywiony krawat, który teraz był czarny, lecz kiedyś prawdopodobnie miał żywe kolory. Na tle rozchełstanej, przepoczonej koszuli krawat sprawiał wrażenie ołowianej liny, Pete zaś — mordercy, który od czasu do czasu popada w stan obłądu i owym krawatem dusi bliźnich. Natomiast w stan lenistwa Pete nie popadał nigdy. Był pracoholikiem, chociaż ze względu na zaburzenia psychomotoryczne kwalifikował się na rentę. W godzinach pracy nic dla niego nie istniało: żona, trójka dzieci, zamiłowania, przyjaciele — dosłownie nic. A trzeba wiedzieć, że dzień roboczy Pete'a zaczynał się z chwilą, gdy o szóstej trzydzieści rano otwierał oczy. W odróżnieniu od normalnych, jak twierdził Lars, ludzi, Freud z samego rana budził się całkowicie trzeźwy. To było nienormalne. W dodatku przedtem wraz z żoną Molly albo sam siedział do późnej nocy w barze nad piwem i pizzą.

— Co według ciebie jest jasne? — spytał Lars popijając swoją miksturę. Był znużony: dzisiejszy trans wycieńczył go tak bardzo, że nawet aminokwasowy eliksir nie zdołał mu przywrócić sił. — No tak, pewnie chciałeś powiedzieć „jasne, że powinienem rzucić tę pracę”. Znam to na pamięć. Słyszałem tę gadkę tyle razy, że mógłbym...

— Cholera! Myślisz, że wiesz, co chciałem powiedzieć. Gówno prawda! Nigdy mnie nie słuchasz. Potrafisz tylko wznosić się do nieba i wracać ze słowem bożym, a my mamy święcie wierzyć w każdą bzdurę, którą nagryzmolisz, jakby... — Wzruszył potężnymi ramionami ukrytymi pod niebieską bawełnianą koszulą. — Pomyśl tylko, co mógłbyś zrobić dla ludzkości, gdybyś nie był taki leniwy.

— Co takiego?

— Mógłbyś rozwiązać wszystkie nasze problemy! — Pete spojrzał na niego spodoba. — Jeśli tam na górze mają wzory broni... — Wskazał kciukiem sufit, jakby Lars w czasie swoich transów rzeczywiście wędrował do nieba. — Powinni cię zbadać naukowcy. Na Boga, powinieneś być w Kalifornijskim Instytucie Technologii, a nie prowadzić tę swoją drużynę pedałów.

— Pedałów — powtórzył Lars.

— No dobra, może i nie jesteś pedałem. Co to ma za znaczenie? Mój szwagier jest i mnie to nie przeszkadza. Niech sobie facet będzie, kim chce. — Pete mówił donośnym, tubalnym głosem. — Ważne, by był naprawdę sobą, a nie tym, kim mu każą być inni. Jak ty! — Jego ton złagodniał. — Ty robisz to, co ci każą. Mówią: „idź przynieś kilka dwuwymiarowych projektów” i idziesz!

Zniżył głos, chrząknął i otarł pot z górnej wargi. Potem usiadł i długimi rękami sięgnął po kupkę szkiców leżących na biurku Larsa.

— To nie to — powiedział Lars zabierając szkice.

— Nie? To w takim razie co to jest? Wygląda mi na szkice.

Pete wyciągnął szyję jak czapla.

— To szkice panny Topczew ze Wschodniego Oka — rzekł Lars.

Odpowiednik Pete'a w Bułganiu gradzie albo w Nowej Moskwie — bo trzeba wiedzieć, że Sowieci dysponowali dwiema firmami zajmującymi się projektami technicznymi, taka podwójna reprezentacja jest typowa dla monolitycznego społeczeństwa — miał za zadanie przysposobić projekty do następnego etapu.

— Widzisz?

Lars podsunął projekty Pete'owi, który nieomal wsadził w nie nos, jakby nagle stał się krótkowzroczny. Freid w milczeniu przejrzał projekty, zachnął się, rozparł na krześle i rzucił plik zdjęć na biurko, a właściwie tuż obok. Zdjęcia spadły na podłogę.

Pete schylił się, pozbierał je, po czym z szacunkiem poskładał w równą kupkę i położył na biurku, dając do zrozumienia, że nie chciał być niegrzeczny.

— Są beznadziejne — powiedział.

— Nie — zaprotestował Lars.

Nie były bardziej beznadziejne od szkiców Larsa. Przez Pete'a przemawiała przyjaźń i lojalność. Lars to doceniał, lecz wolał poznać jego prawdziwą opinię.

— Można je zlemieszować. Jest niezła w swoim fachu.

Projekty, które dostał Lars wcale nie musiały być reprezentatywną próbką umiejętności panny Topczew. Sowieci, jak wiadomo, starali się przedstawić KACH w jak najgorszym świetle. Agenda policji planetarnej stanowiła poważną konkurencję dla sowieckiej tajnej policji, KV6. Don Packard nic o tym nie wspomniał, gdy przyniósł zdjęcia projektów, ale fakty przedstawiały się następująco: skoro już agent KACH-u dobrał się do modeli broni, Sowieci pokazali mu tylko to, co chcieli pokazać, a resztę ukryli. Taką ewentualność zawsze należało brać pod uwagę.

W każdym razie on, Lars, w taki właśnie sposób podchodził do sprawy. Co natomiast NZ-Z Narbez robił z uzyskanymi przez KACH materiałami, to inna sprawa: Lars nie miał o tym pojęcia. Rada mogła różnie się do tego ustosunkować: całkowicie zaufać (co jednak było mało prawdopodobne) lub przyjąć stanowisko krańcowo cyniczne. Lars próbował znaleźć złoty środek.

— To ją przedstawia to niewyraźne zdjęcie, tak? — zapytał Pete.

— Tak. — Lars pokazał mu fotografię.

Pete znowu wetknął w nią nos.

— Niczego nie można stwierdzić — rzekł wreszcie. — I za coś takiego KACH dostaje pieniądze! Nawet ja zrobiłbym to lepiej, gdybym poszedł z polaroidem do Instytutu Badań Stosowanych nad Środkami Obrony w Bułganiu gradzie.

— Nie ma takiego instytutu — powiedział Lars.

Pete podniósł na niego wzrok.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zlikwidowali swoje biuro? Ale ona nadal tam pracuje.

— Teraz szefem jest ktoś inny. Wiktor Kamow zniknął. Odszedł z pracy ze względu



du na stan płuc. Ich biuro teraz nosi nazwę... — Spojrzał na karteczkę, którą wyjął z raportu funkcjonariusza KACH-u. We Wschodnim Oku takie rzeczy zdarzały się ciągle, więc nie przywiązywał do tego wagi. — Pododdziału do spraw Produkcji Rolnej w Bułganiu. Przy Ministerstwie do spraw Standardów Bezpieczeństwa Przychodów Autonomicznych. Pod tą przykrywką prowadzą badania dotyczące wszelkiego rodzaju broni niebakteriologicznych.

Pete i Lars zderzyli się głowami ponad niewyraźną, lśniąca fotografią Lili Topczew. Studiowali ją wnikliwie, jakby wierzyli, że jeśli będą jej się długo przyglądać, rozmyta postać przybierze wyraźniejszy kształt.

— Dlaczego masz obsesję na jej punkcie? — zapytał Pete.

— Ot tak. Może z poczucia jakiegoś niedosytu — odparł wymijająco.

Jednak inżynier z Towarzystwa Lanfermana był zbyt bystrym obserwatorem.

— Czekał, najpierw...

Pete z wprawą eksperta powiódł długimi, wrażliwymi, poplamionymi palcami, po spodniej stronie blatu biurka. Szukał aparatu podsłuchowego. Ponieważ go nie namacał, rzekł:

— Jesteś jakiś spłoszony. Ciągłe bierzesz prochy?

— Nie.

— Kłamiesz.

— Tak — zgodził się Lars.

— Źle sypiasz?

— Tak sobie.

— Jeśli ten cholerny Nitz dobrał ci się do...

— Nie chodzi o Nitza. Że tak się wyrażę w twoim obrazowym języku: ten cholerny Nitz nie dobrał mi się dupy. Zadowolony?

— Mogą pół wieku szukać człowieka na twoje miejsce i nikogo nie znajdą. Znałem Wade'a. Był dobry, ale nie tej klasy co ty. Nikt tobie nie dorównuje. Zwłaszcza ta dama w Bułganiu.

— To miło z twojej strony — zaczął Lars, ale Pete brutalnie mu przerwał.

— Miło, nie miło. W każdym razie konkurencji chyba się nie boisz?

— Nie boję się — zgodził się Lars. — I przestań obrażać Lilę Topczew.

Pete pogrzebał w kieszeni koszuli i wyciągnął tanie cygaro. Wkrótce biuro zniknęło w kłębach niezdrowego dymu i zaczęło przypominać wędzarnię. Pete nie zwracając na nic uwagi zaciągał się cygarem. Milcząc rozważał coś w myślach.

Pete miał pewną zaletę, czy też wadę, zależy jak na to patrzeć: wierzył mianowicie, że każdą zagadkę można rozwiązać, jeśli się nad nią człowiek dobrze zastanowi. Wyjaśnić można dosłownie każdą tajemnicę. Nawet tajemnicę ludzkiej duszy. Jego zdaniem narządy biologiczne, powstałe w wyniku dwóch bilionów lat ewolucji, można przyrównać do maszyny.

Lars uważał taki datujący się z osiemnastego wieku pogląd za przejaw naiwnego optymizmu dziecka. Pete Freid mimo swych zdolności manualnych i inżynierskiego geniuszu, był chodzącym anachronizmem. Patrzył na świat jak bystry siedmioklasista.

— Problem w tym, że nie masz rodziny — odezwał się Pete pogarszając jeszcze sprawę. Żuł w ustach cygaro. — Ja mam dzieci i wiem, ile to znaczy dla człowieka.

— Pewnie — odparł Lars.

— Nie mówiłem tego poważnie.

— Mówiłeś. Ale wcale nie masz racji. Wiem, co mnie gryzie. Spójrz.

Lars dotknął szuflady zamkniętej na szyfrowany zamek. Rozpoznał wszystkie linie papierne jego palców, szuflada natychmiast się wysunęła jak szuflada w kasie. Lars wyjął z niej swoje nowe szkice, które przyjechał zobaczyć Pete. Podał je inżynierowi. W takiej chwili zawsze miał silne poczucie winy. Piekł go uszy. Nie był w stanie patrzeć Pete'owi prosto w oczy. Zaczął grzebać w terminarzu, żeby zająć myśli czymś innym.

— Są rewelacyjne — powiedział Pete.

Na każdym szkicu pod pieczęcią z numerem i podpisem urzędnika z NZ-Z Narbezu starannie postawił swoje inicjały.

— Wrócisz do San Francisco — powiedział Lars — i skleczysz model wielocośćam, potem zaczniesz pracować nad właściwym prototypem...

— Nie ja, tylko moi chłopcy — poprawił go Pete. — Powiem im tylko, co mają robić. Myślisz, że sam się w tym grzebię? W takich wielocośćam?

— Cholera, Pete, jak to długo może się jeszcze ciągnąć?

— W nieskończoność — odparł bez namysłu Freid z naiwnym optymizmem siódmoklasisty, lecz w jego głosie czuło się gorycz i rezygnację.

— Dziś rano — powiedział Lars — zanim wszedłem do biura, dopadł mnie jeden z reporterów telewizyjnych z „Radosnego Włóczęgi”. Oni wierzą. Naprawdę wierzą.

— No to niech sobie wierzą. — Pete gwałtownie machnął tanim cygarem. — Nic nie rozumiesz? Nawet gdybyś spojrział temu reporterowi prosto w oczy albo raczej prosto w kamerę, że się tak wyrażę, i powiedziałbyś jasno i wyraźnie coś w rodzaju: „Myślicie, że robię broń? Sądzicie, że to właśnie przynoszę z hiperprzestrzeni, z tego nadnaturalnego głupawego świata?” nikt by ci nie uwierzył.

— Ale ich trzeba chronić — powiedział Lars.

— Przed czym?

— Przed wszystkim. To nasz obowiązek. A oni myślą, że to właśnie robimy.

— Broń nie jest żadną ochroną — rzekł po chwili Pete. — Już nie, od czasu... sam wiesz. Od 1945. Gdy rozwalili tamto miasto Japończykom.

— Ale proszę myśleć, że jest. Bo to w zasadzie jest jakaś ochrona.

— I w zasadzie o tym właśnie się ich zapewnia.

— Mam tego dość — powiedział Lars. — Żyję w świecie złudzeń. Szkoda, że nie uro-



działem się prosapem. Bez moich zdolności byłbym jednym z nich i nie wiedziałbym tego wszystkiego, co wiem dzisiaj. Należałbym do fanów Radosnego Włóczęgi, którzy przyjmują za dobrą monetę to, co im się mówi i we wszystko wierzą, bo widzieli to na wielkim ekranie w stereo i w kolorze, jak żywe. A tak jestem nie wiadomo kim, niby kogiem, ale... Wszystko gra gdy wpadam w stan śpiączki, w ten cholerny trans; wtedy o niczym nie myślę, nie słyszę szyderczego głosu w moim wnętrzu.

— Jakiego szyderczego głosu? O co ci chodzi? — Pete rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

— A ty nie słyszysz w sobie takiego szyderczego głosu? — spytał zaskoczony Lars.

— W żadnym razie! Za to głos w moim wnętrzu mówi mi: Jesteś wart dwa razy więcej poskredów niż ci płacą. Tak mówi głos w moim wnętrzu i ma rację. Wkrótce zamierzam porozmawiać z Jackiem Lanfermanem o podwyżce.

Oczy Pete'a zabłysły udanym gniewem.

— Myślałem, że czujesz się tak jak ja — powiedział Lars.

Doszedł teraz do wniosku, że zakładał, iż wszyscy, nawet generał George McFarlane Nitz, mają taką jak on postawę wobec tego, czym się zajmują, że wstyd i poczucie winy nie pozwalają im spojrzeć w oczy innym.

— Wyskoczmy za róg napić się kawy — zaproponował Pete.

— Istotnie, powinniśmy zrobić przerwę.

## 5.

Lars wiedział, że kawiarnia jako instytucja ma za sobą długą i bogatą historię. Wynalazek, jakim była kawiarnia, wymiół pajęczyny z umysłów angielskiej inteligencji za czasów Samuela Johnsona i wytępił ciemnotę odziedziczoną w spadku po siedemnastowiecznych pubach. Zdradliwe *stout*, *sack* czy *ale* nie sprzyjały mądrości, żywości umysłu, pisaniu poezji, czy choćby wyznawaniu sensownych poglądów politycznych. Przyczyniły się natomiast do powstania silnej wzajemnej niechęci, która przerodziła się w religijną bigoterię. Ta zaś wraz z ospą zdziesiątkowała naród angielski.

Kawa odwróciła ten trend. W historii nastąpił decydujący zwrot... a wszystko to z powodu kilku zmarzniętych ziarenek, które znaleźli pośród śniegu obrońcy Wiednia po wycofaniu się Turków.

Przy stoliku siedziała z filiżanką w dłoni mała, ładniutka panna Bedouin. Zgodnie z modą wyeksponowała piersi zakończone srebrnymi stożkami.

— Panie Lars! — zawołała na jego widok. — Niech pan siądzie przy mnie!

— Dobrze — odparł Lars, po czym on i Pete usiedli przy stoliku panny Bedouin.

Przyglądając się uważnie dziewczynie Pete oparł na stole owłosione łapska i splótł palce.

— Hej — zwrócił się do niej — jak to możliwe, że jeszcze nie wysadziłaś z siodła tej dziewczyny, która prowadzi jego biuro w Paryżu, tej Maren Jakiejśtam?

— Panie Freid — zaoponowała panna Bedouin — nie traktuję nikogo jako obiektu zainteresowania seksualnego.

Pete uśmiechnął się szeroko.

— Jaka ona szczerza i bezpruderyjna — rzekł rzuciwszy Larsowi znaczące spojrzenie.

Istotnie, pomyślał Powderdry, pana Larsa z firmy Lars Incorporated traktuje tak bezpruderyjnie, że aż bezpłciowo. Cóż za ironia losu! A jaka strata.

Jednak panna Bedouin nie domyśliła się, o co chodzi. Była w najwyższym stopniu prosapką. Zachowywała się tak, jakby dla czterech bilionów mieszkańców Zachbłoku i Wschodniego Oka na nowo nastała era sprzed Upadku. Ciężar, który niegdyś dźwiga-

li wszyscy, teraz spoczywał wyłącznie na barkach kogów. Kogowie uwolnili swoją rasę od przekleństwa... jeśli słowo „kog” naprawdę wywodziło się łacińskiego *cogito, cogno-sco*, nie zaś, jak podejrzewał, od angielskiego „cog”.

Stara angielska definicja zawsze wydawała się Larsowi niezwykle celna. „Cog”. Oszukiwać przy grze w kości, innymi słowy kantować, cyganić, nabierać, szachrować.

Ja też mógłbym być szczery, pomyślał, gdybym o niczym nie wiedział. Szczerość to żadna cnota. Od czasów średniowiecza głupiec — bez obrazy, panno Bedouin — ma prawo bredzić co mu ślina na język przyniesie. Załóżmy jednak, że w tej chwili, gdy cała nasza trójka siedzi w kawiarni, dwóch mężczyzn kogów i apetyczna prosapka o srebrnych stożkach na sutkach, której główne zajęcie sprowadza się do nieustającej troski o to, by jej istotnie ładne, spiczaste piersi możliwie najbardziej rzucały się w oczy... założmy, że mógłbym jak ty radośnie trzepać trzy po trzy i nie musiał się przy tym pilnować, by czasem nie wysnęło mi się coś, co wiem, lecz co powinienem zachować wyłącznie dla własnej wiadomości.

Rany zabiłyby się, pomyślał. Mógłbym odstawić prochy. Skończyłyby się bezsenne noce.

— Panno Bedouin — powiedział. — Ja panią kocham. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć. Mówię o miłości duchowej. Nie cielesnej.

— Jasne — rzekła panna Bedouin.

— Kocham panią — ciągnął Lars — ponieważ panią podziwiam.

— Tak bardzo ją podziwiasz, że nie możesz z nią pójść do łóżka? — zapytał mrukliwie Pete. — Dziecinada! Lars, ile ty masz lat? Prawdziwa miłość polega na tym, że się chodzi do łóżka, jak w małżeństwie. Czyż nie mam racji, panno Jakcitam? Gdyby Lars cię naprawdę kochał...

— Zaraz to wyjaśnię — przerwał mu Lars.

— Nikt nie chce słuchać twoich wyjaśnień — powiedział Pete.

— Daj mi szansę — rzekł Lars. — Podziwiam ją ze względu na jej pozycję.

— Podziwiał ją sobie, ale nie w pozycji pionowej — odparł Pete cytując wielkiego poetę i kompozytora z ubiegłego wieku, Marca Blitzsteina.

— Moja pozycja jest aż nazbyt pionowa — rzekła panna Bedouin z błyskiem gniewu w oczach. — To właśnie przed chwilą powiedziałam. I nie tylko...

Przerwała, bo koło ich stolika pojawił się nagle mały, starszawy człowieczek o lśniących białych włosach, spod których przeświecała gdzieś różowa skóra. Na nosie miał staroświeckie okulary, a w dłoni trzymał teczkę. Jego zachowanie stanowiło dziwną kombinację nieśmiałości z determinacją. Miało się wrażenie, że gdyby tylko mógł, chętnie opuściłby kawiarnię.

— Kupiec — powiedział Pete.

— Nie — rzekła panna Bedouin. — Jak na kupca nie jest dość dobrze ubrany.

— To ktoś z sądownictwa — powiedział Lars. Starszawy, niski pan wyglądał mu na urzędnika. — Nie mylę się? — Spojrzał na człowieka.

— Pan Lars? — spytał z wahaniem w głosie starszy pan.

— To ja — odrzekł Lars.

Najwyraźniej jego podejrzenie było słuszne.

— Kolekcjoner autografów — powiedziała z tryumfem panna Bedouin. — On chce pana autograf, panie Lars. Rozpoznał pana.

— To nie byle kto — dodał Pete po namyśle. — Spójrzcie na tę szpilkę w jego krawacie. Prawdziwy rżnięty kamień. Ale kto dzisiaj nosi...

— Panie Lars — powiedział starszy pan przysiadając niepewnie na brzegu ławki. Odsunął cukier, sól oraz puste filiżanki po kawie i położył przed sobą teczkę. — Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Ale mam do pana sprawę.

Mówił cichym, słabym głosem. Przypominał Świętego Mikołaja, a jednak przyszedł tu w interesach. Nie przyprowadził ze sobą elfów i nie zamierzał rozdawać zabawek. Był profesjonalistą: wskazywał na to sposób, w jaki położył na stole teczkę.

W pewnej chwili Pete trącił Larsa łokciem i wskazał dwóch młodych mężczyzn, którzy stali obok pustego stolika przy drzwiach i mieli rybie, pozbawione wyrazu twarze. Przyszli razem ze starszym facetem i nie spuszczały wzroku ze stolika.

Lars natychmiast wyciągnął z kieszeni marynarki dokumenty, które zawsze nosił przy sobie.

— Dzwon po policję — rzekł do panny Bedouin.

Kobieta zamrugła oczami i z wahaniem podniosła się z miejsca.

— Rusz się — popędził ją szorstko Lars, po czym powiedział głośno: — Niech ktoś wezwie policję!

— Proszę — rzekł starszy pan błagalnie, lecz z lekką irytacją w głosie. — Zajmę panu tylko chwilę. Jest coś, czego nie rozumiemy.

Lars ujrzał lśniące, kolorowe zdjęcia. Natychmiast je rozpoznał. Były to zgromadzone przez KACH reprodukcje jego wcześniejszych szkiców, od 260 do 265, plus zdjęcia ostatnich dokładnych stereogramów, które miały być przedstawione Stowarzyszeniu Lanfermana.

Rozkładając dokument Lars rzekł do starszego człowieka:

— To jest zakaz nagabywania. Zna pan jego treść?

Starszy człowiek niechętnie skinął głową.

— „Każdy urzędnik pracujący w rządzie Związku Sowieckiego” — zacytował Lars — „Chin Ludowych, Kuby, Brazylii, Republiki Dominikany...”

— Tak, tak — zgodził się starszy pan.

— „... i wszystkich innych wspólnot etnicznych lub narodowych należących do Wschodniego, który nagabuje, naprzykrza się, grozi, dopuszcza rękoczynów na powo-

dzie, to znaczy na mnie, Larsie Powderdryu, lub w jakikolwiek inny sposób absorbuje go lub przebywa w niedozwolonej od niego odległości, zostaje zatrzymany...”

— Dość, wystarczy — rzekł starszy pan. — Jestem sowieckim urzędnikiem. Zgodnie z prawem nie wolno mi z panem rozmawiać i pan o tym wie. Chodzi mi jednak o szkic numer 265. Niech pan spojrzy. — Podsunął Larsowi spreparowaną przez KACH odbitkę. Lars udał, że jej nie widzi. — Któryś z pana podwładnych napisał na tym, że to jest... — pomarszczonym, tłustym palcem powiódł po umieszczonych w dolnym rogu słowach w języku angielskim — „Pistolet Ewolucyjny”. Nie pomyliłem się?

— Pomyliłeś się — rzekł głośno Pete. — Pilnuj się, bo zrobię z ciebie kupkę plazmy.

— Nie chodzi o szkic z transu — powiedział sowiecki urzędnik uśmiechając się przebiegle. — Muszę mieć prototyp. Pan jest ze Stowarzyszenia Lanfermana? To pan skonstruował i przetestował model? Tak, myślę, że to pan. Nazywam się Aksel Kaminsky. — Wyciągnął do Pete’a dłoń. — A pan...?

Na chodnik przed kawiarnią opadł z hukiem miejski pojazd patrolowy. Do kawiarni wpadli dwaj umundurowani policjanci z rękami na kaburach, obejmując spojrzeniem wszystkich i wszystko, bo każdy mógł przecież okazać się niebezpieczny, dopuścić się złego czynu i/lub wykonać jakiś podejrzaný gest, a zwłaszcza wyciągnąć broń.

— Tutaj — rzekł ponuro Lars.

Nie robił tego dla przyjemności, ale sowieckie władze zachowywały się naprawdę idiotycznie. Jakże mogli mieć nadzieję, że tak po prostu podejdą do niego, Larsa, w miejscu publicznym? Pokazał jednemu z policjantów zakaz nagabywania.

— Ten człowiek — powiedział wskazując starszawego urzędnika Wschodniego Oka, który zmarszczywszy brwi nerwowo przebierał palcami po teczce — nie respektuje postanowień Departamentu Trzeciego Sądu Najwyższego Hrabstwa Queens. Proszę go aresztować. Mój adwokat obciąży go kosztami rozprawy. Czułem się w obowiązku poinformować panów o niniejszym fakcie — powiedział.

Począł, aż policjanci przestudują zakaz.

— Chcę tylko dowiedzieć się — powiedział żałośnie sowiecki urzędnik — czym jest element 76 według pańskiej numeracji. Do czego się odnosi ten numer?

Urzędnik został wyprowadzony z kawiarni. Stojący przy drzwiach dwaj cisi, superschludni, modnie ubrani młodzi mężczyźni o rybich oczach, powiedli wzrokiem w ślad za wychodzącym towarzyszem, ale nie uczynili nic, co by mogło przeszkodzić akcji miejskiej policji. Pozostali bierni i obojętni.

— Ogólnie rzecz biorąc — powiedział Pete siadłszy na miejsce — obyło się bez większego zamieszania. — Mimo to miał kwaśną minę. Najwyraźniej nie spodobało mu się niedawne zajście. — Założę się, że on jest z ambasady.

— Też tak sądzę — zgodził się Lars.

Starszawy urzędnik prawdopodobnie pracował w ambasadzie ZSRR, nie w SeRKe-

ie. Starał się jedynie postępować według instrukcji, które dostał z góry. Pragnął zadowolić swoich przełożonych. Spotkanie z Larsem i policją nie było przyjemne również dla Sowietów.

— To zabawne, że tak się interesują pozycją 265 — rzekł Pete. — My z tym nie mieliśmy żadnych problemów. Jak myślisz, który z twoich ludzi pracuje dla KACH-u? Czy warto, żeby tę sprawę zbadała FBI?

— Nie ma najmniejszej szansy — odparł Lars — że FBI albo CIA wywęszy, kto z naszych pracuje dla KACH-u. Dobrze o tym wiesz. A może to ktoś ze Stowarzyszenia Lanfermana? Widziałem zdjęcia waszych modeli.

Lars już dawno domyślił się, że w jego otoczeniu działa szpieg. Nie zadał sobie jednak trudu, by sprawdzić, czy w firmie Lars Incorporated pracuje człowiek KACH-u ani też czy Wschodnie Oko wie równie wiele o produktach jego działalności co on o wytworach panny Topczew. Martwiło go, że numer 265 ma jakąś wadę. Larsowi podobał się ten model. Z zainteresowaniem śledził etapy jego produkcji. W tym tygodniu w podziemnych labiryntach Stowarzyszenia Lanfermana testowano właśnie prototyp.

To znaczy nie testowano go *sensu stricte*...

Gdyby jednak Lars zbyt wiele zastanawiał się nad takimi sprawami, musiałby porzucić swój fach. Nie winił za nic Jacka Lanfermana, a już z całą pewnością nie Pete'a. Żaden z nich nie ustalał reguł gry. Podobnie jak Lars poddawali się losowi.

Tymczasem w labiryntach łączących firmę Lanfermana z jej filią w Los Angeles, które stanowiły jedynie wysunięty na południe fragment podziemnej sieci korytarzy, przygotowywano się do testowania numeru 265, czyli Pistoletu Ewolucyjnego (taką oto nazwę dano mu naprędce, zaznaczając, że to model roboczy). Pistolet został wydarty z tajemniczego świata penetrowanego po omacku przez media mody militarnej i miał teraz pokazać, co potrafi, czyli jak mówią prosapy, zaprezentować się w akcji.

Bronią numer 265 potraktuje się substytut złoczyńcy. Wszystko zostanie zarejestrowane przez reporterów telewizyjnych, pojawi się w czasopiśmie, książkach, homeogazetach, telewizji, wszędzie poza małymi wypełnionymi helem sterowcami, które ciągną za sobą czerwone neonowe reklamy.

Tak, pomyślał Lars, Zachodni Blok może to dołączyć do zbioru środków, za pomocą których utrzymuje prosapy w stanie zupełnej naiwności i ciemnoty. Nocą po niebie powinno powoli przelecieć coś, co się świeci albo, tak jak dawniej, powinno w nieskończoność telepać się wokół wieżyczki na szczycie jakiegoś drapacza chmur, w pożądanym stopniu działając budująco na tłumy. Ze względu na specyficzny rodzaj tego środka masowego przekazu informacja powinna być rzecz jasna sformułowana prosto.

Sterowiec, uznał Lars, mógłby latać z prowokującą informacją: „Pokaz działania broni 265 w podziemiach Kalifornii to zwykła blaga”.

Prosapy by i tak tego nie doceniły. Czego nie można powiedzieć o NZ-Z Narbezie,



uświadomił sobie Lars. Bez kłopotu poradziłby sobie z przeciekiem informacji. Kogowie pozostaliby niewzruszeni, nawet gdyby podano do wiadomości publicznej wszystkie informacje, które są w ich posiadaniu i które zapewniają im status elity rządzącej. Wszystko odbiłoby się na prosapach. To właśnie przyprawiało Larsa o bezsilny gniew, który z każdym dniem coraz bardziej podważał sens jego życia i pracy.

Zdał sobie sprawę, że mógłby tu i teraz, w kawiarni Joe's Sup & Sip wstać z miejsca i krzyknąć: Nie ma żadnej b r o n i! W rezultacie ujrzałby jedynie kilka pobladłych ze strachu twarzy.

Chwilę później rozzłoszczone prosapy jak najszybciej opuściłyby kawiarnię.

Wiem o tym ja, wie Aksel Kandinsky, czy Kaminsky, czy jak tam się zwie ten dobrotliwy, starszy wiekiem urzędnik z sowieckiej ambasady, wie też Pete. Wie generał Nitz i jemu podobni.

Model 265 nie ustępuje pod względem doskonałości niczemu, co dotąd stworzyłem i co kiedykolwiek stworzę. To Pistolet Ewolucyjny, który powinien każdą rozumną, wysoko zorganizowaną formę życia pozostającą w zasięgu pięciu mil cofnąć w rozwoju o dwa biliony lat. Powinien zamienić ją w swego przodka z dalekiej przeszłości; precyzyjnie ukształtowane struktury morfologiczne powinny stać się czymś w rodzaju ameby, pozbawionym szkieletu śluzem, jednokomórkowym organizmem, czymś na podobieństwo molekuly białka. To właśnie prosapy zobaczą o szóstej w telewizyjnych wiadomościach, zaś w rzeczywistości całe zdarzenie będzie miało miejsce jedynie w pewnym sensie.

W takim mianowicie, że przed kamerami odbędzie się sztucznie zaimprovizowane widowisko. Głuptaki będą mogły pójść spać szczęśliwe i z poczuciem, że życia ich i ich dzieci broni przed Wrogiem, to znaczy Wschodnim Okiem młot Thora. Tymczasem Wróg również z zapalonym testuje siejącą spustoszenie broń łązawicą.

Gdyby firma Lanfermana zbudowała, powołała do istnienia modele od 260 do 280, Bóg byłby zaskoczony, może nawet pełen podziwu, jakiego zniszczenia potrafią dokonać te modele. Grzech pychy, grecka *hubris*, jak *logos* znalazłaby ucieleśnienie w materii, a dokładnie w miniaturowej strukturze zaopatrzonej w systemy rezerwowe na wypadek, gdyby zawiódł jakiś element wielkości komara.

Nawet Bóg, jeśli popatrzeć na stworzony przez niego świat, nie wykorzystał miniaturowych systemów rezerwowych. Postawił wszystko na jedną niepewną kartę, na rozumną rasę, która teraz nagrywa na trójwymiarowej, ultrastereofonicznej, magnetycznej taśmie audiowizualnej coś, co nie istnieje. Niczego nie krytykuj, dopóki sam nie spróbujesz, pomyślał Lars. Wstrzymajmy się jednak przed zbyt pochopną krytyką. Ponieważ uzyskanie wyraźnych, trójwymiarowych ultrastereofonicznych ujęć na magnetycznej taśmie audiowizualnej czegoś, co nie istnieje, nie jest rzeczą prostą. Upłynęło trochę czasu zanim nauczyliśmy się to robić.

— Kapłani w starożytnym Egipcie — powiedział Lars. — Mniej więcej w czasach Herodota.

— Co takiego? — spytał Pete.

— Wykorzystywali ciśnienie hydrauliczne, na odległość mogli otwierać drzwi świątyni, gdy wznosili w górę ręce, by modlić się do bogów o głowach zwierząt.

— Nie wiem, o co ci chodzi — powiedział Pete.

— Nic nie rozumiesz? — spytał Lars zaskoczony. Dla niego wszystko było oczywiste. — Pete, to jest monopol. Z tym właśnie mamy do czynienia. — Z jakimś cholernym monopolem. W tym cała rzecz.

— Zwariowałeś — rzekł Pete opryskliwie. Bawił się uszkiem pustej filiżanki. — Nie daj się zwariować temu fagasowi ze Wschodniego Oka.

— Nie chodzi o niego. — Lars chciał powiedzieć, co mu leży na sercu. — Pod ziemią w Monterey — powiedział — tam, gdzie nikt nie widzi. Tam, gdzie testujecie prototypy. Tam się wysadza miasta, niszczy satelity... — Przerwał w pół zdania. Pete ostrzegawczo wskazał głową pannę Bedouin. — Satelita jeż — zaczął ostrożnie Lars myśląc o najgroźniejszych z jeszcze istniejących rodzajów broni. Jeży nic się nie imało. Spośród ponad siedmiuset satelitów na orbicie okołozemskiej prawie pięćdziesiąt stanowiły jeże. — Pozycja numer 221 — powiedział. — Jonizująca Ryba, która rozkłada się na cząsteczki i przenosi w postaci gazu...

— Zamknij się — rzekł surowo Pete.

W milczeniu dopili kawę.



## 6.

Tego wieczora Lars Powderdry spotkał się ze swoją kochanką Maren Faine, która pracowała w paryskiej filii firmy Lars Incorporated, gdzie prowadziła biuro urządzone starannie jak...

Szukał odpowiedniego porównania, lecz upodobania estetyczne Maren nie dawały się opisać. Lars z rękami w kieszeniach rozglądał się wokoło, tymczasem Maren zasiadła przed toaletką, aby przygotować się do wyjścia w prawdziwy świat. Dla niej życie zaczynało się z chwilą zakończenia pracy, mimo że zajmowała kierownicze stanowisko. Logicznie rzecz biorąc powinna być zorientowana na robienie kariery zawodowej. Była wszak kalwinką.

Tak się jednak nie działo. Maren liczyła sobie dwadzieścia dziewięć lat, była dość wysoka — boso mierzyła metr siedemdziesiąt — i miała płomiennie rude włosy. Może nie zupełnie rude; miały mahoniowy odcień i naturalny połysk. Tak, Maren miała autentycznie rude włosy, nie farbowała ich.

Maren obudziła się rozpromieniona i z błyszczącymi oczami, pomyślał Lars.

Ale jakie to ma znaczenie? Kogo może to obchodzić o siódmej trzydzieści rano? O tej porze dnia piękna, dobrze zbudowana, nieco za wysoka kobieta, pełna życia i wdzięku, stanowi obrazę dla zdrowego rozsądku. Po kilku tygodniach znajomości nie wzbudza już pożądania, działa raczej odstręczająco. Trudno ciągnąć to wszystko dalej...

— Nic cię nie obchodzi, co się tutaj dzieje — powiedział Lars, gdy Maren wróciła do biura z płaszczem narzuconym na ramiona.

— Masz na myśli ten interes? To znaczy firmę? — Jej kocie oczy rozszerzyły się z rozbawienia. Górowała nad nim. — Słuchaj, całą noc masz moją somę, a cały dzień duszę. Czego jeszcze chcesz?

— Nienawidzę wykształcenia — odparł Lars. — Mówię serio. Soma. Gdzie ty się tego nauczyłaś?

Był głodny, poirytowany i jakiś rozbity. Ze względu na zmianę stref czasowych Lars był na nogach od szesnastu godzin.

— Nienawidzisz mnie — powiedziała Maren tonem doradcy małżeńskiego. Zdawała

się mówić: znam twoje prawdziwe motywacje, choć ty sam ich nie znasz.

Patrzyła mu prosto w oczy; nie bała się jego reakcji. Lars uprzytomnił sobie, że chociaż każdego dnia może ją wylać z pracy, a każdej nocy wyrzucić ze swego paryskiego mieszkania, nie ma nad nią żadnej władzy. Nawet jeśli robienie kariery nie ma dla Maren żadnego znaczenia, pracę może znaleźć wszędzie. W każdej chwili. Nie potrzebuje Larsa. Gdyby ją rzucił, tęskniłaby za nim jakiś tydzień, byłoby jej na tyle przykro, że po trzeciej szklance martini rzuciłaby wiązką wyzwisk pod jego adresem... i na tym by się skończyło.

Gdyby natomiast on ją stracił, nigdy by się z tego nie otrząsnął.

— Chcesz iść na obiad? — spytał bez entuzjazmu.

— Nie — odparła Maren. — Chcę się pomodlić.

Wytrzeszczył na nią oczy.

— Co takiego?

— Chcę pójść do kościoła, zapalić świecę i pomodlić się — wyjaśniła spokojnie. — Co w tym takiego dziwnego? Robię to parę razy w tygodniu. Przecież wiesz. Wiedziałaś o tym, gdy po raz pierwszy... poznałeś mnie — dokończyła subtelnie. — W sensie biblijnym. Powiedziałaś mi o tym tamtej pierwszej nocy.

— W czyjej intencji ta świeca? Świecę pali się zawsze w czyjeś intencji.

— To moja tajemnica — rzekła Maren.

— Idę spać — odparł Lars, zbity z pantałyku. — Może dla ciebie to jest szósta po południu, ale dla mnie jest druga w nocy. Chodźmy do ciebie. Zrobisz mi lekką kolację i położę się spać, a ty pójdziesz się pomodlić.

Ruszył do drzwi.

— Słyszałam — powiedziała Maren — że dopadł cię dziś jakiś sowiecki urzędnik.

Lars się zaniepokoił.

— Skąd wiesz?

— Dostałam ostrzeżenie. Z Rady. Do firmy wystosowano oficjalne ostrzeżenie, że mamy wystrzegać się niskich mężczyzn w starszym wieku.

— Niezbyt w to wierzę.

Maren wzruszyła ramionami.

— Paryskie biuro powinno być poinformowane. Chyba się zgodzisz? To wydarzyło się w miejscu publicznym.

— Nie szukałem tego idioty! Sam do mnie poszedł... zwyczajnie piłem kawę.

Mimo tej deklaracji czuł się nieswojo. Czy Rada naprawdę wystosowała oficjalne ostrzeżenie? Jeśli tak, powinien zacząć mieć się na baczności.

— Ten generał — powiedziała Maren — zawsze zapominam jak się nazywa... ten, którego się boisz. Nitz. — Uśmiechnęła się. Lars poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu sztylet w serce. — Generał Nitz porozumiał się z nami tutaj, w Paryżu, przez zamkniętą sieć

wideofoniczną i powiedział, żebyśmy zachowywali większą ostrożność. Powiedziałam, że z tobą porozmawiam. A on powiedział...

— Zmyślasz — przerwał jej Lars, ale widział, że Maren mówi prawdę.

Prawdopodobnie miało to miejsce w trakcie jego godzinnego spotkania z Akselem Kaminskyem. Maren miała cały dzień na to, by przekazać mu ostrzeżenie generała Nitza. To było w jej stylu: poczekać aż do teraz, gdy spadł mu poziom cukru we krwi i gdy czuł się bezbronny.

— Lepiej do niego zadzwonię — powiedział bardziej do siebie niż do Maren.

— On już śpi. Sprawdź na rozkładzie stref czasowych, która jest w Portland w Oregonie. W każdym razie wszystko mu wyjaśniłam.

Wyszła na korytarz i Lars machinalnie podążył za nią. Poczekali razem na windę, która miała ich zawieźć na dachowe lądowisko, gdzie stał zaparkowany skoczek Larsa, własność firmy. Maren nuciła coś radośnie, co doprowadzało Larsa do szału.

— Co wyjaśniłaś?

— Powiedziałam, że od dłuższego czasu myślisz o zmianie frontu, jeśli nie będziesz tutaj lubiany i doceniany.

— I co on na to? — spytał Lars bezbarwnym głosem.

— Generał Nitz powiedział, że tak, zawsze zdawał sobie sprawę, że możesz zmienić front. On ciebie bardzo cenił. W zeszłą środę dyskutowali o tobie wojskowi z Rady na specjalnym posiedzeniu przy drzwiach zamkniętych w Festung Waszyngtonie. Ludzie generała Nitza zdali raport, w którym była mowa o tym, że mają w pogotowiu jeszcze trzech projektantów mody militarnej. Te trzy media znalazł psychiatra ze stanu Utah z Kliniki Świętego Jerzego w Wallingford.

— Czy Portland leży na tym samym równoleżniku co Paryż?

— Mniej więcej.

Lars dokonał w pamięci szybkiego obliczenia.

— W Oregonie nie jest druga w nocy, tylko południe. Samo południe.

Ruszył z powrotem do biura.

— Zapominasz — powiedziała Maren — że mamy teraz czas Toliver Econ.

— Ale w Oregonie słońce jest teraz w zenicie!

— Jednak według T. E. nadal jest druga w nocy — wyjaśniła Maren cierpliwym głosem. — Nie dzwoń do generała Nitza, daj spokój. Gdyby chciał z tobą porozmawiać, zadzwoniłby do biura w Nowym Yorku, nie tutaj. On cię n i e l u b i; w tym cała rzecz, niezależnie od tego, czy jest środek nocy czy dnia.

Obdarzyła go miłym uśmiechem.

— Starasz się wpędzić mnie w kompleksy — powiedział Lars.

— Mówię prawdę — zaprzeczyła Maren. — Chcesz wiedzieć, na czym polega twój problemem?

— Nie — odparł. — Nie chcę.

— Twój problem...

— Odczep się.

— Twój problem polega na tym — ciągnęła Maren — że czujesz się nieswojo, gdy stykasz się z bajkami lub, jak to nazywasz, kłamstwami. Dlatego po całych dniach jesteś nieswoj. Jednak gdy tylko ktoś zaczyna mówić prawdę, natychmiast wpadasz w obłąd; chorujesz psychicznie i fizycznie.

— Mhm.

— Naturalną reakcją na takie zachowanie — ciągnęła Maren — jest dalej opowiadać ci bajki. Tak przynajmniej postąpią ci, którzy muszą mieć z tobą do czynienia. Skoro jesteś tak wybuchowy i zmienny...

— Och, zamknij się. Nitz podał ci jakieś szczegóły dotyczące tych nowych mediów, które odkryli?

— Pewnie. Jeden to mały chłopiec, gruby jak beczka i bez przerwy ciamkający lizaka, wyjątkowo antypatyczny. Drugi to stara panna w średnim wieku, pochodzi z Nebraska. Trzeci...

— Bajki — przerwał jej Lars. — Teraz to już nie bajki.

Ruszył korytarzem do biura Maren. Chwilę później włączył jej wideotelefon i wykręcił numer Rady w Festung Waszyngtonie.

Rozległ się ostry trzask. Obraz skurczył się, niewiele wprawdzie, lecz zauważalnie, co było widać przy bliższym przyjrzeniu. Jednocześnie zapaliło się czerwone ostrzegawcze światło.

Do kabla wideofonu podłączono podsłuch. I to nie jakoś subtelnie, za pomocą jednego drucika, ale całej wiązki, widocznej na pierwszy rzut oka. Lars natychmiast wyłączył urządzenie, wstał i wrócił do Maren, która przepuściła już jedną windę i z pogodną miną czekała na kochanka.

— Twój wideofon jest na podsłuchu.

— Wiem — odparła Maren.

— I nie wezwałaś PT&T, żeby przyszli i usunęli podsłuch?

— Posłuchaj — zaczęła Maren uprzejmym tonem, jakby rozmawiała z osobą o poważnych deficytach umysłowych — oni i tak wszystko wiedzą.

O n i to dość niejasne określenie. Miała na myśli albo KACH, bezstronną agencję wynajętą przez Wschodnie Oko, albo jakąś instytucję związaną z jego rządem, taką jak KVB. Maren miała rację. Nieważne jacy oni, ale o n i i tak wszystko wiedzieli.

Mimo to rozzłościło go, że próbowano podsłuchiwać go w taki sposób: nikt palcem nie kiwnął, żeby chociaż przez zwykłą formalność ukryć to wrogie, samosterowne, wysoce nienaturalne elektroniczne urządzenie.

— Założyli to któregoś dnia w zeszłym tygodniu — rzekła Maren w zadumie.

— Nie mam nic przeciwko temu, że mała klasa ma monopol na wiedzę — odparł Lars. — Nie martwi mnie fakt, iż jest niewielu kogów i mnóstwo prosapów. Tak naprawdę każdym społeczeństwem rządzi jakaś elita.

— Więc w czym problem, kochanie ty moje?

— Martwi mnie — odrzekł Lars, gdy zjawiła się winda i razem z Maren wszedł do środka — że w tym wypadku owa elita nie zawraca sobie głowy strzeżeniem wiedzy, która czyni z niej elitę.

NZ-Zach prawdopodobnie rozprowadza za darmo bezpłatną broszurę, pomyślał, za tytułowaną, dajmy na to: OTO JAK WAMI RZĄDZIMY, DRODZY OBYWATELE: CZY ZAMIERZACIE W ZWIĄZKU Z TYM COŚ ZROBIĆ?

— Należysz do elity rządzącej — przypomniała mu Maren.

— Trzymasz telepatyczną przystawkę mózgową — odparł Lars spoglądając na kochankę. — Mimo Zarządzenia Behrena.

— Jej zainstalowanie kosztowało mnie pięćdziesiąt milionów — rzekła Maren. — Naprawdę myślisz, że mam zamiar to wyłączyć? Warto mieć takie urządzenie. Spójrz tylko: Informuje mnie o tym, czy jesteś mi wierny, czy też wy bywasz do mieszkania jakiejś...

— A więc czytasz w mojej podświadomości.

— W istocie. Tylko właściwie po co? Po co komu wiedzieć, gdzie przechowujesz te wszystkie paskudne problemy, o których wolisz zapomnieć...

— A jednak czytasz! Dowiadujesz się, co planuję, poznajesz moje przyszłe posunięcia, które są dopiero w fazie zamiarów.

Maren potrząsnęła głową.

— Wiele hałasu o nic.

Zachichotała na widok wyrazu jego twarzy. Pojazd działający w trybie auto — auto wzniosł się ponad korytarz powietrzny przeznaczony dla dolatujących do pracy i zbliżał się do granicy miasta. Lars machinalnie poinstruował go, by opuścił Paryż... Bóg wie czemu.

— Zanalizuję cię, drogi misiaczku — rzekła Maren. — To doprawdy wzruszające, co też ty tam tak przemyślisz w tym swoim niedorozwiniętym mózdzku. — Niedorozwiniętym, jeśli nie liczyć owego wyrzucenia na płatach czołowych, które robi z ciebie medium.

To, co mówiła Maren było najczystsza prawdą.

— Cichutki wewnętrzny głosik w twojej główce krzyczy — ciągnęła Maren. — Dlaczego prosapy wierzą w coś, co nie jest prawdą? Dlaczego nie mówi im się prawdy? — Głos Maren stał się współczujący, co jak na nią było dość dziwne. — Lars, czyż ty nie możesz pojąć, że prosapy nie zaakceptowałyby czegoś innego?

## 7.

Po obiedzie wrócili do paryskiego mieszkania Maren. Lars myszkował po salonie i czekał, aż Maren się przebierze „w coś wygodniejszego” jak to określiła Jean Harlow w pewnym starym, lecz wciąż aktualnym filmie.

W pewnej chwili natknął się na jakieś urządzenie, które stało na niskim stoliku z imitacji drewna. Urządzenie wydało mu się dziwnie znajome. Podniósł je ze stolika i z zaciekawieniem poobracał w dłoniach. Niby już gdzieś je widział, a mimo to z niczym go nie kojarzył.

— Co to jest? — zawołał przez uchylone drzwi do sypialni. Rozebrana do bielizny Maren krzątała się między łóżkiem i szafą. — To przypomina ludzką głowę pozbawioną twarzy. Ma wielkość piłki baseballowej.

— To lemieszowano na podstawie numeru 202! — odkrzyknęła wesoło Maren.

— To mój projekt?

Lars wpatrywał się w urządzenie. Zlemieszowany projekt przeznaczony do sprzedaży detalicznej na mocy decyzji jednego z zatrudnianych przez Radę konkomodatorów.

— Do czego to służy? — spytał nie znalazłszy włączników.

— Do zabawiania.

— Jak to?

Maren na chwilę pojawiła się w drzwiach. Była naga.

— Powiedz coś do niego.

— Bardziej mnie bawi patrzeć na ciebie — rzekł Lars spoglądając na kochankę.

— Przybyło ci z półtora kilo.

— Zadaj Orvillowi pytanie — powiedziała Maren. — Stary Orvill to prawdziwy krzyk mody. Ludzie zamykają się z nim w domach, by po całych dniach zadawać mu pytania i wysłuchiwać odpowiedzi. Nic innego w tym czasie nie robią. On zastępuje im nawet religię.

— Religia nie ma sensu — rzekł Lars poważnym głosem.

Jego doświadczenia z wielowymiarową rzeczywistością wyprowadziły go z błędu: wiara nie ma żadnych podstaw. Jeśli ktokolwiek z żyjących miał prawo rościć sobie pre-

tensje do znajomości „drugiego świata” był to on, Lars. Tymczasem nie odkrył żadnego transcendentalnego świata.

— W takim razie powiedz mu kawał — rzekła Maren.

— Wolę po prostu odstawić go na miejsce.

— Zupełnie cię nie obchodzi, w jaki sposób lemieszuje się twoje projekty.

— Pewnie. To nie moja sprawa. — Mimo to starał się przypomnieć sobie jakiś kawał. — Co to jest: ma sześcioro oczu — powiedział — coraz większą entropię, nosi melonik...

— Nie możesz wymyślić nic poważniejszego? — przerwała mu Maren. Wróciła do sypialni, by się ubrać. — Lars, pod wieloma względami odbiegasz od normy.

— Mhm.

— W sensie negatywnym. Masz skłonność do samodestrukcji.

— Lepsze to od skłonności do mordowania innych — odparł Lars.

Zwrócił się do trzymanej w dłoni małej kuli, by zadać jej następujące pytanie:

— Czy popełniam błąd litując się nad sobą samym? Walcząc z radą miasta? Rozmawiając w przerwie na kawę z sowieckim urzędnikiem? — Odczekał chwilę, lecz nie usłyszał odpowiedzi. — A może twierdząc, że już czas, by ci, którzy myślą, iż robią maszyny do zabijania, zadawania ran i czynienia spustoszeń, mieli moralne prawo do tego, by naprawdę robić maszyny do zabijania, zadawania ran i czynienia spustoszeń zamiast takich wyrafinowanych, dekadentkich urządzeń jak ty?

Znow odczekał chwilę, ale Stary Orvill milczał.

— Zepsuł się — krzyknął Lars do Maren.

— Daj mu chwilę czasu. On składa się z czternastu tysięcy polutowanych ze sobą części, które uruchamiają się jedna po drugiej.

— To znaczy, że zawiera cały system naprowadzania z projektu 202?

Lars z przerażeniem popatrzył na Starego Orvilla. Tak, oczywiście; kula miała dokładnie taką samą wielkość i kształt jak układ naprowadzający z numeru 202. Zaczął zastanawiać się, co Orvill potrafi. Może rozwiązywać zadania, przekazywane mu drogą werbalną zamiast na taśmie perforowanej lub pokrytej tlenkiem żelaza. Jednak nie mogą przekraczać sześćdziesięciu elementów na raz. Nic dziwnego, że tak długo trzeba czekać na jego odpowiedź. Orvill rozpoczął proces integrowania danych.

202 to prawdopodobnie najlepszy projekt Larsa. I oto po zlemieszowaniu powstał Stary Orvill. Gadżet ten miał zapełnić puste dni i jałowe umysły ludzi, których pracę zredukowano do powtarzalnych prostych czynności, które byłby w stanie wykonywać wytresowany gołąb. Boże! Spełniły się najgorsze oczekiwania Larsa!

Lars P., pomyślał przypominając sobie opowiadania i powieści Kafki, obudził się pewnego ranka, by stwierdzić, że przez noc przemienił się w gigantycznego — kogo? Karalucha?



— Kim jestem? — spytał Starego Orvilla. — Zapomnij moje poprzednie pytania; odpowiedz tylko na to! Kim się stałem?

Ścisnął kulę ze złością.

W drzwiach sypialni stanęła Maren ubrana teraz w spodnie od niebieskiej chińskiej piżamy i patrzyła na rozstrzygnięcie pojedynku między Larsem i Starym Orvillem.

— Lars P. obudził się pewnego ranka, by stwierdzić, że przez noc przemienił się...

Przerwała, bo w kącie pokoju włączył się z brzękiem telewizor. Zaraz miano przeczytać biuletyn informacyjny.

Zapomniawszy o Starym Orvillu, Lars i Maren wbili wzrok w telewizor. Lars poczuł, że szybciej bije mu serce. Biuletyny informacyjne prawie zawsze podawały złe wiadomości.

Na ekranie pojawił się napis BIULETYN INFORMACYJNY i odezwał się spokojny, jak na zawodowca przystało, głos spikera:

— Działająca przy Zachłoku w Chayenne w stanie Wyoming Agencja do spraw Przestrzeni Kosmicznej NAS-BA nadała dziś komunikat, że na orbicie znajduje się nowy satelita, wysłany prawdopodobnie przez Chiny Ludowe lub Kubę Wolnej Ludzkości...

Maren wyłączyła telewizor.

— W kółko to samo.

— Czekam już tylko na dzień — powiedział Lars — w którym znajdujący się już na orbicie satelita wystrzeli swojego własnego satelitę.

— Już to robią. Nie czytasz gazet? Nie czytasz „Scientific American”? W ogóle nie wiesz? — spytała pogardliwie pół żartem, pół serio. — Jesteś głupim dzikusiem, tak jak ci kretyni, którzy uczą się na pamięć numerów rejestracyjnych, wideofonicznych albo kodów każdego regionu w Północnej Ameryce.

Podeszła do łóżka po górę od piżamy.

W ręce Larsa poruszył się zapomniany Orvill. Urządzenie przemówiło.

To było niesamowite. Lars aż zamrugał oczami, gdy usłyszał telepatyczną werbalną odpowiedź na pytanie, o którym już prawie zapomniał.

— Panie Lars.

— Tak — odparł jak zahipnotyzowany.

Stary Orvill skrzekliwie przedstawił mu wyniki długiego i pracochłonnego procesu odbioru i przetwarzania danych. Orvill był wprawdzie zabawką, lecz dość skomplikowaną. Składało się na niego zbyt wiele elementów, by chodził bez zająknięcia.

— Panie Lars, poruszył pan problem ontologiczny. Indoeuropejska struktura lingwistyczna, jaka wystąpiła w sformułowaniu zdania, uniemożliwia jego dokładną analizę. Czy mógłby pan przeformułować pytanie?

— Nie — odparł Lars po chwili namysłu.

Stary Orvill zamilkł.



— Panie Lars — rzekł wreszcie — jest pan mandragorą.

Lars nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

— Nazwał mnie człekopodobnym dziwadłem. I w dodatku cytuje Szekspira — powiedział do Maren, która już całkowicie ubrana stanęła obok Larsa i także przysłuchiwała się Orvillowi.

— Oczywiście. Korzysta z ogromnego banku danych. A czego się spodziewałeś? Że usłyszysz nowy sonet? Orvill może powtarzać tylko to, co do niego wprowadzono. Może tylko wybierać z tego, co ma, nie wymyśla nic nowego. — Autentycznie zaskoczona dodała: — Lars, teraz całkiem serio, bez wygłupów: ty naprawdę nie masz technicznego umysłu i żadnych intelektualnych...

— Cicho — przerwał jej Lars. — Stary Orvill chce jeszcze coś powiedzieć.

Gadzet jęczał przeciągle jak zwalnająca płyta:

— Pytał pan też: Kim się stałem? Stał się pan wyrzutkiem społeczeństwa. Włóczęgą. Bezdolnym. Parafrazując Wagnera...

— Ryszarda Wagnera? — zapytał Lars. — Kompozytora?

— Również dramaturga i poetę — przypomniał mu Orvill. — Aby zobrazować pańską sytuację, posłużę się cytatem z „Zygfyda”: *Ich hab’ nicht Bruder, noch Schwester, Meine Mutter...*

Na koniec Orvill powiedział:

— ... *ken’ Ich nicht. Mein Vater...*

Wtedy jego integrator danych dołączył widocznie do reszty uwagę Maren, bo zmienił swoje elektroniczne „biegi”.

— Imię „pan Lars” zmyliło mnie, myślałem, że to po staroskandynawsku. Przepraszam, panie Lars. Chciałem powiedzieć, że podobnie jak Parsifal, jest pan *Waffenlos*, bez broni... w sensie przenośnym i dosłownym. W rzeczywistości nie projektuje pan broni, jak oficjalnie twierdzi pańska firma. Jest pan *Waffenlos* także w innym, ważnym sensie. Jest pan bezbronny. Podobnie jak młody Zygfyd, zanim zabił smoka, napił się jego krwi i zrozumiał pieśń ptaka albo jak Parsifal zanim poznał swoje imię z ust pańien kwiatowych, jest pan niewinny. I to zdaje się, że w sensie negatywnym.

— Nie jest zupełnym głupcem — rzekła praktycznie Maren kiwając głową.

— Zapłaciłam za ciebie sześćdziesiąt poskredów. Paplaj dalej.

Podeszła do stolika do kawy, żeby wyjąć z pudełka cygaretkę.

Stary Orvill zwlekał z odpowiedzią, jakby rzeczywiście się zastanawiał, nie zaś, jak powiedziała Maren, wybierał jedynie informacje zakodowane w plikach z danymi.

— Wiem, czego pan chce — powiedział wreszcie. — Ma pan do rozwiązania dylemat. Nigdy go pan jasno nie sformułował, nigdy nie próbował się pan z nim zmierzyć.

— Cholera, jaki dylemat? — spytał zmieszany Lars.

— Panie Lars, żyje pan w potwornym strachu, że pewnego dnia wkroczy pan do

swojego biura w Nowym Jorku i wejdzie w trans, a kiedy oprzytomnieje, nie będzie miał do pokazania żadnych szkiców. Innymi słowy utraci pan talent.

W pokoju zapadła zupełna cisza, nie licząc lekko astmatycznego oddechu Maren, która paliła cygaretkę marki Garcia y Vega.

— Rany — rzekł cicho Lars.

Poczuł się jak bardzo mały chłopiec, jakby nagle czas się cofnął i zniknęły wszystkie lata jego dorosłości. To było niesamowite wrażenie.

Bo niestety ta zabawka, ta nowinka techniczna, która była perwersyjnym wcieleniem w życie oryginału z projektu firmy pana Larsa, miała rację. Lars cierpiał na lęk kastracyjny i nigdy się z tego nie wyleczył.

Stary Orvill mozolnie kończył rozpoczętą myśl:

— Uświadamiane sobie przez pana problemy związane z nieautentycznością pańskiej tak zwanej „broni” są wymysłem. Zaslaniają prawdziwe psychiczne dylematy. Doskonale zdaje sobie pan sprawę, jak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, że nie istnieje żaden argument przemawiający na rzecz produkcji prawdziwej broni czy to w Zachbłoku, czy we Wschodnim Oku. Ludzkość została ocalona przed zniszczeniem, gdy przedstawiciele obu potęg spotkali się w tajemnicy w Fairfax w Islandii w 1992 roku, aby podpisać protokół przyjmujący za wytyczną dalszego postępowania zasadę „lemieszewania”, co było ratyfikowane na jawnym spotkaniu w 2002 roku.

— Dość — powiedział Lars patrząc na maszynę.

Stary Orvill zamilkł.

Lars drżącą ręką odstawił go na stolik do kawy.

— Więc mówisz, że on rozwesela prosapów? — spytał.

— Oni nie pytają o tak poważne sprawy. Zadają głupiutkie pytania. No, dobrze. — Maren uważnie przyjrzała się Larsowi. — A więc te ciągłe jęki w rodzaju: Boże. Jestem oszustem. Nabijam w butelkę biedne pronki... wszystko to... — poczerwieniała ze złości — było czczą gadaniną.

— Najwyraźniej — zgodził się Lars. Był roztrzęsiony. — Ale ja o tym nie wiedziałem. Nie chodzę do żadnych psychoanalityków; nienawidzę ich. Oni też są oszustami. Zygmunt Fraud.

Miał nadzieję, że Maren wybuchnie śmiechem. Przecież zgrabnie posłużył się grą słów, wystarczyło odrobinę przekręcić nazwisko Freuda, by uzyskać angielskie słowo „oszust”. Powinna to docenić. Tak się jednak nie stało.

— Lęk kastracyjny — powiedziała. — Lęk przed utratą męskości. Lars, boisz się, że skoro twoje powstające w transie szkice nie są projektami prawdziwej broni, to znaczy, iż jesteś impotentem?

Lars unikał jej wzroku.

— *Waffenlos* — powiedział. — To dopiero grzeczny eufemizm...

— Wszystkie eufemizmy są grzeczne. Z definicji.

— ... na określenie impotencji. Nie jestem mężczyzną.

Teraz utkwił w Maren spojrzenie.

— W łóżku — rzekła Maren — starczasz za dwunastu mężczyzn. Za czternastu.

Dwudziestu.

Spojrzała na niego z nadzieją, że udało jej się go rozbawić.

— Dzięki — powiedział. — Mimo to towarzyszy mi poczucie klęski. Może nawet Stary Orvill nie zgłębił wszystkich aspektów problemu. Z tym w jakiś sposób ma związek Wschodnie Oko.

— Zapytaj o to Orvilla — poradziła mu Maren.

Lars znowu wziął w dłonie pozbawioną twarzy głowę.

— Stary Orvillu — powiedział. — Co łączy Wschodnie Oko z moją sprawą?

Po chwili skomplikowany system elektroniczny zafurkotał i padła odpowiedź:

— Niewyraźne zdjęcie zrobione z dużej odległości. Tak niewyraźne, że nie może się pan nic z niego dowiedzieć.

Lars od razu zrozumiał, o co chodziło Orvillowi. Próbował wyprzeć pewną myśl, bo jego kochanka i współpracowniczka Maren Faine stała tuż obok i wbrew prawu Zachbłoku podsłuchiwała pracę jego mózgu. Czy ostatnia myśl dotarła do Maren, czy też zdążył ją w porę skasować i pogrzebać w mrokach nieświadomości, skąd wychnęła?

— A więc to tak — rzekła po namyśle Maren. — Lila Topczew.

— Tak — odparł z rezygnacją.

— Innymi słowy — powiedziała Maren, wypowiedzią tą dając wyraz ogromnej inteligencji, której zawdzięczała wysokie stanowisko w firmie Larsa (Na moje nieszczęście, pomyślał Lars z przerażeniem.). — Innymi słowy dylemat sterylności psychoseksualnej związanej z projektowaniem broni chciałbyś rozwiązać w najgłupszy z możliwych sposobów. Jest to rozwiązanie godne, powiedzmy, dziewiętnastolatka...

— Zgłoszę się do psychiatry — powiedział bez przekonania Lars.

— Chcesz zdobyć wyraźne zdjęcie ten cholernej komunistycznej żmii? — spytała ostro Maren.

Lars wyczuł w jej głosie nienawiść, poczucie winy, oskarżenie i zarazem wściekłość. Wszystko to razem tworzyło dość dziwne zestawienie. Niemniej słowa Maren uderzyły go jak obuchem.

— Tak — odparł ze stoickim spokojem.

— Zdobędę dla ciebie to zdjęcie. Niech tak będzie, zdobędę. Mówię serio. Zrobię nawet lepiej: wyjaśnię ci w prostych słowach, bo tylko wtedy zrozumiesz, jak sam możesz sobie zdobyć to zdjęcie, bo po namyśle postanowiłam, że nie będę osobiście angażować się w coś tak... — przerwała, by znaleźć właściwe słowo, zdolne zadać cios poniżej pasa — tak kretyńskiego.

— Jak mam zdobyć to zdjęcie?

— Po pierwsze zakonotuj to sobie, że KACH nigdy, ale to nigdy go dla ciebie nie zdobędzie. Skoro dali ci niewyraźne zdjęcie, zrobili to celowo. Mogli znaleźć lepsze.

— Nic nie rozumiem.

— KACH — rzekła Maren tonem, jakiego używa się względem dzieci, których nie darzy się szczególną sympatią — jest, jak to się nazywa, bezinteresowny. Jednak za tym szlachetnym określeniem kryje się nieco inna prawda: KACH działa na dwa fronty.

— Ach, tak — odparł ze zrozumieniem Lars. — Pracuje dla nas i dla Wschodniego Oka.

— Muszą wszystkich zadowolić i jednocześnie nikogo do siebie nie zrazić. Są współczesnymi Fenicjanami, Rotszyldami, Fuggersami. Możesz zatrudnić KACH do usług szpiegowskich, ale... dostaniesz niewyraźne zdjęcie Lili Topczew zrobione z dużej odległości. — Westchnęła; to było tak proste, a jednak musiała mu wszystko tłumaczyć punkt po punkcie. — Czy to ci nic nie przypomina? No, pomyśl chwilę.

— To zdjęcie, które miał Aksel Kaminsky — rzekł po chwili Lars. — Szkicu 265. Było nieadekwatne.

— No proszę, kochanie. Wreszcie zrozumiałeś.

— Rzeczywiście kierują się taką zasadą, jak powiedziałaś — ciągnął Lars starając się zignorować prowokację. — Zdobywają wystarczająco dużo informacji, by oba bloki korzystały z ich usług, ale zbyt mało, by któryś z nich do siebie zrazić.

— Pięknie. A teraz posłuchaj. — Maren usiadła i mocno zaciągnęła się cygaretką. — Kocham cię, Lars. Chcę cię mieć przy sobie, żeby ci dokuczać i drażnić cię. Uwielbiam cię drażnić, bo jesteś strasznie podatny. Ale nie jestem zachłanna. Słabym punktem twojej psychiki jest, jak powiedział Stary Orvill, lęk przed utratą męskości. To typowe dla mężczyzn po trzydziestce... zaczynasz funkcjonować na nieco wolniejszych obrotach i to cię przeraża, wyczuwasz zanik sił życiowych. Jesteś dobry w łóżku, ale już nie tak dobry jak tydzień, miesiąc, czy rok temu. Wie o tym twoja krew, serce, cóż, w jakiś sposób uświadamia to sobie twoje ciało, a wraz z nim umysł. Ale ja ci pomogę.

— To przejdź od słów do czynów.

— Skontaktuj się z Akselem Kaminsky.

Lars podniósł na nią wzrok. Mówiła serio. Z poważną miną skinęła głową.

— Mów do niego Iwan — powiedziała. — To ich denerwuje. Być może on z kolei nazwie cię Joem albo Yankiem, ale ty nie zwracaj na to uwagi. Iwan, powiedz. Chcesz poznać szczegóły projektu numer 265. Racja, Iwan? Dobra, towarzyszu ze wschodu: podam ci te szczegóły, a ty mi przyniesiesz zdjęcie projektantki damskiej mody militarnej, panny Topczew. Zdjęcie ma być dobre, w kolorze, a nawet trójwymiarowe. Może nawet, tak, kilka kadrów filmu ze ścieżką dźwiękową z jej głosem. Żebym miał czym zapełnić wolne wieczory. A może nawet zdobędziesz dla mnie kawałek pornograficzny, na którym owa dama będzie wykonywać podniecający taniec brzucha...

— I myślisz, że on to zrobi?

— Tak.

Ta kobieta, pomyślał Lars, jest moją podwładną. To oczywiste, że w przyszłym roku, jeśli nadal będę miał problemy ze sobą, które już teraz... ale mam talent, zdolności psioniczne. A więc mogę nadal kierować firmą.

A jednak w obecności tej kobiety, swojej kochanki, czuł, że gdzieś znika cała jego odwaga i pewność siebie. Właśnie zaproponowała mu, co prawda w dziwnych słowach, układ z Kaminskym. Jej rada była czymś oczywistym, a jednak on sam nigdy by na to nie wpadł. Niewiarygodne!

W dodatku plan Maren da się zrealizować.

## 8.

Czwartkowy ranek spędził Lars w Stowarzyszeniu Lanfermana oglądając modele, prototypy i magiczne przyrządy, które sklecieli inżynierowie, artyści, rysownicy, eksperci od wielkoczęstość, elektroniczni geniusze i zwykli szaleńcy — ludzie należący do stadka, któremu płacił Jack Lanferman. Larsowi postępowanie Jacka zawsze wydawało się ekscentryczne.

Jack Lanferman nigdy nie sprawdzał efektów pracy swoich ludzi. Wierzył chyba, że odpowiednio wynagrodzona utalentowana istota ludzka da z siebie wszystko, bez popędzania, popychania i poszturchiwania, nagan, upomnień i wylewania z pracy.

Najdziwniejsze było to, że podejście Lanfermana sprawdzało się w życiu. Jack Lanferman nie musiał spędzać wiele czasu w biurze. Prawie nie opuszczał swoich pałaców, gdzie jak sybaryta oddawał się przyjemnościom. Na Ziemię wracał tylko po to, by obejrzeć gotowy produkt przed wypuszczeniem go na rynek.

Model ze szkicu numer 278 przeszedł właśnie przez wszystkie stadia analizy konfirmacyjnej i został próbnie uruchomiony. Był jedyny w swoim rodzaju. Przyglądając się mu Lars nie wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać. Model opatrzone groźną nazwą Odsysającej Psychikę Wiązki Prewencyjnej, aby zadowolić prosapy, które jedynie dzięki tej nazwie zwróca na niego uwagę.

Lars siedział między Petem Freidem i Jackiem Lanfermanem w salce projekcyjnej leżącej gdzieś pod środkową Kalifornią i oglądał film z kasety wideo Ampexa, który pokazywał Odsysającą Psychikę Wiązkę Prewencyjną w akcji. Ponieważ broń z założenia miano stosować przeciwko ludziom, nie można było zaprezentować jej działania na jakimś ogromnym, przestarzałym statku kosmicznym, który po ściągnięciu z orbity zostałby rozniesiony na kawałki z odległości jedenastu milionów mil. Celem musiały być istoty ludzkie. Larsowi nie podobał się ten punkt, podobnie zresztą jak pozostałym.

Działanie Odsysającej Psychikę Wiązki Prewencyjnej zademonstrowano pokazując, w jaki sposób wysysa ona umysły z grupki dość niegodziwych zbirów, których przyłapano na tym, jak próbowali przejąć kontrolę nad małą, odizolowaną od reszty świata (innymi słowy rozpaczliwie bezradną) kolonią Zachodniego Bloku na Ganimedzie.

Źli faceci na ekranie zamarli, spodziewając się broni łzawiącej.

To daje poczucie satysfakcji, pomyślał Lars.

Przedstawienie rzeczywiście takie było. Źli do niedawna siali zamęt w kolonii. Na podobieństwo przesadnie przedstawionych postaci z dawnych plakatów filmowych, które wieszano nad wejściami do prowincjonalnych kin, źli zdzierali ubrania z młodych dziewcząt, tłukli ile wlezie starszych ludzi, pijani jak bele podkładali ogień w neuralgicznych punktach miasta... słowem czynili wszelkie możliwe zło, jak stwierdził Lars, poza spaleniem biblioteki w Aleksandrii z jej szesnastoma tysiącami bezcennych papierusów, z czterema tragediami Sofoklesa włącznie.

— Jack — zwrócił się Lars do Lanfermana — nie mogłeś osadzić tego w czasach hel-leńskich w starożytnej Palestynie? Wiesz, jak wielkim sentymentem prosapy darzą ten okres.

— Wiem — przyznał Lanferman. — To wtedy, gdy skazano na śmierć Sokratesa.

— Niezupełnie — odparł Lars. — Ale myśl jest dobra. Nie mógłbyś pokazać jak androidy niszczą laserem Sokratesa? Co to by była za scena! Oczywiście musiałbyś dać napisy albo dubbing w języku angielskim. Tak żeby pronki słyszały jak Sokrates błaga o darowanie mu życia.

Pete, zajęty oglądaniem filmu, mruknął:

— On nie błagał; był stoikiem.

— No dobra — powiedział Lars. — Ale przynajmniej mógł mieć zmartwioną minę.

Wtem złych ludzi jak drapieżny ptak zaatakowała FBI z modelem numer 278. Stało się to po raz pierwszy w historii, nikt inny jak tylko sam Radosny Włóczykij zadał sobie trud, by spokojnym głosem poinformować o tym widownię. Źli ludzie zbledli i złapali za swoje starożytne pistolety laserowe. Prawdopodobnie to kolty kaliber 44, pomyślał z przekąsem Lars. Tak czy inaczej byli skończeni.

Zaś efekty mogły poruszyć lub w tym wypadku stopić nawet głaz.

Było gorzej niż w chwili upadku domu Atreusza, stwierdził Lars. Chaos, kazirodstwo, córki, siostry rozszarpywane przez dzikie zwierzęta... jaki najgorszy los może przypaść grupie ludzi? Powolna śmierć głodowa, jak w nazistowskich obozach koncentracyjnych, której towarzyszy bicie, praca ponad siły, poniżenia i wreszcie „łaźnie”, które w rzeczywistości są komorami gazowymi z cyjanowodorem, cyklonem B?

Model 278 nie wniósł niczego do wiedzy technicznej. Narzędzia do zadawania ran i poniżania. Arystoteles na czworakach, ujeżdżany jak osioł, z wędzidłem między zębami, bo tak chciały prosapy; to najwyraźniej sprawiało im przyjemność. A może takie przekonanie co do pragnień prosapów było gruntownie błędne?

Elity rządzące Blokiem Zachodnim sądziły, że ludzi pociesza oglądanie tego typu scen na kasecie wideo w czasie obiadu (niewiarygodne!) lub w formie nieruchomego kolorowego obrazu w porannej gazecie przy jajkach i tostach. Pronki lubią manifesta-



cję siły, bo same czują się bezsilne. Widok modelu 278, który robi sieczkę z gangu wyjętych poza nawias społeczeństwa zbirów, napawał ich otuchą. Broń model 278 pod postacią strzał termotropicznych wystrzeliła z należących do FBI szybkostrzelnych dział i dotarła do celu...

Lars odwrócił wzrok.

— To androidy — przypomniał mu lakonicznie Peter.

— Wyglądają jak ludzie — wycodził przez zęby Lars.

Wstrętna Larsowi scena trwała dalej. Źli ludzie, przypominający teraz łuski, suche płatki skóry lub pęcherze, z których uszło powietrze, błąkali się wokół jak lunatycy; nie widzieli ani nie słyszeli. Zamiast zdmuchnąć z powierzchni ziemi satelitę, budynek lub miasto, zdmuchnięto jak świece ludzkie mózgi.

— Chcę wyjść — powiedział Lars.

Jack Lanferman spojrział na niego ze współczuciem.

— Tak naprawdę nie rozumiem, po co w ogóle tu przyszedłeś. Idź napić się kolidi.

— On musi patrzeć — rzekł Freid. — Ponosi za to odpowiedzialność.

— W porządku. — Jack ze zrozumieniem pokiwał głową. Wychylił się i poklepał Larsa po kolanie, aby skupić na sobie jego rozproszoną uwagę. — Posłuchaj, przyjacielu. Ten model i tak nigdy nie będzie wykorzystany. I tak nigdy nie będzie...

— Nieprawda — powiedział Lars. — Jest skończony; gdybyś tylko zechciał, mógłbyś go wykorzystać. Mam pomysł. Puść taśmę od końca.

Jack i Pete spojrzeli jeden na drugiego, a potem na Larsa, czekając na dalsze wyjaśnienia. W końcu nic nigdy nie wiadomo: nawet chory człowiek może od czasu do czasu mieć dobre pomysły. Nawet człowiek, który choruje okresowo.

— Najpierw pokażcie tych ludzi tak jak teraz — ciągnął Lars. — Jako bezmyślne, wymóżdżone maszyny, działające na zasadzie odruchów, które mają zachowane najwyższe górne zwoje nerwowe, więcej nic. To niech będzie punkt wyjścia. Wtedy statki FBI wpuszczają z powrotem do ich wnętrza tę jakość, która stanowi o człowieczeństwie. Chwytacie? Niezłe, co?

Jack zachichotał.

— Zabawne. Musiałbyś nazwać ten model Działem Obdarzającym Psychiką. Ale to by nie przeszło.

— Dlaczego? — spytał Lars. — Gdybym był prosapem, widok ludzkiej duszy wracającej do wymóżdżonego kadłubka podziałałby na mnie krzepiąco. A na was nie?

— Posłuchaj, przyjacielu — rzekł spokojnie Jack. — W tej sytuacji skutkiem użycia broni byłoby pojawienie się gangu chuliganów.

Fakt. Lars o tym zapomniał.

Jednak Pete tym razem przyznał mu rację.

— Kiedy taśmę puści się od końca, oni nie będą chuliganami, bo będą gasić płoną-

ce muzea, stawiać na nowo wysadzone szpitale, ubierać nagie młode dziewczęta i scalać rozkwaszone nosy starszych ludzi. Obrazowo mówiąc, będą przywracać martwych do życia, nie robiąc z tego ceremonii.

— Przy czymś takim prosapa nie mogłyby ze smakiem zajadać obiadu — stwierdził stanowczo Jack.

— Co jest najważniejsze w życiu prosapa? — spytał Lars.

Jack Lanferman powinien to wiedzieć; to jego zawód. Dzięki tej wiedzy zarabiał na życie.

— Miłość — odparł Jack bez wahania.

— No więc po co im coś takiego? — Lars wskazał ekran. FBI wywoziła właśnie ka-  
dłubki, które jeszcze niedawno były ludźmi zaganiając je do kupy jak oszołomione byczki.

— Prosap — rzekł poważnie Jack — w głębi duszy boi się, że taka broń istnieje. Gdybyśmy mu jej nie pokazali, prosap i tak wierzyłby w jej istnienie. I bałby się, że z nieznanych mu powodów ktoś kiedyś mógłby użyć jej przeciwko niemu. Może dlatego, że nie zapłacił w terminie podatku za skoczka. Albo że oszukiwał przy podawaniu urzędowi swoich dochodów. Albo może gdzieś w zakamarkach jego duszy tkwi przeświadczenie, że Bóg nie stworzył go takim, jakim jest teraz. Że w jakimś sensie, niepojętym dla siebie, jest zepsuty.

— Iz tego powodu słusznie mu się należy kara wymierzona modelem 278. — Pete pokiwał głową.

— Ale prosap się myli — odezwał się Lars nieporadnie. — Nie zasłużył na karę, którą wymierzy mu numer 279, 240 albo 210. Nikt na to nie zasługuje; ci tutaj też — rzekł wskazując na ekran.

— Lecz 278 istnieje — powiedział Jack. — Prosap o tym wie i kiedy widzi, jak używają go przeciwko istocie bardziej zepsutej niż on, wtedy myśli sobie: Hej, może mi darowali. Skoro ci goście są naprawdę źli, jeśli to skurczybyki ze Wschodniego Oka, więc może nie skierują 278 przeciwko mnie i wyciągnę kopyta później, za jakieś pięćdziesiąt lat. To zaś oznacza — i to właśnie, Lars, jest sednem sprawy — że prosap nie musi na razie zaprzętać sobie głowy własną śmiercią. Może przed samym sobą udawać, że nigdy nie umrze.

Po chwili Pete rzekł ponuro:

— Jedyną rzeczą, która sprawia, że prosap czuje się bezpieczny, że naprawdę wierzy w swoje przetrwanie, jest widok innej osoby, która znalazła się na jego miejscu. Lars, ktoś inny umiera za niego.

Lars milczał. Co miał mówić? Wszystko, co usłyszał, brzmiało mądrze; zgodzili się na to zarówno Pete jak i Jack, a oni byli profesjonalistami. Do swojej pracy podchodzili świadomie i racjonalnie, podczas gdy on, Lars, był, jak powiedziała Maren, głupim dzi-

kusem. Miał talent, ale brakowało mu wiedzy. Skoro Pete i Jack mówili, że jest tak a tak, on mógł jedynie się z nimi zgodzić.

— Jedynym błędem odnośnie broni łązawiającej — mówił Jack — była szaleńcza koncepcja broni uniwersalnej, która pojawiła się w połowie dwudziestego wieku. Bomby, która wysadzi dokładnie wszystkich. To był poważny błąd. Posunięto się za daleko. Trzeba było się z tego wycofać. Tak więc dziś mamy broń taktyczną, która podlega coraz większej specjalizacji, zwłaszcza broń łązawiająca, tak że dzisiaj można nie tylko wyśledzić cel, ale zniszczyć go emocjonalnie. Ja stawiam na broń łązawiającą; doceniam pomysł, który leży u jej podstaw. Pozostaje jeszcze kwestia lokalizacji: to najważniejsze. — Przeszedł na nieudolny etniczny akcent. — Panie Lars, gdy masz pan cudowną broń, co wysadzi cały świat, nie masz pan celu. Nawet jeśli taka broń może napędzić wszystkim porządnego stracha. Masz pan... — Tu uśmiechnął się szeroko jak wieśniak. — Masz młotek, którym tłuczysz we własną głowę. Bomba wodorowa — ciągnął dalej już poważnie i bez akcentu — była potwornym błędem logicznym. Tworem świra cierpiącego na paranoję.

— Dzisiaj nie ma już takich świrów — rzekł cicho Pete.

— Wiadomo — dodał natychmiast Jack.

Wszyscy trzej spojrzeli sobie w oczy. Po drugiej stronie kontynentu Surley G. Febbs powiedział:

— Bilet pierwszej klasy na ekspresową bezprzedmuchową raketę 66 — G do Festung Waszyngtonu. Tylko szybko.

Starannie rozłożył banknot dziewięćdziesięcioposkredowy na mosiężnej powierzchni lady przed okienkiem urzędniczki TWA.

## 9.

Za Surleyem Febbsem w kolejce po bilety czekał postawny, dobrze ubrany mężczyzna przypominający biznesmena. W pewnej chwili zwrócił się do stojącego za nim człowieka:

— Niech pan spojrzy. Proszę, proszę, co też dzieje się na niebie za naszymi plecami. Nowy satelita na orbicie. Nie nasz, tylko ich.

Rozłożył pierwszą stronę homeogazety, by pokazać ją sąsiadowi.

— Na miłość boską — podchwycił tamten skwapliwie.

Czekający na potwierdzenie ważności biletu do Festung Waszyngtonu Surley G. Febbs naturalnie podsłuchiwał ich rozmowę.

— Ciekawe, czy to jeż? — rzekł postawny biznesmen.

— Nie. — Stojący za nim osobnik energicznie potrząsnął głową. — Nasi by na to nie pozwolili. Sądzi pan, że człowiek pokroju generała George'a Nitza zgodziłby się na coś takiego? Wystosowalibyśmy oficjalny protest rządowy...

— Protest? — spytał Surley G. Febbs odwracając się w stronę dyskutujących mężczyzn. — Pan chyba żartuje! To niepodobne do naszych przywódców. Doprawdy sądzi pan, że poprzestaliby na słowach? Gdyby Wschodnie Oko wystrzeliło satelitę bez wcześniejszego zarejestrowania go w SINK-PA, zrobilibyśmy buuuch i po nim.

Wziął od kasjera bilet i resztę.

Później gdy zajął miejsce w ekspresowej rakiecie w przedziale pierwszej klasy przy oknie, jego sąsiadem znowu okazał się postawny, dobrze ubrany biznesmen. Po kilku sekundach — lot trwał zaledwie pięćdziesiąt minut — podjęli rozmowę na poważny temat. Przelatywali właśnie nad Kolorado i przez chwilę w dole widać było Góry Skaliste, ale ze względu na wagę dyskusji zignorowali wielki masyw. Góry będą tutaj i później, natomiast ich mogło już wtedy nie być na świecie. Sprawa nie cierpiała zwłoki.

— Niezależnie od tego, czy to jeż, czy nie — powiedział Febbs — każda broń Oka jest zagiem.

— Hę?

Biznesmen najwyraźniej nie zrozumiał.

— Każda broń Wschodniego Oka jest zagrożeniem. Zawsze należy ich podejrzewać. O złe zamiary, pomyślał i zerknął przez ramię na gazetę biznesmena.

— Z tego, co widzę wnoszę, że tego typu jeszcze nigdy nie używano. Bóg jeden wie, co się w nim kryje. Mówiąc otwarcie, sądzę, że powinniśmy zrzucić na Nową Moskwę Śmietnikowy Brzęczyk.

— Co to takiego?

Febbs był zmuszony zniżyć się do poziomu rozmówcy. W pełni sobie uświadamiał, że przeciętny człowiek nie studiował tak długo jak on w bibliotece publicznej.

— To pocisk, który pęka na całej długości w atmosferze — wyjaśnił. — Słowo „atmosfera” wywodzi się z sanskryckiego *atmen*, czyli „oddech”. Słowo „sanskryt” pochodzi od *samskrta*, co znaczy „uprawny” i wywodzi się od *sama*, czyli „równy” i *kr*, czyli „robić” oraz *kṛp*, czyli „forma”. Pocisk pęka w atmosferze ponad skupludem — skupiskiem ludności — które jest celem rażenia. Umieszczamy nad Nową Moskwą Judasza Iskariotę Czwartego, zaprogramowanego na szerokie pęknięcie pół mili nad ziemią i spada z niego deszcz zminowanych — zminiaturyzowanych — homeo, to znaczy homeostatycznych...

Trudno porozumieć się ze zwykłym człowiekiem z tłumu. Mimo to Febbs postarał się użyć pojęć, które byłoby w stanie zrozumieć to przysadziste zero, to zo.

— Są wielkości papierka od gumy. Krążą po całym mieście, szczególnie w dzielnicach mieszkaniowych. Wie pan, co to mieszkanie, prawda?

— Nawet mam coś takiego — wybełkotał biznesmen.

Febbs, nie zbity z tropu, kontynuował swój pożyteczny wykład.

— To są karny, to znaczy kameleony; przybierają kolor tego, na czym zładują. Stąd nie można ich zauważyć. Siedzą tak aż do zmroku, powiedzmy do dziesiątej wieczorem.

— Skąd wiedzą, że jest dziesiąta? Czy każdy ma zegarek? — spytał biznesmen z nutą szyderstwa w głosie, ponieważ podejrzewał, że Febbs go nabiera.

— Następuje oziębienie atmosfery — odparł Febbs protekcyjnym tonem.

— Och.

— Około dziesiątej, gdy wszyscy śpią.

Febbs rozkoszował się rozmyślaniami o działaniu tej strategicznej broni, którą cechowała daleko posunięta precyzja. Śmietnikowy Brzęczyk był prawdziwym dziełem sztuki. Można było cieszyć się samym faktem jego istnienia nawet nie robiąc z niego użytku.

— No dobrze — powiedział przysadzisty mężczyzna. — Więc o dziesiątej wieczorem...

— Wtedy wszystko się zaczyna — rzekł Febbs. — Każda kulka w pełni skameleoniowana zaczyna emitować dźwięk.

Febbs obserwował twarz przysadzistego mężczyzny. Obywatel ten najwyraźniej nie

zadawał sobie trudu, by czytać „Wep Weke”, magazyn informacyjny poświęcony wyłącznie publikacji zdjęć, artykułów i gdzie to było możliwe — projektów wszystkich modeli broni powstałych w Bloku Zachodnim i we Wschodnim Oku. Materiały prawdopodobnie zdobywano dzięki agencji zbierającej dane, która nosiła nazwę KICH, KUCH lub KECH. Febbs nie miał co do tego jednoznacznych informacji. Surley G. Febbs posiadał wszystkie numery „Wep Weke” z dziesięciu lat, z nienaruszonymi okładkami. Jego zbiory były bezcenne.

— Jaki dźwięk?

— Straszny, złośliwy dźwięk. Bzyczenie. Jakby... no cóż, sam musiałby to pan usłyszeć. Chodzi o to, żeby pan nie spał. Żeby w ogóle nie zmrużył pan oka. Kiedy raz dojdzie pana dźwięk Śmietnikowego Brzęczyka, na przykład jeśli kulka znalazła się na dachu pańskiego mieszkania, nigdy więcej pan nie zaśnie. Tymczasem cztery dni bez snu...

— Machnął ręką. — Nie może pan pracować. Do niczego się pan nie nadaje.

— Fantastyczne.

— Poza tym — powiedział Febbs — są duże szanse, że kulki zładują w pobliżu wili członka SeRKeB-u i natychmiast się skameleonizują. A to może oznaczać upadek rządu.

— Ale czy o n i nie mają równie groźnych urządzeń? — spytał przysadzisty mężczyzna z lekkim niepokojem w głosie. — To znaczy...

— Wschodnie Oko — odparł Febbs — zemściłoby się. To zrozumiałe. Może wypróbowałoby Owczę Łajno.

— Och, taak. — Biznesmen skinął głową. — Czytałem o tym. Użyli tego w zeszłym roku, gdy zbuntowała się ich kolonia na Io.

— My, mieszkańcy Zachodniego Bloku — rzekł Febbs — nie mieliśmy okazji poczuć zapachu środka drażniącego wchodzącego w skład Owczego Łajna. Podobno jest nie do opisanego.

— Czytałem, że zdechł nawet sznur, który...

— To jeszcze nic. Zakładam, że oni mają coś jeszcze. To coś spada na ziemię z satelity typu VI Juliana Apostaty w postaci stężonego roztworu. Jego krople zraszają teren o powierzchni, powiedzmy, dziesięciu mil kwadratowych. Penetrują międzycząstkowo każdą powierzchnię, na jaką spadną, to znaczy wnikają pomiędzy cząsteczki tej powierzchni. I nie można tego usunąć żadnym środkiem, nawet Supsolvem-x, naszym nowym detergentem. Nic nie działa.

Mówił spokojnym głosem, który sugerował, że Febbs zetknął się z bronią drażniącą i nie zrobiło to na nim większego wrażenia. To było normalne, jak regularne wizyty u dentysty. Wprawdzie Wschodnie Oko dysponowało Owczym Łajnem i mogło go użyć, lecz nawet ta broń miała swój bez porównania bardziej efektywny odpowiednik w Zachodnim Bloku.

Potrafił sobie jednak wyobrazić, co by się stało z milionem mieszkańców Boise w Idaho, gdyby rzucić nań Owcze Łajno. Ludzi obudziłby smród, który zdążył już wnikać między cząsteczki każdego przedmiotu: byłby na i w budynkach, w pojazdach podziemnych, powierzchniowych i nadziemnych, fabrykach automatycznych. Smród wypędziłby wszystkich ludzi. Boise stałoby się miastem duchów zamieszkałym jedynie przez autonomiczne mechanizmy, które nadal by funkcjonowały, bo z powodu braku nosów nie spadłaby na nie klątwa zapachu.

To skłaniało do refleksji.

— Ale nie użyją Owczego Łajna — oświadczył Febbs na głos. — Bo my w odwecie zastosowalibyśmy na przykład...

Przejrzał bajecznie wielki zbiór danych, który miał w głowie. Ujrzał całe zastępy broni odwetowej, przy których Owcze Łajno wyglądało jak zabawka.

— Wypróbowałibyśmy — zdecydował, jakby to od niego zależało — Zniekształczacz Komunikatów Dla Ludności.

— Chryyste, a co to znowu?

— Ostateczne rozwiązanie — odparł Febbs. — Według mnie to broń S.O.

S.O. oznaczało ezoteryczny termin, jakim posługiwały się związane z projektowaniem broni kręgi Zachodniego Bloku takie jak Rada, do której on, Febbs, teraz należał (Niech wysławiony będzie Bóg w swojej mądrości!). Sokole Oko. Okosokolizacja stanowiła od prawie pół wieku główny kierunek rozwoju zbrojeń. Oznaczała projektowanie broni o możliwie największej precyzji działania. Teoretycznie można było wyobrazić sobie broń, która jak dotąd nie pojawiła się jeszcze nawet w transach samego pana Larsa i która zabijałaby daną jednostkę w danej chwili na danym skrzyżowaniu ulic w pewnym określonym mieście Wschodniego Oka. Albo dla odmiany Zachodniego Bloku. Wschodnie Oko czy Zachodni Blok: co to w końcu za różnica? Istotny byłby jedynie fakt istnienia takiej broni. Doskonałej broni.

Boże, jak on wyraźnie to sobie wszystko wyobrażał. Operator, to znaczy on, Febbs, siedzi przed pulpitem z podziałkami... i jednym przyciskiem. Odczytuje wskazania podziałek, zapisuje odczyty. Czas, miejsce, synchronizacja czynników wymiarowych zmierzają ku jednemu punktowi. Tymczasem Gafne Rostow (imię i nazwisko, jakim określa się przeciętnego obywatela wrogiego imperium) szybkim krokiem zbliża się do tego punktu, aby znaleźć się tam w określonym czasie. On, Febbs, wciska przycisk i Gafne Rostow...

Mhm. Znika? Nie, nie ma tak dobrze. To nie bajka. Żyjemy w prawdziwym świecie. Gafne Rostow, drobny urzędnik w jakimś prowizorycznym niskobudżetowym ministerstwie rządu sowieckiego, który ma własną pieczętkę, stolik i zatłoczone biuro... nie zniknie tak po prostu. Zostanie przekształcony.

Ten moment przygotował Febbsa o drżenie. Febbs zadrżał właśnie z rozkoszy, w wy-



niku czego przysadzisty biznesmen odsunął się nieco od niego i z lekka uniósł brwi.

— Zostanie przekształcony — powiedział Febbs — w dywanik.

Biznesmen wytrzeszczył oczy.

— W dywanik — powtórzył Febbs z irytacją w głosie. — Nie rozumie pan? Czy też może tradycja judeochrześcijańska zniszczyła pańską zdolność sądenia? Co z pana za patriota?

— Jestem patriotą — zaprotestował biznesmen.

— W dywanik ze szklanymi oczami — powiedział Febbs — które wyglądają jak prawdziwe. Oczywiście gdyby nie miał dobrych zębów, białych i równych, gdyby miał nieładne plomby albo gdyby nie można było usunąć żółtej plamy z któregoś zęba, mógłby być kilimem. Głowę można by wyrzucić.

Przysadzisty biznesmen zaczął nerwowo czytać gazetę.

— Podam panu prawdziwe szczegóły dotyczące Zniekształacza Komunikatów Dla Ludności. Należy do typu S. O., ale bez paniki. To nie jest ostateczne rozwiązanie. To znaczy nie zabija. Należy do typu cha.

— Wiem, co to znaczy — powiedział szybko przysadzisty biznesmen nie odrywając wzroku od homeogazety. Z niezrozumiałych dla Febbsa powodów najwyraźniej nie miał ochoty prowadzić dalszej dyskusji. Może, przyszło Febbsowi na myśl, mężczyzna czuje się winny z powodu swego braku rozeznania w tak ważnej dziedzinie. — To znaczy wprowadzające chaos. Dezorientujące.

— Zasada funkcjonowania Zniekształacza Komunikatów Dla Ludności — powiedział Febbs — opiera się na tym, że w dzisiejszym społeczeństwie każdy wypełniony formularz musi być zapisywany na trzech, czterech lub pięciu mikrofilmach. W trzech, czterech lub pięciu kopiach za każdym razem. Działanie broni jest dość nieskomplikowane. Wszystkie mikrokopie po skserowaniu są transportowane liniami koncentrycznymi do składów z aktami, które w większości znajdują się pod ziemią i z dala od skupisk ludności. Żeby ocalały w razie wojny; dokumenty muszą przetrwać. Tak więc wypuszcza się pocisk ziemia — ziemia ze Zniekształaczem Komunikatów Dla Ludności z, powiedzmy, Nowej Funlandii do Pekinu. Wybrałem Pekin, ponieważ stanowi on skupisko ludności i instytucji w Azji Sino — Południowej dla połowy Wschodniego Oka. Stamtąd pochodzi połowa ich dokumentów. Broń w ciągu kilku mikrosekund wkręca się w grunt nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Tam natychmiast wysuwa nibynóżki, które pod powierzchnią ziemi szukają najbliższej linii koncentrycznej transportującej dokumenty do archiwum. Rozumie pan?

— Uhm — odparł bez entuzjazmu towarzysz podróży usiłując skupić się na gazecie. — Wie pan, model tego nowego satelity wskazuje nawet na to, że...

— Zniekształacz — ciągnął Febbs — od tej chwili działa w sposób, który nie popadając w przesadę można określić słowem „natchniony”. Zmienia w danych liczby całko-

wite, które są podstawowymi jednostkami niosącymi informację. W ten sposób wszystko przestaje się zgadzać. Innymi słowy druga kopia oryginalnego dokumentu nie daje się nałożyć na pierwszą. Kopia trzecia nie zgadza się z drugą ze względu na coraz większe zniekształcenia. Jeśli istnieje czwarta kopia, jest odtworzona w taki sposób, że...

— Skoro wie pan tak dużo na temat broni — przerwał mu niezadowolony biznesmen — dlaczego nie jest pan w Festung Waszyngtonie?

— Jestem, przyjacielu — odparł Surley G. Febbs z lekkim uśmiechem na ustach. — Poczekaj tylko, a jeszcze o mnie usłyszysz. Zapamiętaj moje nazwisko Surley G. Febbs. Zapamiętał pan? Surley G. Febbs. F jak foton.

— Proszę mi wyjaśnić jedną rzecz — rzekł biznesmen. — A potem szczerze powiedziawszy, panie Febbs, F jak foton, nie chcę już dłużej słuchać pańskich wywodów. Po prostu już tego nie trawię. Powiedział pan „dywanik”. Co to ma znaczyć? Dlaczego dywanik? I „szklane oczy”. I coś w rodzaju „wygląda jak żywy”. — Na koniec dodał z niepokojem i wyraźną odrazą: — O co panu chodziło?

— Chodziło mi o to — odparł cicho Febbs — że coś powinno pozostać na pamiątkę. Jako dowód tego, że odniosło się sukces. — Poszukał w myślach właściwego słowa na określenie tego, co chciał wyrazić. — Trofeum.

Odezwał się głośnik:

— Łądujemy na lotnisku Abrahama Lincolna. Za niewysoką dodatkową opłatą można skorzystać z transportu powierzchniowego, aby dojechać do położonego trzydzieści pięć mil na wschód Festung Waszyngtonu. Proszę zachować rachunki za bilety, gdyż upoważniają one do dużej zniżki za przejazd.

Febbs po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia podróży wyjrzał przez okno i z satysfakcją ujrzał w dole swoją nową siedzibę, ogromne, zajmujące wielki obszar skupisko ludności będące stolicą Zachodniego Bloku. Miejsce, z którego emanowała wszelka władza. Władza, którą on, Febbs, także teraz sprawował.

Dzięki jego wiedzy sytuacja na świecie ulegnie szybkiej poprawie. Mógł to przewidzieć na podstawie przeprowadzonej niedawno rozmowy.

Niech tylko wezmę udział w ściśle tajnych zamkniętych posiedzeniach Rady, które odbywają się w podziemnym kremle z udziałem generała Nitza, pana Larsa i całej reszty, pomyślał Febbs. Radykalnie zmieni się równowaga sił między Wschodem i Zachodem. Świetnie, niech się o tym dowiedzą w Nowej Moskwie, Pekinie i Hawanie.

Pojazd z wyjącymi silnikami hamującymi zaczął opuszczać się na ziemię.

Jak mogę najlepiej przysłużyć się mojemu blokowi? — zadał sobie pytanie Febbs. Nie mam zamiaru porzucić na jednej szóstej modelu, na tym jednym składniku, który ma zlemieszować każdy konkodomator. To za mało dla kogoś takiego jak ja. Za mało, teraz jestem tego pewny. Dzięki rozmowie przejrzałem na oczy. Jestem najwyższej klasy ekspertem do spraw broni, choć nie mam dyplomu z jakiegoś uniwersytetu ani z Wojsko-

wej Akademii Sił Powietrznych w Cheyenne. Lemieszowanie? Czy to w s z y s t k o, co mam do zaferowania przy mojej nieprawdopodobnej wiedzy i talencie tak wyjątkowym, że trzeba by cofać się do czasów Imperium Rzymskiego, by znaleźć mi równy?

Za nic w świecie, zdecydował. Lemieszowanie jest zadaniem dla przeciętnego człowieka. Istotnie, jestem nim z punktu widzenia obliczeń komputerowych i statystyki. Jednak w głębi duszy jestem Surleyem G. Febbsem, jak to powiedziałem dzisiaj siedzącemu obok mnie człowiekowi. Wielu jest przeciętnych ludzi. W Radzie zasiada zawsze sześciu z nich. Ale Surley G. Febbs jest tylko jeden.

Chcę broni w całości.

Kiedy tylko dostanę się do kremla i zasiądę razem z nimi w Radzie, wezmę sprawę w swoje ręce. Niezależnie od tego, czy im to się spodoba, czy nie.

## 10.

Kiedy Lars Powderdry i przedstawiciele Stowarzyszenia Lanfermana wyszli z sali projekcyjnej, gdzie zaprezentowano działanie modelu 278, zbliżył się do nich jakiś podejrzanie wyglądający osobnik.

— Panie Lanferman? — rzekł z trudem łapiąc oddech. Miał oczy jak guziczki, był okrągły jak piłka, źle ubrany i generalnie sprawiał wrażenie człowieka, na którym nie można polegać. Taszczył ze sobą ogromną skrzynię pełną próbek. Stał na drodze blokując przejście. — Jedną chwilę. Coś panu powiem.

Przypadkowe spotkania z mało ważnymi operatorami takimi jak Vincent Klug były dla Jacka Lanfermana kłopotliwe. Trudno było stwierdzić, kto bardziej zasługuje na współczucie: Jack Lanferman, potężny i bogaty, chociaż wiecznie zajęty, bez chwili wolnego czasu, jako że będąc hedonistą zamieniał czas na przyjemność fizyczną, czy Klug.

Vincent Klug obijał się tu przez całe lata. Bóg jeden wie, w jaki sposób dostał się do podziemnych labiryntów Stowarzyszenia Lanfermana. Prawdopodobnie jakaś osoba na mało znaczącym stanowisku, litością zdjeta, uchyliła nieco służbę, zdając sobie sprawę, że jeśli go nie wpuści, Klug stanie się prawdziwym utrapieniem, nigdy nie da za wygraną. Ten jednak akt współczucia w zasadzie dla siebie samego, jaki okazał zatrudniony na powierzchni szeregowy pracownik Lanfermana, przeniósł rozwiązanie kwestii Kluga na niższą instancję i to w sensie dosłownym. Lub na wyższą, w sensie przenośnym. Ponieważ teraz Klug mógł zawracać głowę szefowi.

Światu potrzeba zabawek.

Taką Klug miał odpowiedź na wszystkie kwestie, które roztrząsali poważni obywatele: biedę, zbrodnie na tle seksualnym, starość, wywołane promieniowaniem zmiany w kodzie genetycznym... wystarczyło sformułować problem, a Klug otwierał swoją ogromną skrzynię z próbkami i wyciągał z niej rozwiązanie. Lars kilkakrotnie słyszał następującą argumentację: życie jako takie jest nie do zniesienia, stąd powinno się poprawiać jego jakość. Życia samego w sobie nie można przeżyć. Musi istnieć jakaś odskocznia. Wymaga tego higiena psychiczna, moralna i fizyczna.

— Proszę spojrzeć — wysapał Klug do Jacka Lanfermana, który przyglądał mu się z pobłażaniem.

Klug ukląkł i postawił na podłodze małą figurkę. Z zawrotną szybkością dostawiał następne, aż na korytarzu pojawił się ich tuzin. Wtedy Klug postawił przed nimi cyta-  
delę.

Nie ulegało wątpliwości, że cytadela jest warowną fortecą. Nie był to zamek z za-  
mierchłych czasów, ze średniowiecza na przykład, lecz również nie była to budowla  
nowoczesna. Była cudaczna i zaintrygowała Larsa.

— Ta gra nazywa się „Zdobywanie twierdzy” — wyjaśnił Klug. — Ci tutaj... — wska-  
zał dwunastu ludzików, którzy, jak Lars dopiero teraz zauważył, byli dziwnie umundu-  
rowanymi żołnierzami — oni chcą się dostać do środka. A to... — Klug wskazał na cy-  
ta-  
delę — nie chce ich wpuścić. Jeśli jeden z nich, choć jeden, zdoła wejść do środka, gra  
się kończy. Napastnicy wygrywają. Ale jeśli Monitor...

— Co takiego? — spytał Jack Lanferman.

— To. — Klug czule poklepał cytadelę. — Przez całe pół roku zakładałem w niej  
przewody. Jeśli zniszczy wszystkich dwunastu atakujących, obrońcy wygrywają. No,  
śmiało.

Ze skrzyni z próbkami wydobył kolejny przedmiot.

— To jest specjalny pilot, za pomocą którego można grać atakującymi albo jeśli wy-  
brało się stronę obrońców — Monitorem.

Podał przedmiot Jackowi, który jednak grzecznie odmówił.

— Cóż — rzekł filozoficznym tonem Klug — to w każdym razie komputer, który  
może zaprogramować nawet siedmiolatek. W grze może brać udział maksymalnie sześć  
osób. Kolejność...

— No, dobrze — rzekł Jack wyrozumiale. — Zbudowałeś prototyp. Czego chcesz ode  
mnie?

— Chcę dać to do analizy — odparł szybko Klug — żeby sprawdzić, ile kosztowałyby  
produkcja automatyczna. Na początek w seriach po pięćset. Chciałbym, żeby wyprodu-  
kowano to w pańskich fabrykach, bo są najlepsze na całym świecie.

— Wiem o tym — powiedział Jack.

— Zrobi to pan?

— Nie stać by cię było na opłacenie kosztów analizy. A jeśli nawet, nie zdołałbyś wy-  
łożyć potrzebnej sumy, gdybym uruchomił produkcję nawet w seriach po pięćdziesiąt,  
że nie wspomnę o pięciuset. Wiesz o tym, Klug.

Spocony Klug przełknął ślinę i po chwili wahania powiedział:

— Jack, a mój kredyt? Nie jest dobry?

— Każdy kredyt jest dobry. Ale ty nie masz kredytu. Nawet nie wiesz, co to słowo  
znaczy. Kredyt oznacza...

— Wiem — przerwał mu Klug. — Że jest się w stanie zapłacić później za to, co się te-  
raz kupiło. Gdybym jednak jesienią miał gotowe pięćset, żeby wypuścić je na rynek...

— Coś ci powiem — rzekł Lanferman.

— Dobra, Jack. Panie Lanferman.

— Jaki sposób reklamy wykonypowałeś w swoim osobliwym umyśle? Ten produkt będzie bardzo drogi, zwłaszcza w sprzedaży detalicznej. Jak zorganizujesz promocję w całej sieci domów towarowych? Produkt powinien wejść do domów kogów i do ich czasopism. A to jest drogie.

— Mhm — odparł Klug.

— Klug, mogę cię o coś zapytać? — zwrócił się do niego Lars.

— Panie Lars. — Klug z zapalem wyciągnął do niego rękę.

— Czy naprawdę jest pan przekonany, że dostarczanie dzieciom militarnych zabawek jest słuszne z moralnego punktu widzenia? Czy to pasuje do pańskiej teorii „poprawiania jakości” życia w nikczemnych czasach...

— Moment — powiedział Klug podnosząc głowę. — Niech pan chwilę zaczeka, panie Lars.

— Dobrze, poczekam.

— Dzięki zdobywaniu twierdzy dziecko uświadamia sobie bezsens wojny.

Lars rzucił mu sceptyczne spojrzenie. Pewnie, pomyślał, jak cholera.

— Mówię serio — odparł Klug i na poparcie swej deklaracji energicznie kiwnął głową. — Niech pan posłucha, panie Lars. Ja znam się na rzeczy. Przyznaję, że chwilowo moja firma bankrutuje, lecz w głębi duszy nadal jestem kogłem, nie utraciłem właściwej im wiedzy. Rozumiem i jestem pełen sympatii. Proszę mi wierzyć. Naprawdę czuję do pana ogromną sympatię; całkowicie popieram to, co pan robi. Poważnie.

— A co ja takiego robię?

— Nie chodzi mi tylko o pana, panie Lars, chociaż jest pan jednym z czołowych...

Usidliwszy widownię, Klug pośpiesznie szukał słów odpowiednich do wyrażenia swych wzniosłych idei. Lars doszedł do wniosku, że dla Kluga widownię stanowi dowolna grupa ludzi w ilości większej od zera i w wieku powyżej lat dwóch. Czy to będą kogowie, czy prosapy — nie ma znaczenia. Klug dyskutowałby z każdym. Ponieważ to, co robi i czego pragnie, jest sprawą wielkiej wagi.

— Klug, zrób model jakiejś prostej zabawki — powiedział łagodnie Pete Freid — którą sieć domów towarowych rozprowadzi za psi pieniądz. Żeby była w tym góra jedna ruchoma część. Jack, wyłożyłbyś za niego kilka tysięcy, prawda? Gdyby przyniósł naprawdę prostą zabawkę?

Zwrócił się do Vincenta Kluga:

— Podaj mi szczegóły techniczne, to zbuduję prototyp i może zrobię analizę kosztów. Oczywiście poza godzinami pracy — wyjaśnił szybko Jackowi.

— Możesz skorzystać z naszych warsztatów — odparł z westchnieniem Lanferman.

— Ale, na Boga, błagam cię, żebyś nie zaharował się na śmierć wyciągając z kłopotów

tego faceta. Klug siedział w przemyśle zabawkowym, gdy ty jeszcze chodziłeś do college'u. Już wtedy był zerem. Miał przed sobą mnóstwo szans i wszystkie zmarnował.

Klug ponuro wpatrywał się w podłogę.

— Jestem jednym z czołowych...? — spytał go Lars.

— Z czołowych uzdrowicieli naszego chorego społeczeństwa — odparł Klug nie podnosząc wzroku. — Takich jak pan jest niewielu. Nie może pana spotkać krzywda.

Lars, Pete Freid i Jack Lanferman ryknęli śmiechem.

— A więc dobrze — powiedział Klug.

Wzruszył ramionami i zaczął pakować swoich dwunastu maleńkich żołnierzyków i cytadelę — Monitor. Miał minę skopanego psa. Sprawiał wrażenie zupełnie zgaszonego. Najwyraźniej zbierał się do odejścia, co w jego przypadku było czymś wyjątkowo dziwnym. Wprost niesłychanym.

— Nie zrozum nas źle... — zaczął Lars.

— Nie o to chodzi — rzekł Klug zamyślonym głosem. — Na pewno się ze mną nie zgodzicie, ale prawda jest taka, że wcale nie pomagacie zdeprawowanemu społeczeństwu w zaspokajaniu jego niezdrowych żądz. Łatwiej jest wam udawać, że zaprzędaliście się złemu systemowi.

— Nigdy w życiu nie zetknąłem się z tak dziwną logiką — powiedział Jack Lanferman z autentycznym zdziwieniem. — A ty, Lars?

— Chyba wiem, o co mu chodzi — odparł Lars — tylko on nie wie, jak to wyrazić. Klug uważa, że ponieważ zajmujemy się projektowaniem i produkcją broni, sądzimy, iż powinniśmy być twardzi. To nasz święty obowiązek. Ludzie, którzy wymyślają i tworzą urządzenia do wykańczania innych ludzi, powinni być cyniczni. Tylko problem w tym, że zasługujemy na miłość.

— Tak. — Klug kiwnął głową. — To właściwe słowo. Miłość jest podstawą życia całej waszej trójki. Zwłaszcza pańskiego, panie Lars. Spójrzcie tylko na straszliwe instytucje policyjne i wojskowe, które w rzeczywistości nami rządzą. Porównajcie własne motywy z motywami KACH-u oraz FBI i KVB. SeRKeB-u i Narbez-u. Podstawą ich...

— Podstawą mojego życia jest niezbyt żołądka i jelit — przerwał mu Pete. — Zwłaszcza w późne sobotnie wieczory.

— Ja mam problemy z okrężnicą — powiedział Jack.

— A ja mam chroniczne bakteryjne zakażenie dróg moczowych — rzekł Lars. — Zwłaszcza, gdy wypiję za dużo soku pomarańczowego.

Klug ze smutkiem zatrzasnął wielką skrzynię i zaczął odchodzić.

— No cóż, panie Lanferman — powiedział uginając się pod jej ciężarem, jakby powoli uchodziło z niego powietrze. — Doceniam to, że zechciał mi pan poświęcić chwilę czasu.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem — przypomniał mu Pete. — Przynies mi model zjedna ruchomą częścią, wtedy...



— Dziękuję bardzo — odparł Klug i pełen jakiejś godności zniknął za rogiem.

— Stuknięty — rzekł po chwili Jack. — Tyle mu zaoferowaliśmy: Pete swój czas i zdolności, ja — możliwość skorzystania z naszych warsztatów. A on sobie poszedł. — Jack pokręcił głową. — Nie mogę tego pojąć. Ani trochę nie rozumiem, jak on funkcjonuje. Po tylu latach.

— Dlaczego zasługujemy na miłość? — spytał Pete. — Pytam serio, chciałbym się dowiedzieć. Niech mi który powie.

Na to Jack Lanferman udzielił mu ostatecznej, wiążącej odpowiedzi:

— A co to, kurna, ma za znaczenie?

## 11.

A jednak to ma znaczenie, pomyślał Lars, kiedy super — szybkim ekspresem wracał z San Francisco do swego biura w Nowym Yorku. Historią kierują dwie zasady: żądza władzy i, jak powiedział Klug, zasada uzdrawiająca, bezpodstawnie nazywana „miłością”.

Machinalnie przeglądał późne wydanie gazety, które położyła przed nim troskliwa hostessa. Ujrzał wielki nagłówek:

*Nowy satelita nie jest własnością Wschodniego Oka, jak donosi wstępny raport SeRKeB-u, wykonany na zlecenie NZ-Zach Narbez-u.*

Raportu domagała się bliżej nieokreślona organizacja o nazwie „Senat Stanów Zjednoczonych”. Rzecznik: tajemnicza persona, niejaki Nathan Schwarzkopf.

W ZSRR równie nierzeczywisty byt o nazwie Rada Najwyższa krzyczał histerycznie, by ktoś zainteresował się satelitą o nie wyjaśnionym pochodzeniu, wprawdzie jednym z siedmiuset, lecz za to dość osobliwym.

— Mógłbym zatelefonować? — spytał Lars hostessę.

Przyniesiono mu wideofon i podłączono do gniazdka w oparciu fotela.

— Chcę mówić z generałem Nitzem — rzekł ostro, gdy połączył się z centralą wideofoniczną w Festung Waszyngtonie.

Podał w całości swój dwudziestoelementowy kod kogiczny i potwierdził go wsadzając kciuk w okienko wideofonu. Kilometry kondensatorów w postaci dwóch skręconych przewodów zanalizowały i przekazały dalej odcisk linii papilarnych. Wreszcie w centrali podziemnego kremla układ autonomiczny posłusznie połączył go z funkcjonariuszem (człowiekiem tym razem), pierwszym w długim szeregu urzędników odgradzających generała Nitza od... rzeczywistości, jeśli można się tak wyrazić.

Zanim Lars połączył się z generałem, ekspresowy statek powoli zaczął opadać lotem ślizgowym na Lądowisko Wayne’a Morse’a w Nowym Yorku.

Na ekranie zmaterializowała się twarz w kształcie marchewki: o szerokim czole, zwężająca się ku podbródkowi, z głęboko osadzonymi oczami jak dwie szparki i siwymi włosami, które przypominały perukę i być może były nią rzeczywiście. Pod brodą ge-

nerała na znajdował się cudowny, pokryty insygniami, twardy jak stal kołnierz — kryza. Wzbudzające nabożną cześć medale nie były widoczne, bo nie zmieściły się na ekranie.

— Panie generale — powiedział Lars. — Jak sędzę, posiedzenie Rady jest w toku. Czy mam natychmiast przyjechać?

— Po co, panie Lars? — mruknął sardonicznie generał Nitz. W taki właśnie sposób zwykł zwracać się do innych. — Niech mi pan powie, po co. Ma pan zamiar dotrzeć do nich dzięki pańskiemu darowi jasnowidzenia, czy też za pomocą stukania porozumie się pan z ich duchami podczas seansu spirytystycznego?

— Jacy oni? — powiedział Lars zbity z tropu. — Panie generale, kogo ma pan na myśli?

Generał Nitz bez słowa odłożył słuchawkę.

Lars wpatrywał się w pusty ekran, a w uszach dźwięczał mu głos Nitza.

Pewnie że wobec sprawy takiej wagi, przyszło mu na myśl, on, Lars, się nie liczy. Generał Nitz ma teraz inne rzeczy na głowie.

Lars, wstrząśnięty, odchylił się do tyłu, by przeczekać dość ostre lądowanie pojazdu, w czasie którego miało się wrażenie, że pilot bardzo się śpieszy i pragnie jak najszybciej ściągnąć statek z nieba. Chwila raczej niestosowna, by przejść do obozu Wschodniego Oka, pomyślał z przekąsem. Tamci na Wschodzie są pewnie na skraju załamania nerwowego, tak samo jak NZ-Z Narbez albo i gorzej... jeśli to prawda, że nie umieścili satelity na orbicie. A wygląda na to, że im wierzymy.

Oni zaś z kolei wierzą nam. Bogu dzięki, że przynajmniej do tego stopnia możliwe jest dwustronne porozumienie. Oba bloki bez wątpienia sprawdziły, czy satelity nie wysłała któraś z drobnych płotek: Francja, Izrael, Egipt albo Turcja. Okazało się, że nie. A więc nikt go nie wysłał. Q.E.D. *Quod est demonstrandum.*

Lars przeszedł piechotą wietrzne lądowisko i przywołał autonomicznego skoczka.

— Dokąd jedziemy, proszę pana lub pani? — spytał skoczek, gdy Lars wsiadł do środka.

To było dobre pytanie. Nie miał ochoty jechać do firmy Lars Incorporated. Wobec tego, co działo się na niebie, jego działalność ekonomiczna była sprawą nieistotną. Nawet praca Rady najwyraźniej straciła na znaczeniu. Pewnie zdołałby nakłonić skoczka, by zabrał go aż do Festung Waszyngtonu, gdzie powinien się znajdować mimo sarkastycznej uwagi generała Nitza. W końcu jak na to nie patrzeć był członkiem Rady *bona fide* i kiedy odbywało się jej posiedzenie, zgodnie z prawem powinien być obecny. Tylko że...

Nie jestem tam potrzebny, uświadomił sobie. To było proste.

— Znasz jakiś dobry bar? — zapytał skoczka.

— Tak, proszę pana lub pani — odparł autonomiczny skoczek. — Ale jest dopiero je-

denasta przed południem. Tylko nałogowi alkoholicy piją o tej porze.

— Ale ja się boję — powiedział Lars.

— Dlaczego, proszę pana lub pani?

— Bo o n i się boją — odparł Lars.

Moi klienci, pomyślał. Albo raczej pracodawcy, czy kim tam jest dla mnie Rada. Ich niepokój zgodnie z hierarchicznym porządkiem władzy zstąpił z góry i teraz ja go od-  
czuwam. Ciekawe jak w takim razie czują się prosapy?

Czy ignorancja jest w tej sytuacji w jakiś sposób pomocna?

— Podaj mi wideofon — rozkazał pojazdowi.

Aparat wysunął się ze zgrzytem i spoczął na kolanach Larsa, który wykręcił numer Maren.

— Słyszałaś? — zapytał, gdy jej twarz wreszcie pojawiła się na ekranie w postaci szarej miniaturki.

Pojazd nie miał nawet kolorowego wideofonu. Był doprawdy przedpotopowy.

— Cieszę się, że zadzwoniłeś! — rzekła Maren. — Stacja Greyhound w Topece nada-  
je cuda niewidy. I to od nich. Niewiarygodne.

— To nie pomyłka? — przerwał jej Lars. — Czy to czasem nie oni wysłali tego no-  
wego satelitę?

— Przysięgają, że nie. Zaręczają. Błagają, byśmy im uwierzyli. Klną się na Boga. Na  
matki. Na ziemię rosyjską. Na co chcesz. To obłęd: najwyżej postawieni urzędnicy, dwu-  
dziestu pięciu członków i członkiń SeRKeB-u upokarzają się. Żadnej godności, żadnych  
oporów. Może mają coś na sumieniu; nie wiem.

Wyglądała na zmęczoną; jej oczy przygasły.

— Nie — odparł Lars. — Po prostu wyłazi z nich słowiańska dusza. Trudno poznać,  
kiedy o coś proszą, a kiedy obrzucają obelgami. Co konkretnie proponują? Czy zwróci-  
li się bezpośrednio do Rady i nas pominęli?

— Prosto do Festung. Uruchomiono wszystkie linie wideofoniczne. Są tak przeżar-  
te rdzą, że nie powinny przekazać żadnego sygnału, a jednak przekazują. Działają, może  
dlatego, że wszyscy po tamtej stronie kabla tak głośno krzyczą. Lars, klnę się na Boga,  
jeden z nich autentycznie płakał.

— W tej sytuacji nietrudno zrozumieć, dlaczego Nitz odłożył słuchawkę.

— Rozmawiałeś z nim? Udało ci się z nim połączyć? Słuchaj. — Po jej głosie można  
było poznać, że jest bardzo podekscytowana. — Próbowali umieścić w obcym satelicie  
ładunek wybuchowy.

— Obcy — powtórzył oszołomiony Lars.

— I ekipa robotów zniknęła. Były zabezpieczone na wszystkie możliwe sposoby i nie  
ma po nich śladu.

— Pewnie zamieniły się w atomy wodoru — stwierdził Lars.

— To było zdecydowane posunięcie — powiedziała Maren. — Lars?

— Tak.

— Ten sowiecki urzędnik, który się pobeczał, był z Armii Czerwonej.

— Wiesz, co mnie dobija? — rzekł Lars. — Że nagle znalazłem się poza nawiasem, jak Vincent Klug. To naprawdę straszne uczucie.

— Chcesz coś robić. A tymczasem nawet nie możesz się pobeczeć.

Skinał głową.

— Lars, czy nie rozumiesz? Wszyscy są poza nawiasem; Rada, SeRKeB, wszyscy. Nikt nie jest w centrum wydarzeń. Przynajmniej nikt stąd. Dlatego właśnie padło już słowo „obcy”. To najgorsza rzecz jaką kiedykolwiek słyszałam! Mamy trzy planety i siedem księżyców, o których możemy mówić „nasze”. A tu nagle... Maren, przygnębiona, zamilkła w pół zdania.

— Mogę ci coś powiedzieć?

— Mów — zgodziła się.

— W pierwszej chwili — rzekł ochryplym głosem — chciałem wyskoczyć.

— Jesteś w powietrzu? W skoczku?

Skinał głową, niezdolny dobyć z siebie głosu.

— Dobrze. Przyleć tu, do Paryża. Nieważne ile zapłacisz. Przyleć i wtedy będziemy razem.

— Nie dolecę — odparł Lars.

Wyskoczę gdzieś po drodze, zdał sobie naraz sprawę. Wiedział, że ona również się tego domyśliła.

— Posłuchaj, Lars — rzekła Maren nie tracąc głowy. Zachowała właściwy odwiecznej kobiecości spokój ducha, nadnaturalną równowagę umysłu, na którą w wyjątkowej sytuacji stać każdą kobietę. — Czy mnie słuchasz?

— Tak.

— Ląduj.

— Dobrze.

— Masz jakiegoś lekarza? Oprócz Todta?

— Tylko jego.

— A prawnika?

— Billa Sawyera. Znasz go. To ten facet z głową jak jajo. Ale w kolorze ołowiu.

— Świetnie — rzekła Maren. — Wyląduj przy jego biurze. Niech ci zredaguje nakaz sądowy.

— Nic nie rozumiem.

Przy niej poczuł się znowu jak mały chłopiec, posłuszny, ale zdezorientowany. Stojący wobec spraw, które przerastają jego wątłe siły.

— Do Rady trzeba skierować nakaz sądowy — powiedziała Maren. — Który zobo-

wiąże Nitza do wpuszczenia cię na salę obrad. Lars, masz do tego święte prawo. Mówię poważnie. Masz święte prawo wejść do sali konferencyjnej w kremlu i brać udział w podejmowaniu wszystkich decyzji.

— Ale — rzekł Lars chrapliwie — ja nie mam im nic do zaoferowania. Nic. Kompletnie nic!

Zrobił rozpaczliwy gest pod jej adresem.

— Mimo to masz prawo uczestniczyć w konferencji — powiedziała Maren. — Nie przejmuję się tym kretyńskim satelitą; o ciebie się martwię.

I nagle, ku jego zdziwieniu, wybuchnęła płaczem.

## 12.

Trzy godziny później — bo tyle czasu zajęło prawnikowi załatwienie podpisu sędziego Sądu Najwyższego pod zredagowanym przez siebie nakazem — Lars wsiadł do pneumatycznego zeroczasowego pociągu i pomknął z Nowego Yorku do Festung Waszyngtonu. Podróż łącznie z hamowaniem trwała osiemdziesiąt sekund.

Wkrótce znalazł się w centrum miasta na Pennsylvania Avenue w powierzchniowym ruchu ulicznym. Jak żółw podążał w kierunku skromnie wyglądającej budowli, która była wejściem do podziemnego kremla.

O godzinie piętnastej trzydzieści Lars stanął wraz z doktorem Todtem przed schludnym, młodym, uzbrojonym w strzelbę laserową oficerem wojsk powietrznych i bez słowa wręczył mu nakaz.

Minęło trochę czasu, ponieważ nakaz musiał zostać przeczytany, przestudiowany, poświadczony i podpisany przez szereg urzędników będących pozostałością po strukturze administracyjnej Hardinga.

W końcu jednak Lars i doktor Todt znaleźli się w bezszelestnej windzie hydraulicznej, która wiozła ich w głąb ziemi.

Razem z nimi zjeżdżał jakiś blady i spięty kapitan.

— Jak tu się dostaliście? — zapytał. Najwyraźniej był gońcem albo spełniał inną nie wymagającą szczególnej inteligencji funkcję. — Jak udało się wam przejść przez tłumy ochroniarzy?

— Kłamałem — odparł Lars.

To ucięło dalszą rozmowę.

Drzwi windy otworzyły się; cała trójka wyszła na korytarz. Lars i doktor Todt, który milczał przez całą drogę i w trakcie każdorazowego uciążliwego przedstawiania nakazu odnośnym Władzom, długo szli dalej, aż wreszcie dotarli do ostatniej i najbardziej wyszukanej bariery, która szczelnie oddzielała od świata salę posiedzeń Rady NZ-Z Narbez-u.

W broni, którą aktualnie wycelowano prosto w niego i doktora Todta, z dumą rozpoznał projekt firmy Lars Incorporated. Przez maleńkie okienko w przezroczystej, lecz



nieprzenikliwej grodzi Lars pokazał wszystkie dokumenty. Siedzący w dali siwy cywilny urzędnik, którego twarz o drapieżnych rysach zdawała się nawet mądra, z wprawą eksperta przestudiował papiery identyfikacyjne i nakaz. Zastanawiał się jakby trochę za długo... ale może to wcale nie było za długo. Cóż można stwierdzić w tak szczególnej sytuacji?

— Może pan wejść, panie Powderdry. Ale towarzysząca panu osoba nie — rzekł przez głośnik.

— To mój lekarz — zaprotestował Lars.

— Nic mnie to nie obchodzi, nawet jeśli jest pańską matką — odparł urzędnik.

Grodź rozsunęła się tworząc otwór, przez który Lars ledwo zdołał się przecisnąć. Natychmiast odezwał się alarm.

— Ma pan przy sobie broń — rzekł ze stoickim spokojem urzędnik i wyciągnął w jego kierunku rękę. — Proszę mi ją oddać.

Lars wydobył z kieszeni wszystkie przedmioty.

— Nie mam broni — powiedział. — Klucze, pióro kulkowe, monety. Sam pan widzi.

— Proszę to wszystko tutaj zostawić — rzekł urzędnik wskazując okno w ścianie, przez które urzędniczka o surowym spojrzeniu wystawiła druciany koszyk.

Lars wrzucił do niego całą zawartość kieszeni, a potem, zgodnie z poleceniem, również pasek z metalową sprzączką. Gdy ściągał buty, pomyślał, że chyba śni. W samych skarpetkach i bez doktora Todta podreptał do wielkiej sali konferencyjnej. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Siedzący przy stole adiutant generała Nitza, Mike Dowbrowsky, również generał, tyle że z trzema gwiazdkami, podniósł wzrok na wchodzącego. Z obojętną miną skinął mu na powitanie głową i wskazał, w sposób stanowczy i bezapelacyjny, wolne miejsce obok siebie. Lars przydreptał do stołu i bezszelestnie usiadł. Nie przzerwano dyskusji, nikt nie zwrócił uwagi na jego przybycie.

Głos miał człowiek od propagandy, Gene Jakiś tam. Stał w samych skarpetkach, żywo gestykulował i mówił wysokim, piskliwym głosem. Twarz Larsa na pozór przybrała wyraz skupionej uwagi, ale w rzeczywistości Powderdry był zmęczony, więc wyłączył się i odpoczywał. Dostał się do środka. To, co działo się teraz było błahostką w porównaniu z jego wcześniejszymi przeżyciami.

— No proszę, zjawił się pan Lars — odezwał się znienacka generał Nitz, przerywając mowę Gene'a Jakiegoś tam.

Lars przestraszył się. Natychmiast wyprostował się na krześle, starając się nie pokazać po sobie, że drży.

— Przyleciałem tak szybko jak tylko mogłem — odparł głupio.

— Panie Lars — powiedział generał Nitz — powiedzieliśmy Rosjanom, że kłamią. Że to oni umieścili na orbicie nowego satelitę BX-3 z naszym kodem. Pogwałcili część

trzecią Protokołu w sprawie Lemieszowania z roku 2002. Oświadczyliśmy, że jeśli w ciągu godziny nie przyznają się, że to oni umieścili satelitę na orbicie, zniszczymy go pociskiem ziemia — powietrze.

Zapadła cisza. Zdawało się, że generał Nitz czeka na reakcję Larsa.

Więc Lars powiedział:

— A co na to sowiecki rząd?

— Sowietom na to — rzekł Mike Dowbrowski — że z miłą chęcią skierują na satelitę swoje stacje radiolokacyjne, żeby nasz pocisk trafił dokładnie w cel. I rzeczywiście tak zrobili. Nawet z własnej inicjatywy dostarczyli nam dodatkowych informacji odnośnie zakrzywienia pola, które wykryły ich przyrządy, a nasze nie, jakiegoś zniekształcenia otaczającego BX-3, które prawdopodobnie miało na celu wprowadzenie w błąd pocisku termotropicznego.

— Sądziłem, że wysłaliście ekipę robotów — powiedział Lars.

Po chwili ciszy generał Nitz odparł:

— Lars, jeśli chce pan jeszcze trochę pożyć, radzę, aby pan wszystkim, ze mną włącznie, mówił, że nie wysłano żadnej ekipy robotów. I że informacja jakoby owa „ekipa” przepadła bez śladu jest historyjką spreparowaną przez obmierzłych dziennikarzy homeogazety. A jeśli to nie wystarczy, powiedz, że wszystko jest obliczonym na wywołanie sensacji wymysłem tej gwiazdy telewizyjnej... jak mu tam?

— Radosny Włóczęga — przypomniała generałowi konkomodatorka Molly Neumann.

— Taka kreatura jak Włóczęga z pewnością wysłałaby to wszystko z palca po to, by utrzymywać widzów w błędnym przekonaniu, że ma swoją wtyczkę tutaj, w Festung Waszyngtonie — dodał. — Ale nie ma żadnej wtyczki.

— I co teraz, generale? — zapytał po chwili Lars.

— Co teraz? — Generał Nitz klasnął w ręce nad stertą memorandumów, mikrodokumentów, raportów i przypominających wstążeczki wyciągów z akt, które pokrywały jego część stołu. — No cóż, Lars...

Podniósł na Larsa wzrok i stała się rzecz niewiarygodna: na jego zmęczonej, marchewkowej twarzy pojawił się bezradny uśmiech.

— Może to zabrzmie dziwnie, ale ktoś w tej sali, pewien uczestnik posiedzenia *bona fide*, zaproponował, uśmieje się pan — zaproponował, żebyśmy wprawili pana w ten pański taniec świętego Wita — jego marchewko wata twarz stężała — w trans. Lars, możesz pan ściągnąć broń z wielowymiarowej przestrzeni? Proszę o szczerą odpowiedź. Potrafisz pan załatwić coś, czym można zniszczyć BX-3? Bez żartów. Powiedz pan „nie”, a my cię stąd nie wyprosimy. Po prostu spokojnie pomyślimy nad innym rozwiązaniem.

— Nie potrafię — odparł Lars.

Na chwilę oczy generała Nitza zabłyśły. Możliwe że odbiło się w nich współczucie, możliwe, lecz mało prawdopodobne.

Cokolwiek to było, trwało zaledwie moment. Wkrótce Nitz stał się na powrót sardoniczny.

— W każdym razie jest pan szczery, a o to prosiłem. Chciałem usłyszeć, że n i e, no i mam to, co chciałem. Zaśmiał się sucho.

— Mógłby spróbować — rzekła niespotykanie wysokim kobiecym głosem jakaś pani o nazwisku Min Dosker.

— Tak — zgodził się Lars, podchwytyjąc myśl zanim zrobi to generał Nitz. — Proszę mi pozwolić coś wyjaśnić. Ja...

— Niech pan nic nie wyjaśnia — rzekł powoli generał Nitz. — Niech mi pan daruje tę przyjemność. Lars, pani Dosker jest z SeRKeB-u. Nie poinformowałem pana o tym wcześniej, ale... — Wzruszył ramionami. — Tak więc wobec tego faktu nie częstuj nas pan nieskończenie długimi wywodami na temat tego jak pan działa, co pan może, a czego nie może. Z powodu obecności pani Dosker nie jesteśmy zupełnie nieskrępowani. — Po czym zwrócił się do reprezentantki SeRKeB-u: — Pani to rozumie, prawda Min?

— Nadal myślę — powiedziała pani Dosker — że wasze medium mogłoby spróbować.

Nerwowo grzebała w mikrodokumentach.

— A wasze nie mogłoby? — zapytał generał Dowbrowsky. — Panna Topczew?

— O ile mi wiadomo — rzekła pani Dosker — panna Topczew... — Tu zawahała się; widocznie i od niej wymagano pewnej powściągliwości.

— Nie żyje — dokończył generał Nitz nieprzyjemnym głosem.

— Ależ nie! — zaprotestowała pani Dosker, przerażona jak nauczyciel w szkółce niedzielnej, zaszokowany nieprzyzwoitym słowem.

— Pewnie zabił ją nadmierny wysiłek — rzekł leniwie Nitz.

— Nie, panna Topczew jest... w stanie szoku. W pełni jednak rozumie sytuację. Przebywa w Nowej Moskwie w Instytucie Pawiowa, gdzie przyjmuje leki uspokajające. Chwilowo nie może pracować. Ale żyje.

— Kiedy wyjdzie z szoku? — spytał jeden z konkomodatorów, nic nie znaczący mężczyzna. — Czy to szybko nastąpi? Jak pani sądzi?

— Mamy nadzieję, że w ciągu paru godzin — rzekła z naciskiem pani Dosker.

— W porządku — powiedział generał Nitz z nagłym ożywieniem. Roztarł ręce i uśmiechnął się ukazując żółte nierówne, prawdziwe zęby. Zwrócił się do Larsa: — Panie Powderdry, Lars, kimkolwiek pan jest, cieszę się, że pan tu przyszedł. Naprawdę. Wiedziałem, że pan przyjdzie. Ludzie tacy jak pan nie potrafią stać z boku z założonymi rękami.

— Któż... — zaczął Lars, ale siedzący za generałem Dowbrowskim generał Bronstein zgasił go wzrokiem.

Lars oblał się rumieńcem.

— Kiedy ostatnio był pan w Fairfax w Iceland? — zapytał go generał Nitz.

— Sześć lat temu — odparł Lars.

— A przedtem?

— Nigdy.

— Chce pan tam pojechać?

— Pojechałbym wszędzie. Do samego Boga. Tak, pojechałbym z wielką chęcią.

— Świetnie. — Generał Nitz skinął głową. — Ona powinna już wyjść z szoku, powiedzmy, do północy czasu waszyngtońskiego. Czy tak, pani Dosker?

— Jestem tego pewna — odrzekła reprezentantka SeRKeB-u, a jej głowa zakiwała się w górę i w dół jak pusta, bezbarwna dynia na grubym trzonku.

— Czy kiedykolwiek próbował pan współpracować z innym medium? — spytał Larsa człowiek od propagandy (tak, chyba istotnie był od propagandy).

— Nie. — Odparł Lars. Na szczęście zdołał opanować drżenie głosu. — Jednak chętnie podzielę się z panną Topczew swoimi zdolnościami i latami praktyki. W gruncie rzeczy... — Zawiesił głos, dopóki nie znalazł odpowiedniego ze względów politycznych zakończenia zdania. — Już od jakiegoś czasu myślałem sobie, że takie połączenie sił mogłoby być niezwykle korzystne dla obu bloków.

— Mamy psychiatrę w klinice Wallingford — rzekł generał Nitz z rozmyślną bezceremonialnością. — Przebywają tam aktualnie trzy nowo wytypowane media, czy tak brzmi liczba mnoga od medium? Nie? Jak na razie przeszły jeszcze stosunkowo mało testów, lecz ewentualnie moglibyśmy je wykorzystać. — Z nagłą szorstkością w głosie zwrócił się do Larsa: — Panie Lars, to by się panu z pewnością nie spodobało. Więc na razie tego panu oszczędzimy. Na razie.

Generał Nitz skinął prawą dłonią. Znajdujący się w kącie sali młody oficer N. Z. pochylił się i włączył odbiornik wideofoniczny. Mówiąc do wszczepionego w głąb gardła mikrofonu, oficer dyskutował z nieobecnymi na sali osobami. W pewnej chwili wyprostował się i wskazał na wideofon, sygnalizując, że wszystko — cokolwiek to było — jest gotowe.

Na ekranie wideofonu pojawiła się twarz jakiejś tajemniczej istoty ludzkiej. Obraz lekko falował; widocznie przekazywano go przez satelitę z bardzo dużej odległości.

— Czy nasz chłopak może się naradzić z waszą dziewczyną? — zapytał generał Nitz wskazując na Larsa.

Spoglądające z ekranu odległe oczy umieszczone w falującej twarzy bacznie przyglądały się Larsowi. Tymczasem młody oficer przetłumaczył odpowiedź:

— Nie — rzekła twarz na ekranie.

— Dlaczego, panie marszałku? — chciał wiedzieć Nitz.

Twarz na ekranie należała do największego dygnitarza we Wschodnim Oku,

Przewodniczącego Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej i Pierwszego Sekretarza SeRKeb-u. Mężczyzna opowiadający się przeciwko zjednoczeniu sił, był Marszałkiem Armii Czerwonej, Maksymem Paponowiczem. Człowiek ten nie licząc się ze zdaniem innych mieszkańców globu, powiedział:

— Musimy trzymać ją w izolacji. Ona nie czuje się zbyt dobrze. To znaczy, jest chora. Żałuję. Bardzo mi przykro.

Spojrzenie jego pełnych skrywanej nienawiści kocich oczu badało Larsa, jakby odszyfrowywało dobrze znaną sobie informację.

Lars wstał z krzesła i rzekł z szacunkiem:

— Marszałku Paponowiczu, popełnia pan wielki błąd. Od panny Topczew i ode mnie może zależeć przywrócenie porządku na świecie. Czy Związek Sowiecki jest przeciwko poszukiwaniom środka zaradczego, gdy znajdujemy się w tak trudnym położeniu?

Twarz Paponowicza patrzyła na niego z ekranu z jawną nienawiścią.

— Jeśli nie uzyskam zgody na współpracę z panną Topczew — powiedział Lars — wyrażę poparcie dla służby bezpieczeństwa Zachodniego Bloku i zerwę z panem wszelkie stosunki. Proszę, aby zmienił pan zdanie przez wzgląd na bezpieczeństwo bilionów mieszkańców Wschodniego Oka. Gotów jestem podać do wiadomości publicznej, iż próbowaliśmy złączyć nasze zdolności, niezależnie od tego, co może zarządzić obecna tu Rada. Mam bezpośredni dostęp do infomediów w postaci reporterów „Radosnego Włóczęgi”. Pańska odmowa...

— Dobrze — powiedział marszałek Paponowicz. — W ciągu dwudziestu czterech godzin panna Topczew znajdzie się w Fairfax w Iceland.

Tymczasem wyraz jego twarzy mówił: Skłoniłeś nas do tego, co i tak mieliśmy zamiar zrobić. Wziąłeś przy tym na siebie całą odpowiedzialność, więc jeśli przedsięwzięcie zakończy się fiaskiem, będzie to twoja wina. W ten sposób my wygraliśmy. Dziękujemy.

— Dziękuję panu, marszałku — rzekł Lars i usiadł na krześle.

Prawdopodobnie stał się przedmiotem zręcznej manipulacji, ale miał to gdzieś. Liczyło się tylko to, że w ciągu dwudziestu czterech godzin spotka w końcu Lilę Topczew.

## 13.

Ponieważ panna Topczew znajdowała się w stanie lekkiego rozstroju psychicznego, Lars nie musiał natychmiast ruszać do Iceland. Miał więc czas, by zbadać projekt, który podsunęła mu Maren.

Osobiście, nie korzystając z wideofonu, skontaktował się z ambasadą sowiecką w Nowym Yorku. Wszedł do wynajmowanego za astronomiczną cenę nowoczesnego budynku i siedząc za pierwszym z brzegu biurkiem dziewczynę spytał o pana Aksela Kaminsky'ego.

Ambasadę ogarnęło szaleństwo. Panowało w niej takie zamieszanie, jakby pracownicy pakowali manatki, palili akta lub przynajmniej zamieniali się miejscami jak uczestnicy szalonego podwieczorku u Kapelusznika z „Alicji w Krainie Czarów”. Ktoś dostaje czystą filiżankę, pomyślał Lars obserwując rozbieganych większych i mniejszych urzędników ZSRR, a inny ktoś — brudną. Góra oczywiście dostaje to, co lepsze. Natomiast prosapom, którzy stanowią większość, dostają się mniej uprzywilejowane pozycje.

— Co tu się dzieje? — zapytał młodego, pryszczatego pracownika, który przysiadł nad czymś, co przypominało akta KACH-u zaklasyfikowane jako nietajne.

— Na mocy umowy z NZ-Z Narbez-em biura na pierwszym piętrze mają być miejscem wymiany informacji — rzekł piskliwym głosem młody mężczyzna. — Oczywiście — dodał zadowolony, że może przerwać swoje niezbyt twórcze zajęcie — właściwe miejsce spotkań mieści się Iceland, nie tutaj. Tu wymieniamy jedynie rutynowe informacje.

Oszpecona twarz młodzieńca wyrażała niechęć do nawału nowych obowiązków. Drobny urzędnik z królestwa biurokracji nie martwił się obcym satelitą, lecz monotonią zajęć nałożonych na niego przez sytuację powstałą w wyniku pojawienia się tego satelity. Tymczasem owa sytuacja, pomyślał Lars, może już wkrótce pozbawić młodego człowieka możliwości spełniania swych niewdzięcznych zadań.

Oba bloki dysponowały stosami artykułów z dziedziny nauki, techniki, kultury i polityki, które stanowiły wspólną własność i jako takie przechodziły z rąk do rąk jak karty do gry. Wschód i Zachód doszły do wniosku, że nie warto płacić zawodowym szpie-



gom takim jak KACH lub nawet własnej państwowej tajnej policji, aby wykraść kopie streszczeń traktujących o produkcji twarożku sojowego w porośniętych tundrą północno — wschodnich rejonach ZSRR. Każdego dnia gromadziły się tak wielkie ilości tego typu nietajnych dokumentów, że zaistniała groźba rozsadzenia murów twierdzy biurokracji.

— Panie Lars!

Lars podniósł się z miejsca.

— Pan Kaminsky. Jak się pan miewa?

— Okropnie — odparł Kaminsky. Był zmęczony, rozgorączkowany i przepracowany. Przypominał emerytowanego mechanika samochodowego pierwszej klasy. — Ci w satelicie tam w górze. Kim oni są? Czy zadał pan sobie to pytanie?

— Tak, panie Kaminsky — powiedział spokojnie. — Zadawałem sobie to pytanie.

— Herbaty?

— Nie, dziękuję.

— Czy pan wie — rzekł Kaminsky — co niedawno podali w telewizji? Byłem właśnie w biurze. Odbiornik zabrzączał, jak zwykle, żeby zwrócić na siebie uwagę i włączył się. — Kaminsky poszarzał na twarzy i z trudem ciągnął dalej. — Niech mi pan wybaczy, że przynoszę złe wieści, zupełnie jak spartański żołnierz wracający z pola bitwy pod Termopilami, ale... na orbicie pojawił się już drugi obcy satelita.

Larsowi nie przyszła do głowy żadna rozsądna odpowiedź.

— Proszę do mojego biura — powiedział Kaminsky prowadząc Larsa przez zgiełk i zamęt do pokoju na zapleczu.

Zamknął drzwi i usiadł naprzeciw Larsa. Mówił teraz wolniej i w jego głosie nie porzmiewała histeryczna nuta.

— Herbaty?

— Nie, dziękuję.

— Drugiego satelitę umieścili na orbicie właśnie wtedy, gdy pan czekał, żeby się z mną spotkać — rzekł Kaminsky. — Wiemy więc, że oni mogą wsadzić na orbitę wszystko, co zechcą. Setki satelitów. Jeśli przyjdzie im na to ochota. Zakryją całe niebo. Proszę tylko pomyśleć. Będą krążyły nie wokół Jowisza albo Saturna w obwodzie, gdzie jedynie trzymamy statki pikietowe i satelity, ale tutaj. Ominęli najprostsze rozwiązanie. Może dla nich to także jest łatwe. Te dwa satelity umieszczono na orbicie za pomocą statków. Zniesiono je jak jajka; nie wystrzelono ich z pokładu pojazdu orbitalnego, żeby potem unieruchomić. W dodatku nikt nie widział żadnych statków. Żaden monitor niczego nie zarejestrował. To obce statki wewnątrzsystemowe z antymaterii. A my zawsze sędziliśmy...

— Sędziliśmy — powiedział Lars — że naszym pozaziemskim wrogiem są subepidermalne grzybopodobne formy życia z Tytana, które potrafią na co dzień udawać



przedmioty gospodarstwa domowego. Coś wygląda jak wazon, a tu nagle zagnieżdża się w twoich wnętrznościach i trzeba interwencji chirurgicznej.

— Tak — zgodził się Kaminsky. — Nie cierpiałem ich. Widziałem kiedyś jedno, nie w fazie symulującej przedmiot, ale w postaci cysty, tak jak pan opisał. Mieli to bombardować kobaltem. — Kaminsky wyglądał na chorego. — Panie Lars, czy to nam jednak czegoś nie mówi? Mamy jakieś wyobrażenie o ich możliwościach. To znaczy wiemy, że nie mamy o tym zielonego pojęcia.

— Roboty nie zdobyły żadnych nawet mętnych informacji w sprawie budowy tych... — dotąd usłyszał jedynie słowo obcy — ... tych naszych przeciwników — dokończył.

— Proszę, panie Lars — rzekł Kaminsky. — Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Czego pan sobie życzył, sir? Nie słuchać złych wieści. Czegoś innego. Czegokolwiek.

Nalał sobie zimnej, ciemnej herbaty.

— Mam się spotkać z Lilą Topczew w Fairfax, kiedy tylko ona znajdzie się w lepszej formie psychicznej. Wtedy w kawiarni spytał mnie pan o element...

— To już nieaktualne. Przestaję się zajmować bronią. Panie Lars, my już nie lemiszujemy. Nigdy więcej nie będziemy tego robić.

Lars jęknął jak zwierzę.

— Tak — powiedział Kaminsky. — Nigdy więcej. Pański blok i mój, Wschód i Zachód, zorganizowaliśmy się pośród dzicy i pustyni. Byliśmy sprytni, pobrataliśmy się, podpisaliśmy umowy, sam pan wie: uściski rąk, słowa w Protokołach z 2002. Zaczęliśmy znowu istnieć, jak to jest powiedziane w Biblii judeochrześcijańskiej? Bez liści.

— Nadzy — rzekł Lars.

— A teraz szary człowiek z ulicy — ciągnął Kaminsky — czy jak go nazywacie? Prosap. Prosty homo sapiens. Prosty homo sapiens czyta w homeogazecie o dwóch obcych satelitach i może się troszkę niepokoi. Mówi: Ciekawe, która z nowoczesnych broni będzie najlepsza, żeby zrobić z nimi porządek? Ta? Nie. To może tamta? — Kaminsky wskazywał dłonią nie istniejące rodzaje broni, jakby znalazły się nagle w jego małym biurze. Mówił głosem pełnym goryczy, przypominającym zawodzenie. — W czwartek pierwszy satelita. W piątek drugi. W sobotę...

— W sobotę — przerwał mu Lars — użyjemy broni numer 241 i wojna się skończy.

— 241 — zachichotał Kaminsky. — Jakbym już gdzieś to słyszał. Do użytku wyłącznie przeciwko formom życia opatrzonym szkieletem zewnętrznym. Rozpuszcza chitynowy szkielet i przeciwnik zaczyna przypominać... jajko bez skorupki, tak? Tak, to by się spodobało prostemu homo sapiensowi. Pamiętam, jak kiedyś ludzie z KACH-u ukradli kasetę video pokazującą pełną dramatyzmu akcję z bronią numer 241. Dobrze, że znaleźliście na Callisto chitynową formę życia, którą dało się zmiękczyć. Graficzna demonstracja nie dałaby takiego efektu. Nawet ja byłem poruszony. Tam w dole, pod

Kalifornią, w katakumbach Lanfermana oglądanie różnych stadiów jej powstawania musiało być ekscytujące. Prawda?

— Tak — odparł Lars bez entuzjazmu.

Kaminsky wziął z biurka skserowany dokument, który składał się tylko z jednej strony, co w tych czasach było anomalią.

— To jest poufna informacja, która ma zostać przekazana przez sowiecką ambasadę mass mediom Zachodniego Bloku. To n i e oficjalne, pan rozumie. Tak zwany przeciek. Homeogazeta i reporterzy telewizyjni „podśluchali” rozmowę, wyrobili sobie ogólne pojęcie o planach Wschodniego Oka i tak dalej.

Rzucił dokument Larsowi.

Wziąwszy go do ręki, Lars w jednej chwili przejrzał strategię SeRKeB-u.

Zadziwiające, pomyślał po przeczytaniu jednostronicowej kopii dokumentu Wschodniego Oka. Nie przejmowali się tym, że zachowują się idiotycznie; chcieli jedynie zapobiec temu, by wszędzie wokół trąbiono o ich idiotyzmie. I to już teraz. Nie po tym, jak obcy zostaną rozgromieni, stwierdził, albo my im się poddamy; cokolwiek się stanie. Paponowicz, Nitz i całe szeregi bezimiennych urzędników niższej kategorii klecą bzdury nie po to, by ochronić cztery biliony ludzi przed straszliwym niebezpieczeństwem, które dosłownie wisi nad ich głowami, lecz po to, by wybawić z opresji swoje cholerne tyłki.

Ludzie są próżni. Nawet ci, którzy zajmują najwyższe stanowiska.

— Lektura tego dokumentu zmieniła moją koncepcję Boga i jego stworzenia — rzekł Lars do Kaminskiego.

Kaminsky skinąwszy głową, z uprzejmością dobrego słuchacza czekał na dalsze wyjaśnienia.

— Pojąłem nagle przypowieść o upadku człowieka, dlaczego wszystko poszło źle: to jedno wielkie kłamstwo.

— Jest pan mądrym człowiekiem, panie Lars — powiedział Kaminsky ze znużeniem, lecz nutą podziwu w głosie. — Stwórca spartaczył robotę i zamiast wszystko poprawić, spreparował historyjkę, w której zwał winę na kogoś innego, na odwieczną złą siłę.

— Tak więc drobny subkontrahent na Kaukazie — rzekł Lars — straci umowę z rządem i będzie poszukiwany. Dyrektor automatycznej fabryki, nie potrafię wymówić jego nazwiska ani nazwy fabryki, ma odkryć coś, o czym dotąd nie wiedział.

— On o tym wie — odparł Kaminsky. — Niech pan powie, dlaczego przyszedł pan do ambasady?

— Chciałem dostać wyraźne zdjęcie panny Topczew. Trójwymiarowe, w kolorze, może nawet animowane, jeśli takie macie.

— Oczywiście. Ale nie może pan poczekać jeden dzień?

— Chcę być zawczasu przygotowany.

— Dlaczego? — spytał Kaminsky odzyskując bystrość umysłu.

— Widać nigdy nie słyszał pan o miniaturowych portrecikach ukochanej malowanych na polecenie przyszłego oblubieńca.

— Ach. Miłość, ta osnowa wielu sztuk, oper, legend? Miłość się przeżyła, powinno się o niej zapomnieć. Pan mówi poważnie, Lars? W takim razie będzie pan miał kłopoty, czyli to, co wy w Zachodnim Bloku nazywacie problemami.

— Wiem.

— Panna Topczew jest pomarszczoną, wysuszoną, zgrzybiałą maskarą. Gdyby nie jej zdolności mediumiczne, dawno byłaby w domu starców.

Te słowa niemal zwały Larsa z nóg. Zamarł.

— Zmroziło pana — rzekł Kaminsky. — Przykro mi, panie Lars. To był eksperyment psychologiczny w pawłowowskim stylu. Przepraszam. Niech pan się chwilę zastanowi. Jedzie pan do Fairfax, żeby ratować cztery biliony ludzi. Nie zaś po to, by znaleźć nową kochankę na miejsce Maren Faine, pańskiej rodaczki, aktualnej Liebesnacht. Nawiasem mówiąc ją też wziął pan na miejsce tej... jak jej było na imię? Betty? W każdym razie tej poprzedniej, o której KACH mówił, że ma ładne nogi.

— Chryste — powiedział Lars. — Zawsze ten KACH. Zamienia żywe istoty na bity informacji i sprzedaje.

— Każdemu, kto zechce kupić — przypomniał mu Kaminsky. — Czy to będzie pański wróg, przyjaciel, żona, pracodawca albo gorzej: pracownik. Agencja, która sprzyja szerzeniu się szantażu. Jednak, jak sam pan zauważył otrzymując zamazane zdjęcie panny Topczew, KACH nie wyklada wszystkich kart na stół. Trzyma klienta w zawieszaniu, żeby nadal potrzebował ich usług. Panie Lars, ja mam żonę i trójkę dzieci w Związku Sowieckim. Teraz kiedy na niebie pojawiły się dwa obce satelity, mogą ich zabić, żeby się do mnie dobrać. Mogą również dobrać się do pana; na przykład pańska kochanka w Paryżu umrze w jakiś koszmarny sposób, od zakażenia albo wszczepienia czegoś...

— Wystarczy.

— Chcę tylko pana o coś poprosić; to wszystko. Jedzie pan do Fairfax, żeby zapobiec wielu potwornościom. Modlę się, żeby pan z Lilą Topczew wymyślił jakąś cudowną ochronę. Jesteśmy dziećmi, które bawią się pod opieką ojca. Czy pan to rozumie? Jeśli pan zapomni...

Kaminsky wyciągnął klucz i otworzył staroświecką szufladę w swoim biurku.

— Mam to. Przeszarżały model. — Wyjął pistolet automatyczny na pociski kumulacyjne i uniósł go w górę ostrożnie trzymając wylot lufy z dala od Larsa. — Jako urzędnik organizacji, która nigdy nie może po prostu się wycofać, lecz aby przestała istnieć, musi być wypalona ogniem i zniszczona, mogę udzielić panu pewnej informacji. Zanim wyjedzie pan do Fairfax, dowie się pan, że nie ma dokąd wracać. Powiedzmy, że popełnimy błąd. Zepsuje się jakiś statek pikietowy, satelita poruszający się na orbicie o wiel-

kim promieniu albo satelitarna elektrownia słoneczna. — Kaminsky wzruszył ramionami, schował pistolet i starannie zamknął na klucz szufladę. — Trochę się uniosłem.

— Powinien pan udać się do psychiatry, dopóki przebywa pan w Zachodnim Bloku.

Odwrócił się i otworzywszy drzwi biura wszedł do głównego pomieszczenia, pełnego gwaru i gorączkowej aktywności.

Podążający za nim Kaminsky zatrzymał się w drzwiach i powiedział:

— Zrobiłbym to osobiście.

— Co pan by zrobił? — spytał Lars odwracając się.

— Zrobiłbym użytek z tego, co panu pokazałem, co trzymam w biurku.

— Och. — Lars kiwnął głową. — W porządku. Postaram się mieć to na uwadze.

Zaraz potem jak odrętwiały przebił się przez tłum drepzczących drobnych urzędników, dotarł do głównego wyjścia i znalazł się na chodniku.

Zupełnie poszaleli, powiedział sobie w duchu. Nadal wierzą, że kiedy ma się nóż na gardle, sprawy można rozwiązać w taki sposób. Cała ewolucja, którą odbyli, zaszła jedynie na powierzchni. W głębi duszy pozostali tacy sami.

Tak więc nie tylko stoimy wobec faktu, że na naszej orbicie pojawiły się dwa obce satelity, pomyślał Lars, ale musimy być przygotowani na to, że za sprawą nieodpornych na stres przywódców naszych bloków skończy się zawieszenie broni. Wszystkie umowy, pakt i układy, sejf na stacji autobusowej w Topece, Kansas, Geldthaler Gemeinschaft w Berlinie, nawet samo Fairfax to tylko złudzenia. My wszyscy, Wschód i Zachód, żyliśmy tymi złudzeniami. Obie strony popełniły ten sam błąd: pragnęliśmy wierzyć w łatwe rozwiązania. Na przykład ja, pomyślał. W kryzysowej sytuacji poszedłem prosto do sowieckiej ambasady.

I co mi to dało? Zetknąłem się z przestarzałą ręczną bronią ze względów bezpieczeństwa osobistego wycelowaną w sufit zamiast w moją jamę brzuszną.

Jednak ten człowiek miał rację. Kaminsky powiedział prawdę, nie robiąc awantur i popadając w histerię. Jeśli Lili i mnie się nie uda, zostaniemy zniszczeni. Oba bloki będą wszędzie szukały pomocy. Ciężar odpowiedzialności spadnie na Jacka Lanfermana i jego inżynierów, zwłaszcza na Pete'a Freida. I niech Bóg ma ich w swojej opiece, jeśli i oni poniosą klęskę, bo wtedy podzielią los Lili i mój.

O Śmierci, pomyślał, gdzie twój oścień, gdzie twoje zwycięstwo? Mogę odpowiedzieć. Jest tutaj. We mnie.

Gdy zatrzymywał mijającego go skoczka, uświadomił sobie nagle, że nawet nie dostał tego, po co przyszedł do budynku ambasady. Nie udało mu się załatwić wyraźnego zdjęcia Lili.

Co do tego Kaminsky również miał rację. Lars Powderdry będzie musiał poczekać aż do spotkania w Fairfax. Nie uda się tam zawczasu przygotowany.

## 14.

Przyszli po niego późno w nocy, gdy spał w swoim nowojorskim mieszkaniu.

— Panie Lars, panna Topczew już czuje się dobrze. Czy w tej sytuacji zechce się pan ubrać? Resztę rzeczy sami spakujemy i przysłemy później. Idziemy prosto na dach. Tam czeka nasz statek.

Przywódca ludzi z FBI, CIA (diabli wiedzą, skąd się wzięli, w każdym razie byli to profesjoniści, nawykli do pełnienia służby we wszystkich porach dnia i nocy), zaczął grzebać w szafach i szufladach Larsa, wyciągając z nich części garderoby i układając je wokół Powderdrya ze spokojem i wprawą maszyny. Spełniał swoje zadanie. Lars nie wierzył własnym oczom. Stał oszołomiony i otępiały jak zerwane ze snu zwierzę.

Wreszcie w pełni oprzytomniał i podreptał do łazienki.

Kiedy mył twarz, jeden z policjantów poinformował go niedbale:

— Na orbicie są już trzy.

— Trzy — powtórzył tępo Lars oglądając w lustrze swoją spuchniętą od snu i wygniecioną od poduszki twarz.

Włosy opadały mu na czoło jak wysuszone wodorosty i machinalnie sięgnął po grzebień.

— Trzy satelity. Trzeci jest inny, tak przynajmniej twierdzą stacje śledzenia satelitów.

— Jeź? — zapytał Lars.

— Nie, jeszcze inny. To nie satelita kontrolny. Nie zbiera informacji. Pierwsze dwa takie były; może już zrobiły swoje.

— Udowodnili — rzekł Lars — że są w stanie utrzymać się na orbicie, że nie potrafimy ich stamtąd ściągnąć.

Coś takiego rzeczywiście udowodnili, nawet jeśli satelity nie były pełne wymyślnych przyrządów, lecz puste.

Policjanci mieli na sobie typowe dla szarych eminencji prochowce i ze swoimi krótko ostrzyżonymi włosami wyglądali jak ascetyczni mnisi. Lars wspiał się wraz z nimi na dach budynku. Mężczyzna o czerstwej cerze idący po prawej stronie Larsa, powiedział:

- O ile nam wiadomo, dziś po południu odwiedził pan sowiecką ambasadę.  
— Zgadza się — odparł Lars.  
— Ten nakaz, który miał pan przy sobie...  
— Dzięki niemu po prostu nie mogą się do mnie przyczepić — powiedział Lars.  
— Za to ja mogę ich się czepiać. Oni nie mają nakazu.  
— I miał pan szczęście? — zapytał policjant.

Larsa autentycznie zatkało. Nie był w stanie nic odpowiedzieć. Czy to wypytywanie oznaczało, że ci ludzie z FBI czy CIA wiedzieli, po co poszedł do Kaminsky'ego? W końcu dotarli do dachowego lądowiska i zaparkowanego na nim rządowego pojazdu, który okazał się superszybkim statkiem pościgowym.

— No cóż, przedstawił mi swój punkt widzenia — odparł wreszcie Lars. — Więc w pewnym sensie miałem „szczęście”.

Statek wystartował i wkrótce znalazł się nad Atlantykiem. Błyszczące daleko w dole światła siedzib ludzkich malały i znikaly z pola widzenia. Larsa, który zerkał na oddalające się miasto, ogarnął neurotyczny niemal niepokój i dotkliwie, przejmujące poczucie straty. Straty, która może już nigdy, przez całą wieczność, nie będzie wynagrodzona.

- Jak zamierza pan działać? — spytał siedzący za sterami policjant.  
— Sprawię totalne, zupełne, stuprocentowe wrażenie — odparł Lars — że jestem otwarty, szczery, naiwny, uczciwy, ufny...  
— Ty głupi bydlaku — przerwał mu ostro policjant — tu chodzi o życie nas wszystkich!

— Jest pan kogłem, prawda? — spytał ponuro Lars.

Policjant, a właściwie obaj policjanci, skinęli głowami.

— A więc wiadomo panu — ciągnął Lars — że mogę wam dostarczyć pewien gadżet, zlemieszowany element sześćdziesięciofazowego systemu naprowadzającego, który będzie zapalał cygara i tworzył nowe kwartety skrzypcowe Mozarta podczas, gdy inny gadżet, zlemieszowany element innego złożonego modelu, będzie podawał jedzenie, a nawet żuł je za was i jeśli trzeba wypluwał pestki do jeszcze innego gadżetu...

— Teraz rozumiem — powiedział jeden z policjantów do swego towarzysza — dlaczego tak cholernie nienawidzi się tych pieprzonych projektantów broni. To cioty.

— Nie — zaprotestował Lars. — Pan się myli. Nie to mnie niepokoi. Chce pan wiedzieć, co mnie niepokoi? Ile jeszcze będziemy lecieć do Fairfax?

— Niezbyt długo — odparli jednocześnie obaj policjanci.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — powiedział Lars. — To właśnie mnie niepokoi. Jestem nieudacznikiem jeśli chodzi o moją pracę. A to boli; to napawa przerażeniem. Jednak płaci mi się, w każdym razie dotychczas robiono wszystko, żebym był nieudacznikiem. Na to właśnie istniało zapotrzebowanie.

— Jak myślisz, Powderdry — spytał siedzący obok niego policjant — czy tobie i Lili



Topczew się uda? Zanim tamci... — wznosił palec w górę w nieomal nabożnym geście pradawnego oracza albo Hioba, na którego spadły wszelkie nieszczęścia — spuszcza, do czego potrzebne były te wszystkie pomiary dokonane przez ich sieć satelitarną? To coś, co spuszcza, uderzy dokładnie tam, gdzie zechcą. Na przykład, tak mi się wydaje, wrzucą coś do Pacyfiku, podgrzeją wodę i ugotują nas jak homary.

Lars milczał.

— On ci nie odpowie — rzekł policjant przy sterach.

Ton jego głosu stanowił osobliwą mieszankę złości i żalu. Był to głos małego chłopca i Lars poczuł dla niego współczucie.

— W sowieckiej ambasadzie — odezwał się Lars — powiedzieli mi zupełnie poważnie, że jeśli Lila i ja nie wymyślimy niczego lub jedynie pseudobroń, której projektowaniem od wielu lat zarabiamy na życie, zabiją nas. Zrobią to, jeśli oczywiście wy ich nie uprzędzicie.

— My to zrobimy pierwsi — rzekł spokojnie siedzący za sterami policjant. — Ponieważ będziemy bliżej. Ale nie od razu. Dopiero w swoim czasie.

— Macie taki rozkaz? — spytał zaciekawiony Lars. — Czy sami na to wpadliście?

Nikt nie udzielił mu odpowiedzi.

— Nie możecie obaj mnie zabić — rzekł filozoficznie siląc się na nonszalancję. Filozoficznie to nie zabrzmiało, nonszalancji zaś nikt nie docenił. — Albo i możecie — stwierdził. — Święty Paweł mówi, że człowiek może ponownie przyjść na świat. Może umrzeć i znów się urodzić. Skoro więc człowiek może narodzić się dwukrotnie, dlaczegoż nie mógłby być dwukrotnie zamordowany?

— W pańskim wypadku to nie będzie morderstwo — zauważył siedzący obok policjant.

Nie zechciał sprecyzować, czym to w takim razie będzie.

Może tego nie da się sprecyzować, pomyślał Lars. Policjanci bali się, byli pełni nienawiści i... jednocześnie mu ufali. Mieli jeszcze nadzieję, jak Kaminsky. Latami płacili mu za to, żeby nie konstruował naprawdę śmiercionośnej broni, a teraz z bezgraniczną naiwnością lgnęli do niego błagając o pomoc, tak jak błagał Kaminsky, grożąc mu jednocześnie śmiercią w razie porażki.

Zaczął sobie teraz uświadamiać wiele spraw związanych ze społecznością kogów, o których to sprawach nie miał dotąd pojęcia.

Wtajemniczenie w najdrobniejsze arkana funkcjonowania społeczeństwa nie ułatwiało im życia. Cierpieli, podobnie jak Lars. Nie byli dumni, wyniośli i pyszni, czy jak ktoś ostatnio powiedział, pełni *hubris*. Świadomość tego, co naprawdę się dzieje, napałała ich niepokojem, tak samo jak brak tej świadomości pozwalał spokojnie spać tłumom prosapów. Na kogach spoczywał zbyt wielki ciężar, nie mogli podołać takiej odpowiedzialności, nie byli wystarczająco dojrza... Ciężar ten przygniatał nawet dwóch



nic nie znaczących gliniarzy i ich kolegów, którzy właśnie upychali do walizek marynarki, koszule, buty, krawaty i bieliznę Larsa.

Przyczyna takiego stanu rzeczy była następująca:

Kogowie wiedzieli, czego i Lars był świadom, że ich los znajduje się w rękach półgłówków. Proste! W rękach półgłówków ze Wschodu i z Zachodu, półgłówków takich jak marszałek Paponowicz i generał Nitz... Półgłówkiem jestem także ja, uświadomił sobie Lars i poczuł, że pieką go uszy. Kręgi rządzące przerażała władza. Ostatnim „nadczołowiekiem”, czy „człowiekiem z żelaza”, był Józef Stalin. Po nim nastali zwyczajni drobni śmiertelnicy, którzy jedynie zajmowali stołki i zawierali między sobą układy.

Tymczasem to, co mogło już wkrótce się wydarzyć, było bardziej przerażające niż władza. W jakimś sensie czuli to wszyscy, nawet prosapy.

Przyszłość jawiła się w postaci trzech obcych satelitów.

— Jesteśmy nad Iceland — rzucił siedzący za sterami policjant, jakby stwierdzał nic nie znaczący fakt.

W dole błyszczały światła Fairfax.

## 15.

Parzące światła tworzyły nad Larsem złoto — biały tunel. Przenikający do szpiku kości zimny wiatr, który ciągnął od lodowców, wściekle smagał. Lars szybko zmierzał w stronę najbliższego budynku. Drżący z zimna policjanci przyśpieszyli kroku.

Wkrótce drzwi szczelnie zamknęły się i cała trójka znalazła się w ciepłe. Mężczyźni ciężko dyszeli. Twarze policjantów poczerwieniały i spuchły, nie tyle z powodu nagłej zmiany temperatur, co z powodu napięcia. Bali się chyba, że nie wpuszczą ich do środka.

Ni stąd ni zowąd zjawili się czterech członków KVB, sowieckiej tajnej policji, ubranych w krańcowo niemodne, przedpotopowe wełniane marynarki, wąskie półbuty o ostrych noskach i krawaty z dzianiny. Chyba w jakiś tajemniczy sposób oderwali się od ścian pomieszczenia, w którym stali dysząc Lars i dwaj funkcjonariusze policji Narodów Zjednoczonych Zachodniego Bloku.

Potem miało miejsce odkrycie prawdy: policjanci Zachodniego Bloku i funkcjonariusze sowieckiej tajnej policji powoli i w milczeniu pokazali sobie nawzajem identyfikatory. Przytaszczyli ze sobą, jak stwierdził Lars, z pięć kilo materiałów identyfikacyjnych na głowę. Wymienianie kart, portfeli i kluczy reagujących na fale mózgowie właściciela zdawało się trwać wiecznie.

I nikt nic nie mówił. Żadna z sześciu osób nie patrzyła na pozostałych. Wszyscy skupili się wyłącznie na materiałach identyfikacyjnych.

Lars oddalił się od policjantów i znalazł automat, który sprzedawał czekoladę. Wrzucił monetę i po chwili otrzymał papierowy kubeczek. Stał i popijał gorący płyn. Był zmęczony, bolała go głowa. W dodatku przypomniał sobie, że się nie ogolił. Wiedział, że jego wygląd jest poniżej wszelkiej krytyki, wręcz fatalny. I to w takiej chwili. W takich okolicznościach.

Kiedy policjanci z Bloku Zachodniego zakończyli wymienianie materiałów identyfikacyjnych ze swymi odpowiednikami ze Wschodniego Oka, Lars rzekł ze zjadliwością w głosie:

— Czuję się jak ofiara gestapo. Wyrzucony z łóżka, nie ogolony, w najgorszych rzeczach i mam stanąć przed...

— Nie stanie pan przed Reichsgericht — przerwał mu policjant ze Wschodniego Oka.

Jego angielski był tak poprawny, że aż z lekka tracił sztucznością. Nauczył się go pewnie dzięki taśmom edukacyjnym. Larsowi natychmiast przyszły na myśl roboty i androidy porozumiewające się cichym, bezbarwnym, obojętnym głosem. Takie skojarzenia dobrze nie wróżyły. Lars przypomniał sobie, że wiążą się z pewnym rodzajem chorób psychicznych, ogólnie rzecz biorąc z uszkodzeniem mózgu. Jęknął. Teraz zrozumiał, co miał na myśli T. S. Eliot pisząc, że świat skończy się nie trzaskiem, lecz skomleniem. Dla Larsa wszystko skończy się jego ledwo słyszalną skargą, że ci, na których łasce się znalazł, zachowują się jak maszyny. Chciał, czy nie chciał, był więźniem.

Blok Zachodni z powodów, które Larsowi nie zostaną ujawnione, więc ich nie zgłębi i nie doceni ich mądrości, zezwolił na to, by Lars spotkał się z Lilą Topczew na terenie podlegającym jurysdykcji Związku Sowieckiego. Być może świadczyło to o tym, że generał Nitz i ludzie z jego otoczenia wiążą nikłe nadzieje z ewentualnymi korzyściami mogącymi wyniknąć z tego faktu.

— Przykro mi — rzekł Lars do sowieckiego policjanta. — Nie mówię po niemiecku. Musi mi pan wyjaśnić ostatnie słowo.

Albo zapytam Orvilla, który został w mieszkaniu. W innym, straconym dla mnie świecie.

— To jednak prawda, że wy, Amerykance, nie znacie języków obcych. Jak pan wobec tego prowadzi swoje biuro w Paryżu?

— Mam kochankę, która mówi po francusku, włosku i rosyjsku, a do tego jest świetna w łóżku — odparł Lars. — Wszystko to możecie znaleźć w moich aktach. Ona prowadzi moje biuro w Paryżu. — Zwrócił się do dwóch policjantów ze Stanów Zjednoczonych, którzy przywieźli go w to miejsce: — Zostawiacie mnie?

— Tak, panie Lars — odpowiedzieli bez najmniejszego poczucia winy, czy troski.

Przypominali grecki chór, który zrzeka się moralnej odpowiedzialności. Lars był przerażony. A jeśli Sowieci nie zechcą go zwrócić? Do kogo Blok Zachodni zwróci się wtedy po projekty broni? Oczywiście jeśli inwazja obcych satelitów zostanie powstrzymana...

Nikt w to jednak nie wierzy.

W tym cała rzecz. Dlatego Lars przestał być nieodzowny.

— Proszę z nami, panie Lars.

Otoczyło go czterech ludzi z KVB i poprowadziło rampą, mijając po drodze poczekalnię pełną ludzi, normalnych kobiet i mężczyzn, osób prywatnych, które czekały na swój statek lub przylatujących krewnych.

Niesamowicie, pomyślał Lars, jak we śnie.

— Mógłbym zatrzymać się, by kupić jakieś czasopismo? — zapytał.

— Oczywiście.

Czterech funkcjonariuszy KVB doprowadziło go do wielkiego stoiska. Z iście socjologicznym zacięciem obserwowali Larsa, ciekawi co też wybierze do czytania.

Może Biblię? — pomyślał. Albo może raczej powinienem spróbować z drugiego końca.

— Chyba wezmę to — rzekł do ludzi z KVB, pokazując im tani, jaskrawy komiks „Niebieski Głównogi Człowiek z Tytana”.

O ile zdążył się zorientować, był to chyba najgorszy chłam na całym stoisku. Zapłacił amerykańską monetą automatycznemu sprzedawcy, który podziękował mu bezbarwnym, nosowym głosem maszyny.

Po chwili jeden z funkcjonariuszy KVB zadał Larsowi grzeczne pytanie:

— Czy zwykle kupuje pan takie czytała?

— Mam w domu wszystkie książeczki ze wszystkimi odcinkami tego komiksu, od pierwszego począwszy — odparł Lars.

Jego rozmówca uśmiechnął się uprzejmie.

— Jednak w ciągu ostatniego roku poziom tego komiksu się obniżył — dodał Lars. Zwinął książeczkę w rulonik i wsadził do kieszeni.

Później, gdy z szumem przelatywali ponad dachami Fairfax w wojskowym skoczku będącym własnością rządu ZSRR, Lars rozwinął komiks i zaczął go przeglądać w mętłym świetle, które sączyło się z sufitu.

Oczywiście nigdy przedtem nie czytał tego śmiecia. Treść okazała się interesująca. Niebieski Głównogi Człowiek jak trzeba wysadzał budynki, nokautował oszustów, na początku zaś i końcu każdego odcinka przeobrażał się w bezbarwnego operatora komputerowego Jasona St. Jamesa. To ostatnie również było typowe z powodów ukrytych w mrokach historii komiksu, lecz miało coś wspólnego z dziewczyną Jasona St. Jamesa, Niną Whitecotton, która pisała do rubryki dla smakoszy w „Chronicle — Times”, homeogazety masowo sprzedawanej w całej Zachodniej Afryce.

Co ciekawsze, panna Whitecotton była Murzynką. Byli nimi zresztą wszyscy ludzie pracujący w wydawnictwach komiksowych, włączając w to samego Niebieskiego Głównogiego Człowieka, kiedy ten przybierał ludzką postać stając się Jasonem St. Jamesem. Miejscem akcji każdego odcinka był „duże miasto gdzieś w Ghanie”.

Komiks przeznaczony był dla czytelników z Afro — Azji. Jakimś trafem za sprawą ogólnoświatowego autonomicznego systemu dystrybucji, „Niebieski Głównogi Człowiek z Tytana” pojawił się tu, w Islandii.

W drugim odcinku Niebieski Głównogi Człowiek tracił swoje niezwykle siły, bo pozbawiała go ich obecność meteoru z zulałum, rzadkiego metalu pochodzącego „z układu Betelgezy”. Kompan Niebieskiego Głównogiego Człowieka, profesor fizyki w Leopoldville, Harry North w samą porę przywrócił mu owe siły, aby bohater mógł

unieszkodliwić potwory z „Agakangi, piątej planety Proximy”. Elektroniczne urządzenie, którym posłużył się North podejrzanie przypominało projekt Larsa oznaczony numerem 204.

Dziwne, pomyślał Lars czytając dalej.

W odcinku trzecim, stanowiącym ostatnią część książeczki, pojawiła się kolejna podejrzanie znajoma maszyna, choć Lars nie pamiętał dokładnie numeru odpowiadającego jej projektu. Maszynę przysposobił do akcji przebiegły pomagier zdążającego zawsze w samą porę Harry’ego Northa. Niebieski Głowonogi Człowiek znowu zatryumfował. Tym razem pokonał stwory z szóstej planety Oriomisa. Spełnił dobry uczynek, ponieważ owe stwory były odrażające. Artysta przeszedł samego siebie.

— Czy to interesujące? — spytał jeden z funkcjonariuszy KVB.

Interesujące o tyle, pomyślał Lars, że pisarz i/lub rysownik skorzystali z usług KACH-u, który wykradł kilka moich najbardziej interesujących pod względem technicznym pomysłów. Ciekawe, czy mógłbym wytoczyć im proces?

Chwila była jednak nieodpowiednia. Lars odłożył komiks.

Skoczek wylądował na jakimś dachu. Silnik przestał pracować. Otworzyły się drzwi i Lars wyszedł z pojazdu.

— To motel — wyjaśnił jeden z funkcjonariuszy KVB sztucznie bezbłędą angielszczyzną. — Panna Topczew zajmuje go w całości. Pozbyliśmy się wszystkich i porozstawialiśmy strażę. Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

— Naprawdę? Poważnie?

Człowiek z KVB zastanowił się, rozważając jego pytanie w myślach.

— W każdej chwili może pan skorzystać z naszej pomocy — rzekł wreszcie. — I rzecz jasna może pan dostać kanapki, kawę lub alkohol.

— A narkotyki?

Wszyscy ludzie z KVB spojrzeli na Larsa poważnym, sowim wzrokiem.

— Biorę narkotyki — wyjaśnił Lars. — Myślałem, że KACH wam o tym powiedział. Boże! Biorę je co godzinę!

— Jakie narkotyki?

W pytaniu tym czuło się podejrzliwość, a w każdym razie lekką nieufność.

— *Escalatum* — odparł Lars.

Zapanowała konsternacja.

— Ależ, panie Lars! *Escalatum* jest toksyczne dla mózgu! Nie przeżyłby pan sześciu miesięcy!

— Biorę również *conjorizine* — powiedział Lars. — To niweluje toksyczność *escalatum*. Mieszam oba ze sobą. Zgniatam je na proszek łyżeczką, rozpuszczam w wodzie i przyjmuję w formie zastrzyku...

— Ależ umarłby pan! Na skutek drgawek motoryczno-naczyniowych. W ciągu pół

godziny. Sowieccy policjanci sprawiali wrażenie przerażonych.

— Jedynym efektem ubocznym, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem — powiedział Lars — była wydzielina z nozdrzy tylnych.

Czwórka funkcjonariuszy KVB odbyła krótką naradę, po czym jeden z nich powiedział:

— Ściągniemy tutaj pańskiego lekarza z Zachodniego Bloku, doktora Todta. Będzie pan przyjmował narkotyki pod jego nadzorem. My nie możemy wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Czy mieszanka tych środków jest niezbędna do wprowadzenia pana w stan transu?

— Tak.

Mężczyźni znów się naradzili.

— Niech pan zejdzie na dół — rzekli wreszcie. — Tam czeka panna Topczew, która, o ile nam wiadomo nie jest uzależniona od narkotyków. Proszę z nią zostać do czasu, aż sprowadzimy doktora Todta i pańskie medykamenty.

Spode łba przyglądali się Larsowi.

— Powinien był pan o wszystkim nam powiedzieć albo przywieźć ze sobą narkotyki i doktora Todta! Władze Zachodniego Bloku o niczym nas nie poinformowały.

Byli autentycznie wściekli.

— Dobrze — powiedział Lars i ruszył rampą w dół.

Chwilę później w towarzystwie jednego z funkcjonariuszy KVB stanął przed drzwiami pokoju Lili Topczew.

— Boję się — powiedział na głos Lars.

Człowiek z KVB zapukał do drzwi.

— Czy boi się pan zmierzyć swój talent z talentem naszego medium? — spytał z wyraźną drwiną w głosie.

— Nie, nie o to chodzi — rzekł Lars.

Boję się, pomyślał, że Lila okaże się taka, jak powiedział Kaminsky: szerniała, skurczona, wysuszona, słowem skóra i kości. W końcu to, czym się zajmuje, wyniszcza organizm. Kto wie, czego wymaga od niej „klient”. Jak wiadomo, w tej stronie świata ludzie są bardziej surowi...

To wyjaśniałoby, dlaczego generał Nitz chciał, żeby połączenie sił obu projektantów broni miało miejsce na terenie podległym Wschodniemu Oku, nie zaś Zachodniemu Blokowi. Nitz uważa, że tutaj postępuje się z ludźmi bardziej zdecydowanie. Może myśli, że z tego powodu będę pracował efektywniej.

Innymi słowy, stwierdził ponuro Lars, przez te wszystkie lata nie dawałem z siebie wszystkiego. Jednak tutaj, pod rządami KVB, pod okiem SeRKeB-u, najwyższego organu rządzącego Związkiem Radzieckim, będzie inaczej.

Generał Nitz bardziej wierzy we Wschodnie Oko i jego umiejętność wyciskania

ostatnich soków ze swoich pracowników niż w swoją własną organizację państwową. To dziwne i zaskakujące, a jednak jest w tym chyba coś.

Ja także w to wierzę, uświadomił sobie Lars.

Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to prawda.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Lila Topczew.

Miała na sobie czarny dżersejowy sweter, spodnie i sandały; włosy związała z tyłu wstążką. Wyglądała nie więcej niż na siedemnaście, osiemnaście lat. Miała figurę nastolatki, która dopiero co wkroczyła w wiek dojrzewania. W palcach niezdarnie trzymała papierosa. Najwyraźniej chciała wyglądać na dorosłą, by zrobić wrażenie na Larsie i ludziach z KVB.

— Nazywam się Lars Powderdry — przedstawił się Lars zachrypłym głosem.

Lila z uśmiechem podała mu rękę. Jej dłoń była mała, gładka, zimna i krucha. Lars ujął ją z wielką ostrożnością i szacunkiem. Bał się, że jeśli za mocno ją ściśnie, może ją uszkodzić.

— Cześć — powiedziała panna Topczew.

Funkcjonariusze KVB siłą wepchnęli Larsa do pokoju.

Drzwi zamknęły się i ludzie z KVB zostali na korytarzu.

Lars był sam na sam z Lilą Topczew. Jego marzenie się ziściło.

— Napijesz się piwa? — spytała.

Zauważył, że dziewczyna ma wyjątkowo równe i drobne zęby. Pod tym względem przypominała raczej Niemkę, kobietę z rasy nordyckiej niż słowiańskiej.

— Nieźle mówisz po angielsku — powiedział. — Zastanawiałem się jak poradzą sobie z problemem bariery językowej. — Spodziewał się, że będzie im towarzyszył biegły i niekrepujący, lecz ciągle obecny tłumacz. — Gdzie nauczyłaś się angielskiego?

— W szkole.

— Naprawdę? Nigdy nie byłaś w Bloku Zachodnim?

— Nigdy nie opuszczałam Związku Sowieckiego — powiedziała Lila Topczew. — W zasadzie nie czuję się związana z większą częścią Wschodniego Oka, zwłaszcza z obszarami zamieszkałymi przez Chińczyków.

Giętkim krokiem ruszyła do kuchni dość luksusowego motelu dla kogów, by przynieść gościowi puszkę piwa. Nagle wykonała gwałtowny ruch, by zwrócić na siebie jego uwagę. Wskazała głową ścianę. Stanęła do niej tyłem i bezgłośnie wymówiła słowo: pluskwa.

Przez cały czas wszystkie ich poczynania rejestrował system audio — video. Jakże mogło być inaczej? Nadchodzi człowiek z siekierą, pomyślał Lars przypominając sobie starą i słynną książkę Orwella „1984”. Z tą różnicą, że my wiemy, iż nas inwigilują, a poza tym, przynajmniej teoretycznie, robią to nasi serdeczni przyjaciele. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Z tym że, jak wyznał Aksel Kaminsky, jeśli Lila i ja nie zdołamy wziąć tej



poprzeczki, nasi serdeczni przyjaciele nas zamordują.

Któż jednak może ich winić? Na to pytanie Orwell nie odpowiedział. Może to oni i mają rację, my zaś jesteśmy w błędzie.

Lila przyniosła piwo.

— Na zdrowie — powiedziała z uśmiechem.

Już cię kocham, pomyślał.

Czy za to nas zabiją? — zadał sobie pytanie. Jeśli tak, niech Bóg ma ich w opiece. Bo nie warto, by przetrwali za taką cenę — oni i ta ich wschodnio — zachodnia cywilizacja.

— Co to za sprawa z narkotykami? — spytała Lila. — Słyszałam jak rozmawiałeś z policją na korytarzu. To prawda, czy tylko chciałeś im utrudnić pracę?

— To prawda — odparł Lars.

— Nie dosłyszałam nazw narkotyków. Chociaż otworzyłam drzwi i podsłuchiwałam.

— Escalatum.

— Och, nie!

— *Conjorizine*. Mieszam je, rozgniataam na proszek...

— To słyszałam. A więc naprawdę je sobie wstrzykujesz. Myślałam, że mówiłeś tak tylko przez wzgląd na nich.

Spojrzała na niego szacunkiem i zarazem z rozbawieniem. Nie potępiła go ani nie doznała szoku. Nie była też zgorzonna, w odróżnieniu od prostodusznych ludzi z KVB. Lila była swoim człowiekiem. Lars niemal ją podziwiał.

— Tak więc nic nie mogę robić, dopóki nie przyleci mój lekarz — powiedział Lars. — Mogę jedynie sączyć piwo i czekać. — Usiadł na krześle o poręczach z kutego żelaza. — I patrzeć na ciebie.

— Mam narkotyki.

— Oni mówili co innego.

— To krętacze. — Po czym zwróciła się do monitora audio — video, który właśnie skierował się na Larsa. — To się odnosi do ciebie, Geszenko!

— Kto to?

— To major ekipy inwigilacji z wywiadu Armii Czerwonej, który będzie oglądał taśmę z nagraniem naszej aktualnej rozmowy. Prawda, majorze? — rzekła do ukrytego monitora.

— Bo widzisz — wyjaśniła Larsowi — ja jestem więźniem.

Lars rzucił jej uważne spojrzenie.

— Chcesz przez to powiedzieć, że popełniłaś jakąś zbrodnię zaklasyfikowaną w kodeksie karnym, miałaś proces i...

— Miałam proces i zostałam skazana. Wszystko w pseudo... nie wiem jak to na-

zwać. To jest mechanizm. Tak, mechanizm, to właściwe słowo. Na mocy tego mechanizmu nie ma dla mnie żadnego ratunku, mimo wszystkich praw politycznych i obywatelskich zagwarantowanych przez Konstytucję ZSRR. Nie mogę się odwołać do żadnego sądu. Żaden prawnik nie może mi pomóc. Ze mną nie jest tak jak z tobą. Wiem o tobie wszystko, Lars czy też panie Lars albo może panie Powderdry, czy jak tam chcesz, żeby się do ciebie zwracać. Wiem, że jesteś dobrze ustawiony w Bloku Zachodnim. Jakże przez te wszystkie lata zazdrościłam ci pozycji, wolności i niezależności!

— Myślisz, że mogę sobie nic z nich nie robić?

— Tak. Wiem, że tak. KACH mi o tym powiedział. Jakoś mi to przekazali mimo takich krętaczy jak Geszenko.

— KACH cię oszukał — powiedział Lars.

## 16.

Lila zamrugała oczami. Jej dłoń z wygasłym papierosem i puszką piwa zadrżała.

— Mają mnie w garści tak samo jak ciebie — powiedział Lars.

— Nie przyjechałeś do Fairfax na ochotnika?

— Pewnie! — zgodził się Lars. — Nawet namówiłem do tego przedsięwzięcia marszałka Paponowicza. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Nikt nie przykładał mi pistoletu do głowy. Ktoś jednak wyciągnął pistolet z szuflady, pokazał mi go i dał coś do zrozumienia.

— Ktoś z FBI?

Lila patrzyła na niego wielkimi oczami, jak małe dziecko, które słucha niesamowitej bajki.

— Nie, on zasadzie nie był z FBI. Był p r z y j a c i e l e m FBI; żyjemy w świecie, w którym wszyscy się ze wszystkimi przyjaźnią i współpracują. Ale to nieważne; nie musimy psuć sobie nastroju rozmawiając o takich sprawach. Chcę tylko, byś wiedziała, że w każdej chwili mogli mnie zgarnąć. I w swoim czasie nie omieszkali mnie o tym poinformować.

— A więc — rzekła w zamyśleniu Lila — pod tym względem twoja sytuacja nie aż tak bardzo różniła się od mojej. A mówiono, że jesteś primadonną.

— Bo jestem niewygodny. Jestem niezależny — odrzekł Lars. — Lecz mimo to mogą uzyskać ode mnie wszystko, czego chcą. Cóż więcej się liczy?

— Chyba nic — przytaknęła dziewczyna.

— Jakie bierzesz narkotyki?

— Formophane.

— To brzmi jak nazwa nowego typu jednokierunkowego lustra. — Lars nigdy nie słyszał o takim środku. — Albo jak nazwa plastikowego pudełka do mleka, które samo się otwiera i wlewa do płatków śniadaniowych, nie roniąc ani jednej kropli na obrus.

— *Formophane* jest rzadko spotykany — rzekła Lila między jednym a drugim łykiem piwa, które pociągała nieudolnie jak nastolatka. — Nie ma go u was na Zachodzie. Produkuje go firma we Wschodnich Niemczech, która przejęła majątek po jakimś

przednazistowskim kartelu farmaceutycznym. Tak naprawdę *formophane* produkuje się... — Zamilkła. Najwyraźniej zastanawiała się, czy mądrze z jej strony będzie dokończyć to, co chciała powiedzieć. — Produkują to specjalnie dla mnie — rzekła w końcu, a po chwili wygadała resztę. — Instytut Pawłowa w Nowej Moskwie przez sześć miesięcy analizował mój metabolizm mózgowy, aby sprawdzić, czy da się go poprawić. Wynaleźli ten oto związek chemiczny i dane dotyczące jego składu posłano do A. G. Chemie. Ci zaś produkują dla mnie co miesiąc sześćdziesiąt półgranowych tabletek.

— I jak to działa?

— Nie wiem — rzekła Lila z niepokojem w głosie.

Lars przeraził się. Bał się o Lilę. Z powodu tego, co jej zrobili i co jeszcze mogą zrobić.

— Nic nie zauważyłaś? — zapytał. — Żadnych skutków? Miewasz silniejsze transy? Może dłuższe? Mniej efektów następczych? Coś musiałaś przecież zauważyć. Lepsze projekty... na pewno dają ci to, żebyś dawała lepsze projekty.

— Albo żebym nie umarła — powiedziała Lila.

Larsa przeszedł dreszcz.

— Dlaczego miałabyś umrzeć? Wytłumacz mi. — Starał się zachować spokojny ton głosu. — Nawet jeśli wziąć pod uwagę quasi — epileptyczny charakter...

— Jestem ciężko chora — powiedziała Lila. — Psychicznie. Oni to nazywają „depresjami”. To jednak nie są depresje i oni o tym dobrze wiedzą. Dlatego tyle czasu spędziłam i zawsze będę spędzać w Instytucie Pawłowa. Trudno utrzymać mnie przy życiu, Lars. To proste. Dzień po dniu walczę o życie, a *formophane* pomaga. Więc go biorę. To dobrze, że mogę go brać; nie lubię tych „depresji”, cokolwiek to jest. Wiesz jak się wtedy czuję? — Przynęła się bliżej, chętna do zwierzeń. — A chcesz wiedzieć?

— Jasne.

— Kiedyś patrzyłam na moją rękę. Skurczyła się i stała się ręką trupa. Po chwili zbudowała i rozpadła się w proch. Potem to samo stało się z całym moim ciałem. Przestałam żyć. A potem... znowu ożyłam. Żyłam innym życiem, tym, które następuje po śmierci. Kiedy umrę... Powiedz coś.

Czekała, aż Lars coś powie.

— No cóż, czymś takim powinny zainteresować się instytucje religijne.

Tylko to przyszło mu na myśl w tej chwili.

— Lars, myślisz, że my oboje możemy zrobić to, czego oni chcą? Możemy ściągnąć skądś to, co nazywają „cudowną bronią”? No wiesz. Prawdziwą broń, choć wzdragam się na samą myśl o czymś takim.

— Jasne.

— Skąd?

— Z tego miejsca, które... odwiedzamy. Które odwiedza się po zażyciu psylocybi-

ny. A ta z kolei, jak wiesz, ma związek z nadnerczowym hormonem epinefryną. Zawsze jednak lubiłem sobie wyobrazać, że przenoszę się tam po zażyciu teo-nannactylu.

— Co to takiego?

— To słowo azteckie. Znaczy „ciało boga” — wyjaśnił. — Znasz to pod nazwą alkaloidu. Meskalina.

— Czy ty i ja odwiedzamy to samo miejsce?

— Pewnie tak.

— I powiedziałeś, że gdzie to jest? — Przechyliła na bok głowę. Czekwała na odpowiedź i uważnie go obserwowała. — Nie powiedziałeś. Nie wiesz! A ja wiem.

— To powiedz.

— Powiem, ale najpierw weź *formophane*.

Wstała i wyszła do drugiego pokoju. Wróciła z dwiema białymi tabletkami, które podała Larsowi.

Z nie znanych sobie powodów, z powodów, które w ogóle go nie interesowały, Lars posłusznie i bez protestów popił tabletki piwem. Natychmiast poczuł je w przełyku. Na moment przyłgnęły do gardła, a po chwili, gdy nie można już było ich wykrztusić, spłynęły niżej. Narkotyk stał się teraz jego częścią. Nie wiedział jak medykament zadziała na jego organizm. Połknął go w ciemno, bo zaufała Lili Topczew.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu dziewczyna powiedziała:

— Ktokolwiek zrobił coś takiego, ten przegrał.

Sprawiła wrażenie smutnej, lecz nie rozczarowanej. Zdawać by się mogło, że jego ufność rozbudziła w Lili jakiś głęboko zakorzeniony, wrodzony pesymizm. A może to było coś innego. Słowiański fatalizm?

Zachciało mu się śmiać; karykaturę wał Lilę. Tymczasem w rzeczywistości nic o niej nie wiedział, na tym etapie ich znajomości jeszcze nie zdążył jej rozszyfrować.

— Umrzesz — powiedziała Lila. — Czekałam na to od dawna. Boję się ciebie. — Uśmiechnęła się. — Mówili mi zawsze, że jeśli ich zawiodę, działające w Zachodnim Bloku służby specjalne KVB porwą ciebie i przywiozą do Bułganingradu, a ja wyląduję na „śmietniku historii”. W stalinowskim sensie.

— Ani trochę nie wierzę w to, co mówisz — powiedział Lars.

— Niemożliwe, byś przebył tę całą drogę tylko po to, bym cię zamordowała?

Skinał głowę.

— Masz rację — westchnęła po chwili Lila.

Lars odetchnął z ulgą.

— Ale to fakt, że się ciebie boję — ciągnęła Lila. — Wiecznie mnie tobą straszili, wiecznie mi wisiałeś nad głową. Dostawałam szału na samą myśl o „panu Larsie”. Mam nadzieję, że kiedyś w końcu umrzesz. Każdego to czeka. Jak dotąd wszyscy ludzie umierali w swoim czasie. Jednak od tego, co ci teraz dałam, nie umrzesz. To środek sty-

mulujący metabolizm mózgowy; przypomina serotoninę. Dałam ci go, bo strasznie jestem ciekawa, jak na ciebie zadziała. Wiesz, co chcę zrobić? Spróbować twoich narkotyków razem z moimi. My nie połączymy jedynie naszych zdolności. Połączymy też nasze środki stymulujące metabolizm i zobaczymy, co z tego wyniknie. Bo... — zawahała się, po dziecinnemu poważna i podekscytowana — Lars, nam musi się udać. Musi i tyle.

— Uda nam się — zapewnił ją Lars.

Kiedy tak siedział z puszką piwa w ręku — zauważył, że pije ciemne, duńskie piwo bardzo dobrego gatunku — poczuł, że narkotyk zaczyna działać.

Znienacka oblało go gorąco, jakby znalazł się w środku rozpalonego pieca. Z trudem dźwignął się na nogi i wyciągnął przed siebie ręce. Puszka upadła i potoczyła się po podłodze. Piwo wylało się na dywan; ciemny, spieniony płyn wyglądał jak krew uchodząca z zarżniętego zwierzęcia. Chociaż zapewniła mnie, że nic mi nie będzie, pomyślał Lars, czuję się tak, jakbym umierał. Boże! Do tego doprowadziło mnie posłuszeństwo.

Czemu jestem posłuszny? — zadał sobie pytanie. Śmierć może się maskować. Może poprosić o ciebie pod ukrytą postacią: najwyższej władzy lub idealnego bytu, którym człowiek powinien się radować. Chcemy być szczęśliwi; tylko o to prosimy. Tymczasem przychodzi śmierć. Nie o n i, ale o n a właśnie. Oni pragną wiele, ale nie są gotowi o to poprosić.

Choćbyś nawet dał im to nie proszony, postąpisz zbyt pochopnie. To im się nie spodoba. Tyrania działa według własnych zasad. Jeśli przedwcześnie wybiegniesz naprzód nikt tego nie oceni lepiej niż gdybyś się ociągał, grał na zwłokę, robił uniki, czy wymykał się w jeszcze inny sposób albo nawet, niech Bóg broni, stanął do walki.

— Co się stało?

Głos Lili zdawał się dobiegać z oddali.

— Twoja serotonina — wydusił Lars — zaczęła działać. Paskudnie. Alkohol, piwo. Może dlatego. Powiedz mi... — Dał dwa kroki naprzód. — Gdzie łazienka?

Przerażona Lila zaprowadziła go do łazienki. Lars ujrzał w jej twarzy prawdziwy strach.

— Nie martw się — powiedział. — Ja...

I wtedy stracił przytomność.

Świat zniknął. Lars był martwy w jasnym, strasznym świetle, którego żaden człowiek nigdy jeszcze nie poznał.

## 17.

Nad Larsem pochylał się jakiś mężczyzna o wyrazistych, niemal posągowych rysach twarzy. Miał na sobie elegancki mundur ozdobiony wieloma różnokolorowymi orderami.

— Ocknął się — powiedział mężczyzna.

Zbliżyły się dwie postacie w długich, białych fartuchach. Lars ujrzał niewiarygodnie drogi sprzęt do udzielania pomocy w nagłych wypadkach — potężne, sapiące maszyny z własnymi silnikami wyposażone w wężyki i podziałki. Powietrze pachniało ozonem i chemikaliami. Na stoliku leżały narzędzia chirurgiczne. Jedno z nich Lars rozpoznał: był to przyrząd używany do natychmiastowego rozszerzania tchawicy.

Jednak sowiecki personel medyczny nie musiał się nim posłużyć. Lars w samą porę oprzytomniał.

Zauważył ukryty w ścianie monitor, który nieustannie nagrywał całe zajście na taśmę audio — video w swoich własnych złowieszczych, nie znanych Larsowi celach. Monitor był świadkiem zapaści Larsa, dzięki niemu wezwano pomoc na tyle wcześnie, że udało się ocalić mu życie.

Samo dotarcie do łazienki nie mogło go ocalić.

— Major Geszenko? — spytał Lars szerokiego w barach, obwieszonego medalami i ubranego w mundur o sterzcącym kołnierzu oficera Armii Czerwonej.

— Tak, panie Lars.

Oficer był blady i uginały się po nim nogi. Ale widać było, że doznał ulgi.

— Pański nerw błędny. Coś stało się z rdzeniem przedłużonym, a zwłaszcza z przetykiem. Dokładnie nie wiem co. Ale śmierć była blisko. Brakowało tylko dwóch, trzech minut. Oczywiście w ostatniej chwili zamroziliby pana i zabrali stąd. Ale...

Wzruszył ramionami.

— Była blisko — zgodził się Lars. — Czułem ją.

Dopiero teraz zauważył Lilę Topczew. Stała skulona pod ścianą i nie odrywała od niego wzroku.

— Myślisz, że zrobiłam to naumyślnie? — zapytała dziewczyna.



Jej głos ledwo do niego docierał. Przez chwilę był pewien, że to tylko złudzenie, lecz zaraz potem uświadomił sobie, że naprawdę zadała mu takie pytanie. Lars znał prawdziwą odpowiedź.

Jednak przez wzgląd na dobro dziewczyny powiedział:

— To był nieszczęśliwy wypadek.

— Tak, wypadek — rzekła Lila słabym głosem.

— Sądzę, że wszyscy mamy tego świadomość — powiedział major Geszenko z cieniem udanego oburzenia w głosie. — To była reakcja alergiczna.

Wierzysz jej? — zastanawiał się Lars. Przy twoim fachu i doświadczeniu? Czy mówisz tak tylko ze względu na mnie? Powinienem myśleć, że to był tylko wypadek?

Nic z tego. Ty nie dałbyś się oszukać. Jesteś profesjonalistą. Nawet ja potrafię odróżnić wypadek od czegoś zupełnie innego. To było coś innego. Próbowwała mnie zabić, ale przestraszyła się, bo to oznaczałoby koniec również dla niej. Musiała to zrozumieć w chwili, gdy narkotyk zaczął działać i gdy była świadkiem gwałtownej reakcji organizmu. Ona jeszcze nie jest osobą dorosłą. Nie potrafi przewidywać.

Ale dlaczego chciała mnie zabić? — zadał sobie pytanie. Bała się, że zająłbym jej miejsce? Czy też chodzi o lęk przed obcymi?

To byłoby dużo bardziej racjonalne.

— Broń — powiedział zwracając się do Lili.

— Tak. — Poważnie skinęła głową.

— Myślałaś, że stworzymy broń, jakiej chcą.

— To było ponad moje siły — rzekła Lila.

Lars zrozumiał, co miała na myśli.

— Dawne czasy, sprzed Protokołów — powiedział. — Gdy jeszcze nie było żadnych układów, żadnego robienia ludzi w konia. Gdy produkowano prawdziwą broń.

— Wszystko wracało — szepnęła Lila. — Poczułam to, gdy tylko na ciebie spojrzalam. Zrobilibyśmy to razem i nikt już nie mógłby tego zmienić. My w naszej rozszerzonej świadomości, gdzie oni nie potrafią się dostać nawet dzięki mieszance meskaliny, psylocybiny, *mexicana* — *Stropharii* i LSD. Nie mogą pójść za nami. I dobrze o tym wiedzą.

— Trzy satelity! — rozzłoszczony major Geszenko niemal krzyknął. — Trzy! Słyszysz, co mówię? Wkrótce pojawi się czwarty i piąty, i będzie z nami koniec!

— W porządku — powiedziała spokojnie Lila. — Słyszę. Niewątpliwie ma pan rację.

Była zgaszona.

— Niewątpliwie — rzekł major gorzkim, sardonicznym tonem.

Uważnie przyglądał się Larsowi czekając na jego reakcję.

— Z mojej strony nie musi się pan niczego obawiać — powiedział z trudem Lars.

— Ona jest zaburzona emocjonalnie. Doskonale rozumiem, dlaczego zawsze trzeba ją było trzymać pod nadzorem. Chcę, żeby od tej chwili doktor Todt...

— Przyleci tu za kilka minut — zapewnił go major Geszenko. — Nie będzie pana odstępował, więc nie będzie pan narażony z jej strony na kolejną psychotyczną próbę obrony przed wymagowanym atakiem. Jeśli zechce pan, jeden z naszych oficerów medycznych dodatkowo może...

— Todt wystarczy — powiedział Lars wstając z łóżka.

— Miejmy nadzieję, że pan się nie myli — rzekł surowo major Geszenko w taki sposób, jakby zrzącał się odpowiedzialności. — W każdym razie dostosujemy się do pańskich decyzji w tej sprawie. — Potem zwrócił się do Lili: — Mógłbym cię pozwać przed sąd, chyba o tym wiesz.

Panna Topczew milczała.

— Chcę spróbować jeszcze raz — powiedział Lars. — Nadal będę z nią pracował. W końcu wcale jeszcze nie zaczęliśmy. Powinniśmy natychmiast zacząć. Sytuacja tego wymaga.

Lila Topczew drżącymi rękami zapaliła resztkę papierosa. Nie zwracając uwagi na Larsa wbiła wzrok w trzymaną w palcach zapałkę i wydychała kłęby szarego dymu.

Lars uświadomił sobie, że długo, ale to bardzo długo nie zaufa Lili Topczew ani nawet jej nie zrozumie.

— Czy może pan kazać jej zgasić papierosa? — zwrócił się do majora Geszenki. — Z trudem oddycham.

Dwóch ubranych w długie fartuchy ludzi z KVB natychmiast ruszyło w stronę Lili.

Dziewczyna wyzywająco rzuciła niedopałek na podłogę. Wszyscy w milczeniu patrzyli na pannę Topczew.

— Ona tego za nic nie podniesie — powiedział Lars. — Możecie czekać całą wieczność.

Jeden z funkcjonariuszy KVB pochylił się, podniósł papierosa i zdusił go w pobliskiej popielniczce.

— Mimo to będę z tobą pracował — rzekł Lars. — Czy mnie słuchasz?

Przyglądał jej się uważnie, zastanawiając się, co Lila czuje i myśli, lecz nie potrafił odgadnąć. Nawet obecni tutaj profesjonaliści nie domyślili się, na co się zanosi. Wywiodła nas w pole, pomyślał Lars. Lecz mimo to będziemy współpracować. A nasze życie będzie zależało od jej dziecinnych zachcianek.

Jezu, pomyślał. Do czego to doszło!

Major Geszenko pomógł mu wstać. Na to wszyscy inni bez słowa także rzucili się na pomoc przeszkadzając sobie nawzajem, zupełnie jak na filmach. Kiedy indziej Larsa rozbawiłby taki widok. Major odprowadził Larsa na stronę, by porozmawiać z nim bez świadków.

— Wie pan dlaczego udało się tak szybko panu pomóc? — powiedział Geszenko.  
— Zwróciła na siebie uwagę odbiorników audio — video.  
— Teraz pan wie, dlaczego je zainstalowano.  
— Nie obchodzi mnie dlaczego je zainstalowaliście.  
— Ona będzie pracowała — zapewnił go Geszenko. — Znam ją. W każdym razie zrobiliśmy, co w naszej mocy, by nauczyć się przewidywać jej zachowanie.  
— Mimo to wszystkiego nie przewidzieliście.  
— Nie przewidzieliśmy — odparł Geszenko — że środek działający dobroczynnie na jej metabolizm mózgowy będzie toksyczny dla pana. Jesteśmy zaskoczeni, że ona to przewidziała, o ile nie strzelała w ciemno.  
— Nie sądzę, by strzelała w ciemno.  
— Czy wy, media, jesteście po części jasnowidzami?  
— Możliwe — odparł Lars. — Czy ona jest chora? W sensie klinicznym?  
— To znaczy psychologicznym? Nie. Jest lekkomyślna i pełna nienawiści; nie znosi nas i odmawia współpracy. Ale chora nie jest.  
— Może pozwólcie jej odejść — powiedział Lars.  
— Odejść? Dokąd?  
— Dokądkolwiek. Puśćcie ją wolno. Zostawcie ją samą. Nie rozumie pan, prawda? To było oczywiste; tracił czas. Mimo to próbował. Człowiek, z którym rozmawiał, nie był idiotą ani fanatykiem. Geszenko był jedynie silnie osadzony w swoim środowisku.  
— Czy wie pan, co to jest fuga? — spytała Lars.  
— Tak. Ucieczka.  
— Niech pan jej pozwoli uciec, a kiedy oddali się tak daleko, że... — zawahał się.  
— Że co, panie Lars? — spytał drwiąco Geszenko.  
Geszenko był mądry. Nie ograniczał się do swego pokolenia i sowieckiego świata.  
— Chcę jak najszybciej razem z nią przystąpić do pracy — powiedział Lars stanowczo. — Muszę to zrobić. Mimo wszystko. Dłuższa zwłoka podsycy jej chęć zerwania współpracy, którą zapoczątkowaliśmy. — Spojrzał na wchodzącego doktora Toda.  
— Proszę więc zostawić mnie samego z lekarzem.  
— Chciałbym przebadać pana MMPI — powiedział doktor Todt.  
Lars położył dłoń na ramieniu doktora.  
— Ona i ja musimy pracować. Przebada mnie pan innym razem. Gdy wrócę do Nowego Yorku.  
— *De gustibus* — rzekł z rezygnacją wysoki, ponury, wąskonosy doktor Todt — *non disputandum est*. Myślę, że jest pan chory psychicznie. Nie dali nam do analizy składu tej trucizny. Nie wiadomo jak to się na panu odbiło.  
— Nie zabiło mnie i musimy się tym zadowolić. W każdym razie podczas transów niech ma pan oczy i uszy otwarte. A jeśli chce pan podłączyć do mnie jakieś przyrządy miernicze...

— Och tak. Przez cały czas będę robił panu EEG i EKG. Ale tylko panu. Jej nie. Za nią oni są odpowiedzialni. Nie jest moją pacjentką — rzekł doktor zjadliwie. — Wie pan, co myślę?

— Że powinienem wrócić do domu.

— FBI może pana wydostać...

— Czy przywiózł pan *escalatium* i *conjorizine*?

— Tak, ale Bogu dzięki, nie zamierza ich pan wstrzykiwać. To pańska pierwsza rozsądna decyzja.

Todt podał Larsowi dwie małe wypchane koperty.

— Nie mam odwagi. Mogłyby pogłębić działanie trucizny, którą mi podała.

Lars sparzył się i będzie teraz ostrożny. Upłynie wiele czasu zanim spróbuje nawet któregoś z narkotyków o znanym sobie działaniu. W każdym razie tak mu się w y d a j e.

Stanął naprzeciw Lili i spojrzał jej w oczy. Emanował z niej spokój i pewność siebie.

— No cóż — zaczął. — W końcu mogłaś mi dać cztery tabletki zamiast dwóch. Mogło być znacznie gorzej.

— Cholera — rzekła tragicznym tonem. — Poddaję się. Nie można uniknąć tego idiotycznego złączenia naszych mózgów, prawda? Muszę wyzbyć się resztki indywidualności, którą mi zostawili. Czy nie byłbyś zaskoczony, Lars, gdyby się okazało, że to ja umieściłam te satelity na orbicie? Za pomocą nie znanych jeszcze nikomu zdolności parapsychologicznych? — Uśmiechnęła się radośnie. Ewentualność taka wyraźnie ją bawiła, chociaż była czystą fantazją. — Nastraszyłam cię?

— Nie.

— Ale założę się, że kogoś mogłabym nastraszyć taką opowieścią. Do licha, gdybym tak miała dostęp do środków masowego przekazu, tak jak ty. A może mógłbyś powiedzieć to w moim imieniu, zacytować moje słowa?

— Zaczynamy — powiedział Lars.

— Jeśli będziesz ze mną pracować — rzekła cicho Lila — przysięgam, że coś ci się stanie. Nie rób tego. Proszę.

— Teraz będzie ze mną doktor Todt — powiedział Lars.

— Doktor Śmierć.

— Słucham? — spytał zaskoczony Lars.

— To prawda — odezwał się zza jego pleców doktor Todt. — To właśnie po niemiecku znaczy moje nazwisko. Ona ma zupełną rację.

— Widzę ją — powiedziała śpiewnie Lila, jakby do samej siebie. — Widzę przed nami śmierć. Jeśli zaczniemy.

Doktor Todt podał Larsowi kubek wody.

— To do lekarstw.

Zgodnie z rytuałem Lars połknął jedną tabletkę *escalatium* i jedną *conjorizme*. Połknął je zamiast wstrzyknąć. Metoda była inna, ale Lars miał nadzieję, że skutki okażą się takie same.

Doktor Todt przyglądał mu się badawczo.

— Jeśli formophane, który dla niej jest niezbędny, jest dla pana toksyczny; działa tłumiące na pański układ współczulny, może pan zadać sobie następujące pytanie: Jak podłoże moich zdolności parapsychologicznych różni się od podłoża jej zdolności? Ponieważ różnica w reakcjach na *formorphane* stanowi tego najlepszy dowód. W zasadzie jest to dowód rozstrzygający.

— Myśli pan, że ona i ja nie możemy razem pracować?

— Być może — odparł cicho doktor Todt.

— Myślę, że już wkrótce się o tym przekonamy — powiedział Lars.

Lila Topczew odeszła od ściany i zbliżywszy się do Larsa, rzekła:

— Tak. Już wkrótce.

Jej oczy błyszczały.

## 18.

Kiedy Surley G. Febbs dotarł do Festung Waszyngtonu, ku swemu zdziwieniu przekonał się, że mimo doskonałego i pełnego zestawu materiałów identyfikacyjnych nie może wejść do środka.

Ze względu na obecność obcych satelitów na niebie podjęto nowe środki ostrożności, wprowadzono nowe formalności i procedury. Ci, którzy już byli w środku, pozostali tam. Jednak Surley G. Febbs był na zewnątrz.

I tam pozostał.

Siedząc w podłym nastroju na ławce w parku miejskim i ponuro przyglądając się grupce bawiących się dzieci, Febbs zadał sobie następujące pytanie: Czy właśnie po tu przyjechałem? To znaczy przyleciałem? Najpierw cię powiadamiają, że jesteś kommodatorem, a gdy się zjawisz, ignorują cię.

To przechodzi wszelkie pojęcie.

A satelity, to tylko wymówka, przyszło mu na myśl. Sukinsyny chcą zwyczajnie zachować monopol na władzę. Każdy, kto choć trochę zbadał tę sprawę, kto tak jak ja studiował zasady rządzące ludzkim umysłem i społeczeństwem, może to od razu zauważyć.

Potrzebuję prawnika, zdecydował. Nieprzeciętnie zdolnego prawnika, którego mógłbym wykorzystać we właściwym czasie.

Z tym że nie miał ochoty tak od razu wydawać pieniędzy.

Może więc należało udać się do homeogazet? Jednak ich stronice były pełne sensacyjnych przerażających wieści o satelitach. Żadnego szarego obywatela nic poza satelitami nie obchodziło, żadne wartości, żadne krzywdy wyrządzone innym obywatelom. Jak zwykle przeciętny ciemniaczek zupełnie był omamiony głupią gadaniną mass mediów. Ale nie Surley G. Febbs. Mimo tego nie mógł się dostać do podziemnego kremla Festung Waszyngtonu.

Nagle Febbs zauważył starego człowieka ubranego w coś, co przypominało połatany i wyblakły wojskowy mundur. Staruszek powoli i chwiejnie podszedł do ławki, na której siedział Febbs, chwilę wahał się, po czym siadł na niej aż trzasnęło mu w stawach.

— Dobry — powiedział skrzekliwie.

Westchnął, zakasłał i otarł grzbietem dłoni wilgotne, pokryte wątrobowymi plamami wargi.

— Mmmmmmmmm — mruknął Febbs.

Nie miał ochoty na rozmowę, zwłaszcza z takim strachem na wróble. Powinien być w domu dla weteranów, pomyślał, razem z innymi żołdakami, zgrzybiałymi istotami, które powinny były umrzeć już wiele lat temu.

— Proszę tylko spojrzeć na te dzieci — powiedział weteran wojenny i Febbs mimowolnie spojrział. — Ele mele dutki gospodarz malutki. — Żołdak zachichotał. Febbs jęknął. — Ta wyliczanka była już przed pana urodzeniem. One się nie zmieniają. Najlepszą grą, jaką kiedykolwiek wymyślono, jest monopol. Grał pan w to kiedyś?

— Mmmmmmmmm — odparł Febbs.

— Mam planszę do gry w monopol — powiedział weteran. — Nie przy sobie, ale wiem, gdzie można ją znaleźć. W klubie. — Znowu uniósł w górę palec, który przypominał suche, ogołocone z liści drzewo. — Chce pan zagrać?

— Nie — powiedział Febbs jasno i wyraźnie.

— Dlaczego? To gra dla dorosłych. Ja w nią gram na okrągło, czasem osiem godzin dziennie. Na koniec zawsze kupuję drogą posiadłość, na przykład Park...

— Jestem konkomodatorem — powiedział Febbs.

— Kim?

— Wysokim urzędnikiem Zachodniego Bloku.

— Jest pan wojskowym?

— Raczej nie — odparł Febbs. Wojskowi! — pomyślał. Ci kretyni!

— Zachodnim Blokiem — rzekł weteran — rządzą wojskowi.

— Zachodni Blok — powiedział Febbs — to złożony ekonomiczny i polityczny organizm, za którego efektywne działanie odpowiada heterogeniczna Rada złożona z...

— Teraz grają w snuma — przerwał mu weteran.

— W co?

— W snuma. Pamiętam tę grę. Wie pan kim byłem w czasie Wielkiej Wojny?

— No dobrze — powiedział Febbs i postanowił, że czas przenieść się w inne miejsce.

W złym nastroju, po tym jak odmówiono mu prawa do zasiadania w Radzie NZ-Z Narbez-u, nie był w stanie wysłuchiwać rozwlekłych wynurzeń starego, zgrzybiałego, obdartego żołdaka, jednego ze „zużytych”, jak ich niegdyś nazywano.

— Byłem szefem obsługi technicznej G. Z. C., ale nosiłem mundur. Znajdowaliśmy się na samej linii frontu. Widział pan kiedyś G. Z. C. w akcji? To była najlepsza broń taktyczna, jaką kiedykolwiek wynaleziono, ale jej układ zasilania wiecznie sprawiał kłopoty. Wystarczyła jedna zmiana napięcia i cała wieżyczka wybuchała. Pewnie pan pamięta.



Albo może to było przed pana urodzeniem. W każdym razie musieliśmy uważać, żeby mechanizm zwrotny nie...

— Dobra, dobra — przerwał mu Febbs pieniąc się ze złości. Wstał i zaczął oddalać się od ławki.

— Dostałem stożkiem rozpryskowym z systemu zastawek szablasy — zawołał za nim weteran.

Mam gdzieś Wielką Wojnę, rzekł sobie w duchu Febbs. To był zaledwie drobny bunt w jakiejś kolonii. Jakaś burda, która skończyła się w przeciągu jednego dnia. I to „G.Z.C.”! Wszystkim wiadomo, że to była przestarzała kupa żelastwa, do tego pewnie produkowano je w seriach po sto. Powinni wprowadzić nakaz usuwania operatorów razem z przestarzałą bronią. To nie do pomyślenia, żeby taki stary przyk marnował czas naprawdę wartościowych ludzi.

Skoro już zmuszono go do opuszczenia parku, Febbs postanowił ponowić próbę dostania się do kremla.

Po chwili podszedł do strażnika:

— To jest niezgodne z konstytucją Zachodniego Bloku! — powiedział. — Posiedzenie Rady bez mojej obecności jest bezprawiem. Żadna decyzja podjęta bez mojego głosu nie będzie miała mocy prawnej. Powiedz to swojemu przełożonemu!

Strażnik z kamienną twarzą patrzył przed siebie.

Wtem na niebie pojawił się ogromny, czarny rządowy skoczek. Przymierzał się do lądowania na betonowym lotnisku za wartownią. Strażnik natychmiast wyciągnął wideofoniczny nadajnik i zaczął komenderować.

— Kto to? — zapytał Febbs, którego zżerała ciekawość.

Skoczek wylądował. Wysiadł z niego generał George Nitz we własnej osobie.

— Generale! — krzyknął Febbs. Jego głos przeniknął barierę ochronną, przy której pełnił wartę strażnik i dotarł do wysiadającego ze skoczka mężczyzny w mundurze. — Jestem równy panu rangą! Mam dokumenty świadczące o tym, że jestem legalnym członkiem Rady, konkomodatorem. Żądam, by pan na mocy swego autorytetu pozwolił mi wejść do środka, w przeciwnym razie wytoczę panu proces o spowodowanie krzywd moralnych! Jeszcze nie rozmawiałem z prawnikiem, ale zrobię to, generale!

Tymczasem generał Nitz nie zwracając na niego uwagi zniknął w budynku, który stanowił maleńką część Festung mieszczącą się na powierzchni ziemi.

Febbs poczuł na nogach zimny podmuch wiatru. Pośród zupełnej ciszy słyhać było jedynie głos strażnika, który udzielał komuś instrukcji przez wideotelefon.

— Psiakrew — zaklął zrozpaczony Febbs.

Przy barierce wylądował mały cywilny skoczek. Wysiadła z niego kobieta w średnim wieku ubrana w staromodny, brudnoszary sukienki płaszcz. Podeszła do strażnika i spytała grzecznie, lecz z pewną stanowczością w głosie:

— Młody człowieku, jak mogę dostać się Rady NZ-Z Narbez-u? Nazywam się Martha Raines i jestem nowo wybraną konkomodatorką.

Zaczęła przetrząsać torebkę, by wyjąć dokumenty potwierdzające jej słowa.

Strażnik opuścił wideofon i rzekł sucho:

— Nie mogę wpuścić nikogo z przepustką klasy AA i wyższą, proszę pani. Od godziny szóstej rano strefy czasowej jeden pięćdziesiąt obowiązuje rozporządzenie specjalne wprowadzone ze względów bezpieczeństwa.

Zaraz potem wrócił do wideofonu.

Febbs zbliżył się do kobiety.

— Proszę pani, znalazłem się w tak samo niezręcznym położeniu — poinformował ją uprzejmie. — Pozbawiono nas przysługujących nam prawnie prerogatyw i poważnie zastanawiam się nad możliwością wytoczenia procesu odpowiedzialnym za to osobom.

— To przez te satelity? — spytała nieśmiało Martha Raines. Jednak jej podejrzliwość była niemal równa podejrzliwości Surleya Febbsa. — Na pewno. Wszyscy są nimi zajęci i nikt się o nas nie troszczy. Przyleciałam aż z Portland w Oregonie i jeśli o mnie chodzi miarka się przebrała. Dobrowolnie scedowałam mój sklep z pocztówkami na bratową po to, by móc wypełnić swój patriotyczny obowiązek. No i proszę! Oni nas po prostu nie wpuszczają, widzę to jak na dłoni. — Była chyba bardziej zaskoczona niż wściekła. — To już moje piąte podejście — wyjaśniła Febbsowi. — Próbowałam dostać się wejściami C i D, a potem E i nawet F, a teraz tędy. Za każdym razem mówią to samo. Na pewno dostali taki rozkaz.

Z powagą kiwnęła głową. Było to nad wyraz jasne, jak mało co w Zachodnim Bloku.

— Wejdziemy do środka — powiedział Febbs.

— Ale jeśli przy każdym wejściu...

— Znajdziemy pozostałych czterech nowych konkomodatorów — postanowił Febbs. — Będziemy działać jako grupa. Nie odważą się spławić nas wszystkich. Tylko każdego z osobna potrafili zignorować. Doprawdy nie sądzę, by odmówili całej naszej szóstce, ponieważ wtedy musieliby przyznać, że zebrania Rady są jawnie nielegalne. Założę się, że gdybyśmy wszyscy sześcioro poszli do któregoś z autonomicznych reporterów telewizyjnych, dajmy na to Radosnego Włóczęgi, i powiedzieli mu o wszystkim, przerwaliby gadki o satelitach i znaleźliby czas na zadośćuczynienie sprawiedliwości.

Febbs widział kilku autonomicznych reporterów od czasu, gdy pojawił się przed głównym wejściem. Wszystkie agencje informacyjne działały na pełnych obrotach, podając wiadomości dotyczące satelitów.

Pozostało teraz tylko odnaleźć pozostałych czterech konkomodatorów. Tymczasem zaczął ładować kolejny cywilny skoczek. Siedział w nim nerwowy młodzieniec sprawia-

jący wrażenie sfrustrowanego. Febbs z łatwością odgadł, że to następny nowo wybrany konkomodator.

Kiedy zaś dostaniemy się do środka, zdecydował twardo Febbs, będą cienko śpiewać! Pokażemy temu idiocie generałowi George'owi Nitzowi, gdzie raki zimują.

Zdażył już znienawidzić generała Nitz... za to, że go zignorował. Nitz nie wiedział, że niedługo sprawy przybiorą inny obrót. Już wkrótce będzie musiał słuchać; będzie tak jak w dawnych czasach, kiedy to senator Joe McCarthy, wielki Amerykanin minionego wieku, zmusił idiotów do posłuchu. Joe McCarthy zrugął ich w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, a teraz Surley Febbs i pięciu innych najbardziej typowych obywateli, uzbrojonych w absolutne, łatwe do odczytania papiery identyfikacyjne, przyznające im wysoki status reprezentantów dwóch bilionów ludzi, mają zrobić to samo!

Kiedy nerwowy młodzieniec wynurzył się ze skoczka, Febbs bez wahania ruszył w jego stronę.

— Nazywam się Surley G. Febbs — rzekł poważnie. — A ta pani to Martha Raines. Jesteśmy nowo wybranymi konkomodatorami. Czy pan też, sir?

— T-tak — odrzekł młody człowiek przełykając ślinę. — Próbowałem dostać się do środka wejściem E, a potem...

— Nie szkodzi — powiedział Febbs w nagłym przypływie pewności siebie.

Zauważył autonomicznego reportera, który szedł w jego stronę.

Pełen słusznego gniewu wyszedł mu na spotkanie, a pozostali konkomodatorzy posłusznie ruszyli za nim. Byli zadowoleni, że będzie rozmawiał w ich imieniu.

Znaleźli przywódcę.

Febbs zaś poczuł, że zaszła w nim daleko posunięta zmiana. Przestał być człowiekiem. Stał się siłą duchową.

To było wspaniałe uczucie.

## 19.

Lars niewiele mógł wywnioskować obserwując siedzącą naprzeciwko Lile, podczas gdy doktor Todt kręcił się wokół i coraz to spoglądał na wydruki EEG i EKG, które wypływały podłączone do jego pacjenta maszyny.

Mimo to pomyślał: Ta dziewczyna dotrzyma swojej obietnicy. Cała sprawa źle się skończy. Czuję to, choć moja rola jest prawie żadna. Zachodni Blok ma już trzy osoby na moje miejsce. Na Wschodzie bez wątpienia także żyje wiele mediów.

Jednak wrogiem Larsa, jego przeciwnikiem, nie było Wschodnie Oko ani KVB; władze sowieckie udowodniły już, że ze swej strony gorąco pragną z nim współpracować. Uratowali mu życie. Jego nemezis znajdowała się naprzeciw niego w postaci osiemnastolatki z włosami związanymi z tyłu wstążką, ubranej w czarny, dżersejowy sweter, sandały i obcisłe spodnie. Dziewczyna ta powodowana strachem i nienawiścią uczyniła już na wstępie pierwszy ruch skierowany przeciwko Larsowi.

A tymczasem, pomyślał, jesteś tak cholernie atrakcyjna i tak niewiarygodnie pociągająca seksualnie.

Ciekawe, zastanawiał się, jaka jesteś bez tego swetra, bez spodni i boso, nawet bez wstążki? Czy istnieje jakaś możliwość, byśmy spotkali się w takich warunkach? Czy też nie dopuściłby do tego podsłuch i podgląd? Jeśli chodzi o mnie, nie przejąłbym się, gdyby na taśmy gapili się choćby i wszyscy kadeci Armii Czerwonej. Ale tobie by się to nie spodobało. Zaczęłabyś jeszcze bardziej nienawidzić, nie tylko ich, ale także mnie.

Leki zaczęły działać. Wkrótce Lars zerwie kontakt ze światem i nawiąże go dopiero wtedy, gdy ujrzy nad sobą przywracającego go do życia doktora Todta. Wtedy będzie szkic albo go nie będzie. Z neurologicznego punktu widzenia tworzenie szkicu jest czynnością automatyczną, która albo się pojawia, albo nie.

— Masz kochanka? — zwrócił się do Lili.

Dziewczyna złowrogo ściągnęła brwi.

— A co ci do tego?

— To ważne.

— Lars, pańskie EEG wskazuje na to, że... — zaczął doktor Todt.

— Wiem — odparł Lars z trudem artykułując zdanie. Jego usta zeszywniały. — Lila — powiedział — mam kochankę. Prowadzi moje biuro w Paryżu. Wiesz co?

— Co? — spytała Lila przyglądając mu się spode łba i podejrzliwie.

— Dla ciebie rzuciłbym Maren.

Twarz Lila rozpromieniła się. W pokoju rozległ się zadowolony śmiech dziewczyny.

— To cudownie! Mówisz serio?

Zdołał jedynie skinąć głową; nie był już w stanie mówić. Jednak Lila zauważyła jego skinienie, a jej rozpromienioną twarz otoczyła świetlista aureola jak głowy świętych na obrazach.

Z umieszczonego w ścianie głośnika dał się słyszeć rzeczowy głos:

— Panno Topczew, na czas transu musi pani zsynchronizować swój rytm alfa z rytmem pana Larsa. Czy mam przysłać lekarza?

— Nie — zaprotestowała szybko Lila. Aureola wokół jej głowy znikła. — Nie chcę nikogo z Instytutu Pawłowa! Poradzę sobie.

Zsunęła się z krzesła, by uklęknąć obok Larsa. Oparła swoją głowę o jego i w wyniku kontaktu ich ciał część jej świetlistości przeszła na Larsa; odczuł ją jako przypływ ciepła.

— Jeszcze tylko dwadzieścia pięć minut i pan Lars będzie w transie — rzekł nerwowo doktor Todt. — Czy da pani radę? Czy wzięła pani środek stymulujący metabolizm mózgowy?

— Tak, wzięłam — odparła z irytacją w głosie. — Nie może pan wyjść i zostawić nas samych? Chyba nie — westchnęła. — Lars — powiedziała. — Panie Powderdry. Nie bałeś się, gdy uświadomiłeś sobie, że umierasz. Wiedziałeś, że umierasz; wyczytałam w twojej twarzy. Biedny Lars. — Niezdarnie poczochnęła jego włosy. — Wiesz co? Coś ci powiem. Zatrzymaj swoją kochankę w Paryżu, bo ona prawdopodobnie ciebie kocha, a ja nie. Zobaczymy, jaką broń uda nam się razem spłodzić. To będzie nasze dziecko.

— On nie może odpowiedzieć — rzekł doktor Todt — ale wszystko słyszy.

— Jakie dziecko może spłodzić dwoje obcych ludzi? — powiedziała Lila. — Czy dlatego, że chciałam cię zabić, zostaliśmy przyjaciółmi? Dobrymi przyjaciółmi? Od serca? Tak się mówi? Przyjaciółmi od serca? To mi się podoba.

Przycisnęła głowę Larsa do łaskoczącej czarnej wełny swojego swetra.

Lars wszystko czuł. Czarne, miękkie łaskotanie; podnoszenie się i opadanie piersi Lili, gdy oddychała. Jesteśmy oddzieleni, pomyślał, włóknem organicznym, warstwą syntetycznej bielizny, a za tym pewnie leży jeszcze jedna warstwa, tak że ostatecznie trzy warstwy dzielą mnie od tego, co jest w środku. Mimo to czuję się tak, jakby moje usta dotykały jedynie cienkiej bibułki.

Czy zawsze tak będzie?

— Być może — powiedziała Lila — umrzesz w tej pozycji, Lars. Jako moje dziec-

ko. Ty nim będziesz zamiast szkicu. Nie naszym wspólnym dzieckiem, tylko moim. — Zwróciła się do doktora Todta: — Ja też wchodzę w trans. Niech pan się nie denerwuje. On i ja pójdziemy razem do bezczasowego wymiaru, do którego pan nie może za nami podążyć. Co tam będziemy robić? Może pan wie?

Zaśmiała się. Znowu zmierzwiła włosy Larsa, tym razem delikatniej.

— To tylko Bóg jeden wie — powiedział Todt.

Lars usłyszał jego głos z bardzo daleka.

Potem stracił przytomność. Znikła miękka, czarna łaskotliwość. Wrażenie, które zdominowało jego jaźń.

Lars próbował namacać ją rękami, wczepić się w nią pazurami jak zwierzę; jednak zamiast na smukłej kibici panny Topczew jego palce zaciskały się na piórze kulkowym, co było groteskowe i niosło wielkie rozczarowanie.

Na podłodze leżał nabazgrany szkic. Lars odzyskał przytomność. To było niewiarygodne. Lars poczuł strach i to uczucie nadało wszystkiemu realności.

— Interesujące, Lars — powiedział doktor Todt zajęty oglądaniem szkicu. — A tak przy okazji: minęła godzina. Wrócił pan z prostym modelem... — zachichotał (chichoczący doktor Todt, nie do pomyślenia!) — silnika parowego.

Oszołomiony Lars usiadł i wziął do ręki szkic. Własnym oczom nie wierząc przekonał się, że doktor Todt nie żartował. Na szkicu widniał model prostego, starodawnego silnika parowego. Lars nie był nawet w stanie wybuchnąć śmiechem.

Ale na tym nie koniec.

Lila Topczew leżała zwinięta w kłębek przyjąwszy bardzo nieanatomiczną pozycję — jak skończony, lecz z nieznanых powodów porzucony android, który spadł z dużej wysokości. Zaciskała w ręku zwinięty w rulonik arkusz papieru, na którym znajdował się drugi szkic. Mimo że Lars do końca jeszcze nie oprzytomniał, natychmiast zorientował się, że nie przedstawia on żadnej archaicznej maszyny. On, Lars, poniósł porażkę, ale Lila nie.

Wyjął szkic z jej sztywnych palców. Dziewczyna nadal była oszołomiona.

— Boże — powiedziała wyraźnie. — Ale mnie głowa boli! — Nie poruszyła się i nawet nie otworzyła oczu. — I jakie efekty? Są jakieś? Czy nie? Coś nadaje się do zlemieszowania? — Czekwała z mocno zaciśniętymi powiekami. — Proszę, niech ktoś mi odpowie.

Lars przekonał się, że szkic nie jest szkicem Lili. Był także jego, przynajmniej po części. Niektóre pociągnięcia pióra nie były typowe dla niego; widział takie na materiałach, które KACH pokazywał mu przez ostatnie lata. Część szkicu zrobiła Lila, resztę on. Razem uzgadniali jakoś styl rysowania. Czy także razem trzymali pióro? Doktor Todt będzie wiedział. Podobnie szyszki z wywiadu sowieckiego, które przeglądały kasetę z nagraniem transu, a potem FBI, kiedy otrzyma te taśmy... albo może nawet tak to

zorganizowano, żeby obie agencje wywiadowcze miały jednoczesny dostęp do materiałów.

— Lila — powiedział Lars — wstań.

Dziewczyna otworzyła oczy i uniosła głowę. Jej twarz była wymęczona, dzika, rysy wyostrzyły się jak u drapieżnego ptaka.

— Wyglądasz okropnie — rzekł Lars.

— Bo jestem okropna. Jestem kryminalistką: nie mówiłam ci?

Z trudem podniosła się na nogi, potknęła się i nieomal upadła. Doktor Todt z obojętnym wyrazem twarzy zdążył ją jednak podtrzymać.

— Dziękuję, doktorze Śmierć — powiedziała. — Czy KACH powiedział panu, że po transie zawsze jest mi niedobrze? Niech mnie pan zaprowadzi do łazienki. Szybko, doktorze Śmierć. I phenotiazyna: ma pan ją przy sobie?

Zatoczyła się. Doktor Todt pomógł jej dojść do łazienki.

Lars został na podłodze z dwoma szkicami. Jeden przedstawiał silnik napędzany parą, drugi...

Drugi przywodził na myśl autonomiczną, homeostatyczną, termotropiczną pułapkę na szczury z ilorazem inteligencji 230 i wyższym lub na takie, które przeżyły tysiąc lat — szczury mutanty, jakie nigdy nie istniały i jeśli losy świata miały potoczyć się według utartego schematu, szczury takie nigdy nie miały istnieć.

Lars intuicyjnie był całkowicie pewny, że przyrząd ten jest bezużyteczny.

I wtedy poczuł na grzbiecie zimny dotyk strachu. Gdy tak siedział na podłodze w motelowym pokoju, kołysząc się w te i we w tą i słysząc, jak w łazience wymiotuje dziewczyna, w której się zakochał, ogarnęło go uczucie kompletnej porażki.



## 20.

Wszyscy pili kawę: Lars, Lila Topczew, doktor Todt i oficer wywiadu Armii Czerwonej, który ich nadzorował i bronił przed kryjącymi się w ich wnętrzu niezdrowymi instynktami, major Tibor Apostokagin Geszenko. Wznosili toast za plany, które legły w gruzach.

— To zupełna klapa — powiedziała nagle Lila.

— I to jeszcze jaka — przytaknął Lars nie podnosząc na nią wzroku.

Geszenko w typowo słowiańskim geście wznosił w górę dłoń jak ksiądz podczas mszy.

— Bądźmy cierpliwi. A przy okazji coś wam powiem. — Skinął na adiutanta, który przysunął okrągły stolik z homeogazetą. Była rosyjska, pisana cyrylicą. — Na orbicie pojawił się kolejny satelita — rzekł Geszenko. — Donoszą o jakimś polu, czy też zakrzywieniu pola elektromagnetycznego, nie znam się na tym, nie jestem fizykiem. W każdym razie to coś zaatakowało wasze miasto, Nowy Orlean.

— Jak?

Geszenko wzruszył ramionami.

— Miasto zniknęło. Zapadło się pod ziemię, schowało się albo coś w tym rodzaju. W każdym razie łączność została zerwana, a pobliski czuły aparat pomiarowy zarejestrował zmniejszenie się masy. Wszystko skrywa nieprzenikniona bariera. Ustalono, że pole ma związek z tym, które otacza satelity. Czyż tego mniej więcej nie przewidywaliśmy?

Głośno siorbnął łyk kawy.

— Nic nie rozumiem — powiedział Lars z gardłem ściśniętym strachem.

Mocno kołatało mu serce.

— To satelity zależne — rzekł Geszenko. — Nie lądują. Myślę, że pobierają próbki populacji i zaczęli od Nowego Orleanu. — Wzruszył ramionami. — Strącimy ich z orbity, proszę się nie martwić. W 1941, gdy Niemcy...

— Strącimy ich za pomocą silnika parowego? — powiedział Lars i zwrócił się do Lili: — Właśnie dlatego próbowałaś mnie zabić, prawda? Żebyśmy nie doczekali chwili, gdy tak tu siedzimy i pijemy kawę!

— Pan ją zanadto usprawiedliwia, Lars — rzekł major Geszenko z przenikliwością psychologa. — To niezdrowe, ponieważ ona nadal będzie się czuła zwolniona od odpowiedzialności. — Zwrócił się do Lili: — Prawdziwa przyczyna była inna.

— Powiedz, że właśnie taka — rzekł do niej Lars.

— Dlaczego?

— Bo wtedy będę mógł myśleć, że chciałaś nam obojgu oszczędzić tego, co teraz czujemy. Że zrobiłaś to z litości.

— Podświadomość — powiedziała Lila — chodzi własnymi drogami.

— Nie ma żadnej podświadomości! — rzekł z naciskiem major Geszenko — To mit. Reakcja warunkowa. Pani o tym dobrze wie, panno Topczew. Niech pan posłucha, pannie Lars: w tym, co robicie, nie ma żadnej waszej zasługi. Panna Topczew podlega prawu Związku Sowieckiego.

Lars westchnął i wyjął z kieszeni zwinięty w rulonik komiks, który kupił przy wielkim stoisku na kosmicznym tenninalu. Podsunął Lili książeczkę otwartą na odcinku zatytułowanym: „Zadziwiające przygody Niebieskiego Głowonogiego Człowieka z Tytana pośród wściekłych protoplazm Ośmiu Śmiercionośnych Księżyców”. Lila z zaciekawieniem wzięła od niego komiks.

— Co to? — spytała z wielkimi oczami.

— Okno na świat — odparł Lars. — Czyli jak mogłoby wyglądać twoje życie, gdybyś mogła wyjechać ze mną ze Wschodniego Oka.

— A więc coś takiego sprzedaje się w Bloku Zachodnim?

— Głównie w Afryce — odparł.

Lila przerzucała kartki oglądając ociekające krwią, przerażające obrazki. Tymczasem pogrążony w ponurych myślach major Geszenko utkwiał wzrok przed sobą. Na jego przystojnej twarzy o wyrazistych rysach odbijała się rozpacz, której dotąd starał się nie pokazywać po sobie. Niewątpliwie myślał o wiadomościach z Nowego Orleanu... jak każdy normalny człowiek w takiej sytuacji. Geszenko nie oglądałby komiksu, przyszło na myśl Larsowi. Ale Lila i ja nie jesteśmy zupełnie normalni. I biorąc pod uwagę rozmiar naszej klęski, mamy po temu powody.

— Zauważyłaś coś dziwnego w tej książeczce? — zapytał Lilę.

— Tak — odparła z ożywieniem. — Wykorzystali kilka moich szkiców.

— Twoich? — Lars zauważył tylko swoje szkice. — Daj mi spojrzeć jeszcze raz.

Lila pokazała mu jedną stronę

— Widzisz? Mój gaz lobotomizujący. — Wskazała majora Geszenkę. — Przeprowadzili testy na więźniach politycznych i pokazali wyniki w telewizji, były zupełnie takie jak w tym komiksie. Gaz sprawia, że ofiary bez końca powtarzają ostatnią serię instrukcji wysyłanych przez uszkodzoną korę mózgową. Ilustrator zrobił ofiarą dwumózgowego potwora z Io. Wiedział, jak działa broń BBA-81D, musiał więc oglądać taśmę z filmem,

który nakręcono na Uralu. Ale ten film po raz pierwszy pokazano w zeszłym tygodniu.

— W zeszłym tygodniu?

Lars pełen niedowierzania wziął od niej komiks. Najwyraźniej wydano go dużo wcześniej. Widniała na nim data z zeszłego miesiąca, leżał na stoisku jakieś sześćdziesiąt dni.

— Majorze — zwrócił się nagle do Geszenki — czy mogę skontaktować się z KACH-em?

— Teraz? Zaraz?

— Tak — powiedział Lars.

Major Geszenko w milczeniu wziął od niego komiks i przekartkował. Potem wstał i przywołał adiutanta. Obaj mężczyźni zaczęli rozmawiać po rosyjsku.

— On wcale nie rozkazał wezwać człowieka z KACH-u — powiedziała Lila. — Mówi, żeby KVB zbadało tę firmę w Ghanie, która wydała komiks.

Lila zwróciła się do majora Geszenki, również po rosyjsku. Lars poczuł się niezręcznie: uświadomił sobie, jak wyspiarska jest umysłowość Amerykanów jeśli chodzi o znajomość języków obcych. Lila miała rację. To rys prowincjonalny, pomyślał. Szczerze żałował, że ich nie rozumie. Cała trójka mówiła coś o komiksie. Na koniec major Geszenko oddał książeczkę adiutantowi.

Adiutant szybko się oddalił. Wychodząc trzasnął drzwiami jak szalony.

— Komiks był mój — powiedział Lars.

Nie o to jednak chodziło.

— Funkcjonariusz z KACH-u przyjdzie — rzekła Lila. — Ale nie od razu. I nie w tej sprawie, o którą ci chodzi. Najpierw przeprowadzi własne dochodzenie, potem przyjdzie kolej na ciebie i będziesz mógł z nim porozmawiać.

Lars zwrócił się do potężnego oficera wywiadu Armii Czerwonej:

— Chcę wrócić pod jurysdykcję FBI. Natychmiast. Nalegam.

— Proszę dopić kawę.

— Coś się święci — powiedział Lars. — Chodzi o ten komiks. Zorientowałem się, że coś zauważyliście albo coś sobie pomyśleliście. Co to było? — Zwrócił się do Lili: — Ty wiesz?

— Są zdenerwowani — odparła dziewczyna. — Podejrzewają, że KACH zaopatrywał tę firmę wydającą komiksy w reprinty szkiców. To ich rozzłościło. Nie mają nic przeciwko temu, by do naszych szkiców miał dostęp Zachodni Blok; jednak tym razem KACH posunął się za daleko.

— Zgadzam się — powiedział Lars.

Myślę jednak, rzekł sobie w duchu, że chodzi o coś jeszcze. Na pewno. Są bardzo wzburzeni.

— Zastanawia mnie kwestia czasu — odezwał się major Geszenko.

Kawa, którą sobie nalał, zdążyła całkiem wystygnać.

— Firma komiksowa otrzymała szkice zbyt wcześnie, prawda? — chciał wiedzieć

Lars.

— Tak — zgodził się Geszenko.

— W tak krótkim czasie nawet KACH nie zdążyłby ich zdobyć?

— Tak.

— Nie wierzę — odezwała się poruszona Lila.

Major Geszenko rzucił jej chłodne spojrzenie.

— Co tam KACH-rzekła Lila. — Nawet my byśmy ich nie mieli.

— W ostatnim odcinku — powiedział major Geszenko — niebieski jakiś tam człowiek, uwięziony na opustoszałym asteroidzie, wynajduje tymczasowe źródło energii w postaci silnika parowego. Ma on zreaktywować nieczynny przekaźnik na poły zniszczonego statku, bo dawne źródło energii uszkodziło promieniowanie... — na jego twarzy pojawił się grymas — pseudonomicznych mięsożernych kwiatów z Ganimeda.

— Wobec tego bierzemy szkice od nich — powiedział Lars. — Od autora komiksu.

— Możliwe — rzekł major Geszenko powoli kiwając głową, jakby zgadzał się z Larsem jedynie przez grzeczność.

— Nic więc dziwnego, że...

— Nic dziwnego — powiedział Geszenko popijając zimną kawę — że nie możecie spełnić swojego zadania. Nic dziwnego, że nie ma broni, kiedy jest nam potrzebna, kiedy m u s i m y ją mieć. Jakże można ją było uzyskać? Z takiego źródła?

Podniósł głowę i zmierzył Larsa dumnym, oskarżającym wzrokiem. Był pełen goryczy.

— Ale skoro po prostu czytamy w myślach jakiegoś autora komiksów, skąd tam cokolwiek się wzięło?

— Och, ten autor komiksów — rzekł z pogardą major Geszenko — ma wielki talent. To twórczy umysł. Niech pan tego nie ignoruje. Przez długi czas korzystaliśmy z jego pomysłów, przyjacielu. Zarówno Wschód, jak i Zachód.

— To najgorsza rzecz... — zaczął Lars.

— Ale interesująca — przerwał mu Geszenko. Popatrzył na Larsa i Lilę. — To żałosne.

— Tak, żałosne — rzekł Lars stłumionym głosem.

## 21.

Chyba wiesz, co to oznacza — rzekła Lila grobowym głosem. — Teraz mogą jechać prosto do autora tego koszmarnego komiksu. Lars, już nie jesteśmy im potrzebni.

— Panno Topczew, po co mielibyśmy do niego jechać? — spytał bardzo grzecznie, lecz zgryźliwie major Geszenko. — Co on takiego ma, według pani? Sądzi pani, że jeszcze nie pokazał, na co go stać?

— Już dał z siebie wszystko — powiedział Lars. — Zarabia na życie pisząc komiksy. To jego praca. Jego wynalazki były kompletną fikcją.

— A mimo to doskonale trafiały w nasze potrzeby — zauważył w uprzejmy i pełen ogłady, a jednocześnie wysoce obraźliwy sposób major Geszenko. — A teraz koniec. Niebieski Głównogi Człowiek nie może pięścią zrzucić z orbity obcych satelitów. Nie możemy go wezwać na pomoc; on się nie zjawi. To ironia losu: sami siebie wystrychnęliśmy na dudka. Autor komiksu będzie miał ubaw po pachy. Najwyraźniej jest degeneratem, czego dowodzi wulgarność tej kreskówki; nawiasem mówiąc dialogi są po angielsku, który stanowi język urzędowy Zachodniego Bloku.

— Niech pan go nie obwinia — powiedział Lars — jeśli za sprawą jakiejś pieprzonej telepatii podchwytywaliśmy jego pomysły.

— O nic nie będą go „obwiniać” — rzekła Lila. — Jedyne go przesłuchają. Złapią go i przywieżą do Instytutu Pawiowa, żeby wszelkimi dostępnymi środkami wydobyć z niego to, czego nie wydobyli z nas. Na wypadek gdyby rzeczywiście było co z niego wydobywać. — Na koniec dodała: — Cieszę się, że nie jestem na jego miejscu.

Ogólnie rzecz biorąc czuła chyba ulgę. Zrozumiała, że zwolniono ją z trudnego obowiązku, a ponieważ była osobą niedojrzałą, jedynie to się dla niej liczyło.

— Skoro już tak się cieszysz — odparł Lars — przynajmniej tego po sobie nie pokazuj. Postaraj się zachować to dla siebie.

— Zaczynam myśleć, że dostali dokładnie to, na co zasłużyli — zachichotała Lila. — To doprawdy zabawne. Żal mi tego twórcy komiksów z Południowej Ghany, ale czy nie chce ci się śmiać?

— Nie.

— W takim razie jesteś tak samo stuknięty jak on — pogardliwie i z jakimś poczuciem duchowej wyższości wskazała majora Geszenkę.

— Mogę zawideofonować? — spytał Lars majora.

— Nie widzę przeciwwskazań.

Geszenko skinął na adiutanta i powiedział mu coś po rosyjsku. Adiutant zaprowadził Larsa do znajdującej się w holu budki wideofonicznej.

Lars nakręcił numer Stowarzyszenia Lanfermana w San Francisco i poprosił Pete'a Freida.

Pete wyglądał na przepracowanego i raczej nie był w nastroju do odbierania wideofonów. Kiedy zorientował się, kto dzwoni, zdobył się na słaby powitalny gest.

— Jaka ona jest?

— Młoda — odparł Lars. — Pociągająca fizycznie i, powiedziałbym, seksowna.

— Więc masz problem z głową.

— Nie — zaprotestował Lars. — Tak się dziwnie składa, że nie mam problemu z głową. Chcę ci zlecić pewną robotę. Wystaw mi za to rachunek. Jeśli nie możesz tego zrobić albo nie chcesz...

— Nie truj. Powiedz lepiej, o co chodzi.

— Pozbieraj wszystkie odcinki „Niebieskiego Głowonogiego Człowieka z Tytana”. Ale to wszystkie: od pierwszego odcinka z pierwszej książeczki. To komiks trójwymiarowy — dodał. — Krzykliwa szmira, co to wszystko się rusza, gdy patrzysz. No wiesz, panienki wiercą tyłkami, ruszają zderzakami i wszystkim, czym tylko można ruszać. Potwory naturalnie się ślinią.

— Dobra — Pete zanotował: „Niebieski Głowonogi Człowiek z Tytana”. — Widziałem ten komiks, choć nie wydają go w Ameryce Północnej. Moje dzieciaki w jakiś sposób mają do niego dostęp. To jeden z najgorszych komiksów, ale nie jest nielegalny, jawnie pornograficzny. Tak jak mówisz: panienki ruszają zderzakami, ale przynajmniej jeszcze nie...

— Przejrzyj każdy odcinek — przerwał mu Lars. — Z najlepszymi inżynierami. Dokładnie. Zrób listę wszystkich rodzajów broni, jakie tam występują. Sprawdź, które są nasze, a które Wschodniego Oka. Wszystkie dokładnie narysuj na podstawie informacji z komiksu.

— Dobra — powiedział Pete. — Mów dalej.

— Zrób jeszcze jedną listę wszystkich rodzajów broni, które nie są ani nasze, ani Wschodniego Oka. Jednym słowem nieznanym. Może takich nie będzie, a może będą. Sporządź, jeśli się da, dokładne rysunki. Chcę dostać makiety i...

— Wymyśliliście coś, ty i Lila?

— Tak.

— To dobrze.

— Tak zwany silnik parowy.  
Pete podniósł na niego spojrzenie.  
— Mów serio.  
— Mówię.  
— Zrobią z ciebie mokrą plamę.  
— Wiem — odparł Lars.  
— Nie możesz uciec? Z powrotem do Zachodniego Bloku?  
— Mogę spróbować. Ale w tej chwili są inne ważniejsze rzeczy. Słuchaj. Zadanie numer dwa; od tego tak naprawdę masz zacząć. Skontaktuj się z KACH-em.  
— Dobra jest.  
Pete wszystko dokładnie zapisywał.  
— Niech sprawdzą wszystkie osoby odpowiedzialne za prace przygotowawcze, rysunki, atrapy, dialogi. Słowem, niech zbadają ludzi, którzy w jakikolwiek sposób przyczyniają się do powstania komiksu „Niebieski Głowonogi Człowiek z Tytana”.  
— Sprawdzą — powiedział Pete nadal notując.  
— To pilne.  
— Pilne — zapisał Pete. — Komu zdać raport?  
— Jeśli wrócę do Zachodniego Bloku, to mnie. A jak nie, to tobie. Następne zadanie.  
— Co tylko rozkażesz, sir.  
— Zawideofonuj przez specjalną gorącą linię do działu fantastyki naukowej FBI. Każ im powiadomić ekipę tutaj na lotnisku w Fairfax, że...  
Przestał mówić, bo obraz na monitorze zniknął. Aparat się wyłączył.  
Tajna policja sowiecka, która podsłuchiwała całą rozmowę, wyjęła wtyczkę z gniazdka.  
Dziwne, że nie zrobili tego wcześniej.  
Lars wyszedł z budki zastanawiając się, co robić dalej. W holu czekało dwóch ludzi z KVB. Nie było dokąd uciekać.  
Jednak gdzieś na terenie Fairfax zaszyła się FBI. Gdyby w jakiś sposób udało mu się do nich dostać...  
Oni jednak mieli rozkaz współpracować z KVB. Najzwyczajniej oddaliby go z powrotem w ręce majora Geszenki.  
Żyję we wspomniałym świecie, gdzie wszyscy współpracują, poza tymi nielicznymi jednostkami, które zaprzestały współpracy i chcą odejść. Dla nich nie ma wyjścia; wszystkie drogi prowadzą z powrotem.  
Mógł sobie odpuścić rozmowę z niższymi instancjami i zwrócić się bezpośrednio do majora Geszenki.  
Wobec tego niechętnie wrócił do pokoju.  
Geszenko, doktor Todt i Lila Topczew siedzieli przy stole, pili kawę i czytali home-



ogazetę. Tym razem rozmawiali po niemiecku.

Wielojęzyczne bestie, pomyślał Lars i usiadł.

— *Wie geht's?* — zapytał go doktor Todt.

— *Traurig* — powiedziała Lila. — *Können Sie nicht sehen?* Lars, co się stało? Dzwoniłeś do generała Nitza, żeby cię zabrał do domu? A on powiedział nie i nie zawracaj mi głowy, bo teraz podlegasz jurysdykcji KVB nawet, jeśli Islandia jest terenem neutralnym. *Nicht wahr?*

— Majorze — zwrócił się Lars do Geszenki — proszę oficjalnie o pozwolenie na to, bym mógł na osobności porozmawiać o mojej sytuacji z przedstawicielem policji Stanów Zjednoczonych, FBI. Czy pan mi to zapewni?

— Oczywiście, to proste — odparł Geszenko.

Nagle ku zdziwieniu wszystkich obecnych do pokoju wkroczył funkcjonariusz KVB. Podeszedł do majora i podał mu dokument, oryginalny, nie kserokopię.

— Dziękuję — rzekł major i po cichu przeczytał dokument. Potem podniósł wzrok na Larsa ze słowami: — Myślę, że ma pan dobry pomysł. Warto przejrzeć wszystkie poprzednie odcinki „Niebieskiego Głównego Człowieka z Tytana” i zlecić KACH-owi dokładne zbadanie wszystkich twórców komiksu. My rzecz jasna sami już robimy jedno i drugie, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby równolegle zrobili to wasi ludzie. Aby jednak zaoszczędzić czas — pragnę zaś panu przypomnieć, iż czas gra w obecnej sytuacji rolę zasadniczą — z całym szacunkiem odnoszę się do pomysłu, by pańscy przyjaciele w San Francisco, z którymi pan dopiero co rozmawiał, powiadomili nas, jeśli doszukają się jakichś pożytecznych informacji. W końcu to amerykańskie miasto stało się pierwszą ofiarą ataku obcych.

— Jeśli wolno mi będzie porozmawiać z FBI, tak — powiedział Lars. — Jeśli nie, nie.

— Powiedziałem już panu, że to łatwo zorganizować.

Geszenko zwrócił się po rosyjsku do swego adiutanta.

— Mówi mu — odezwała się Lila — żeby wyszedł z pokoju, postać pięć minut na korytarzu, wrócił i powiedział po angielsku, że nie można skontaktować się z FBI.

Major Geszenko spojrzał na Lilę i powiedział poirytowanym tonem:

— Pomijając wszystko inne, w świetle sowieckiego prawa można ci wytoczyć proces o utrudnianie pracy organom bezpieczeństwa. Zostałabyś oskarżona o zdradę stanu i stanęła przed plutonem egzekucyjnym. Więc dlaczego choć raz nie możesz się przytknąć?

Wyglądał na autentycznie wściekłego, nawet poczerwieniał na twarzy.

— *Sie können Sowjet Gericht widsteck?!* — odburknęła Lila.

— Mój pacjent, pan Powderdry — przerwał jej stanowczo doktor Todt — znajduje się w stanie silnego stresu, który pogłębiła ostatnia wymiana zdań. Czy nie ma pan nic

przeciwno, majorze, bym podał mu środek uspokajający?

— Ależ proszę bardzo, doktorze — rzekł kwaśno Geszenko.

Skinieniem odprawił adiutanta nie zmieniając, jak zauważył Lars, polecenia.

Doktor Todt wyjął ze swego czarnego kufierka lekarskiego kilka butelek, płaską puszkę oraz mnóstwo darmowych próbek nowych, nietestowanych i stąd nie wprowadzonych jeszcze na rynek narkotyków rozprawdzanych w niewiarygodnych ilościach po całym świecie przez wielkie apteki. Doktor zawsze interesował się najnowszymi lekami, teraz mamrocząc coś pod nosem i dokonując jakichś obliczeń, grzebał w próbkach, zatopiony w swoim prywatnym świecie.

Adiutant znowu przyniósł Geszenko jakiś dokument. Major przestudiował go w milczeniu.

— Mam wstępne informacje o twórcy owego odrażającego komiksu — rzekł po chwili. — Czy ktoś jest zainteresowany?

— Tak — odparł Lars.

— Za to ja ani trochę — rzekła Lila.

Doktor Todt nie przestawał grzebać w swoim przepełnionym kufierku.

Spoglądając do dokumentu Geszenko przedstawił w skrócie Larsowi informacje, które w błyskawicznym tempie zebrał sowiecki wywiad.

— Nazywa się Oral Giacomini. Jest włoskiego pochodzenia. Dziesięć lat temu wyemigrował do Ghany. Jest częstym bywalcem kliniki psychiatrycznej w Kalkucie, która to instytucja nie cieszy się dobrą opinią. Gdyby nie aplikowano mu elektrowstrząsów i środków działających tłumiąco, znajdowałby się w stanie całkowitego autystycznego wycofania, właściwego ostrej schizofrenii.

— Rany — powiedział Lars.

— Jest byłym wynalazcą. Na przykład jego Strzelba Ewolucyjna. Rzeczywiście skonstruował ją dwanaście lat temu i opatentował we Włoszech. Prawdopodobnie miała być użyta przeciwko Austro-Węgrom.

Geszenko położył dokument na stole. Papiery natychmiast zabrudziły się kawą, ale majora zdawało się to nic nie obchodzić. Geszenko był równie zde gustowany jak Lars.

— Według analiz dokonanych przez drugorzędnych psychiatrów z Kalkuty wytwory Orala Giacominiego stanowią bezwartościowe, pompatyczne urojenia schizofrenika dotyczące władzy nad światem. Pomyśleć tylko, że wy nawiązywaliście kontakt z umysłem tego nic nie znaczącego wariata, by czerpać natchnienie do tworzenia waszych „broni”.

Generał bezradnie machnął ręką.

— No cóż — rzekł na to Lars — na tym polega biznes, jakim jest wzornictwo militarne.

Doktor Todt zamknął wreszcie kuferek i usiadł obserwując rozmawiających.

— Ma pan dla mnie środek uspokajający? — spytał go Lars.

Doktor Todt oparł ręce na kolanach i trzymał w nich jakiś przedmiot.

— Mam tutaj — odrzekł doktor Todt — pistolet laserowy. — Wymierzył broń w Geszenkę. — Wiedziałem, że jest gdzieś w mojej torbie, ale leżał na samym dnie. Jest pan aresztowany, majorze, za przetrzymywanie obywatela Zachodniego Bloku wbrew jego woli.

Wyciągnął jeszcze jeden przedmiot — malutki radiowy układ komunikacyjny z mikrofonem i słuchawkami. Włączył przyrząd i zwrócił się do pchlich rozmiarów mikrofonu:

— Pan Conners? Proszę z panem J. F. Connersem. — Po czym wyjaśnił Larsowi, Lili i majorowi Geszenko: — Conners jest szefem placówki FBI w Fairfax. Mhm. Pan J. F. Conners? Tak. Jesteśmy w motelu. Tak, pokój szósty. Tam dokąd nas zaprowadzili po przyjeździe. Wszystko wskazuje na to, że chcą wywieźć pana Powderdria do Związku Sowieckiego razem z panną Topczew. Obecnie czekają na środek transportu. Wszędzie jest pełno agentów KVB, więc... dobrze, w porządku. Dziękuję Tak. Jeszcze raz dziękuję.

Wyłączył układ i schował go do kuferka.

Wszyscy siedzieli w bezruchu i milczeli. Wtem za drzwiami rozległ się hałas. Przez kilka minut trwało zamieszanie: słychać było jakieś pomruki, stłumione kroki i odgłosy cichej walki. Major Geszenko zdawał się podchodzić do całej sprawy z filozoficznym spokojem, jednak szczęśliwy nie był. Z kolei Lila skamieniała z przerażenia; siedziała sztywno wyprostowana, a jej twarz przybrała ponury wyraz.

Nagle drzwi otworzyły się oścież. Zajrzał do środka agent FBI, jeden z tych, którzy przewieźli Larsa do Iceland. Na wszelki wypadek powiódł po wszystkich lufą pistoletu laserowego. Nie wypalił jednak, lecz po prostu wszedł do środka w towarzystwie drugiego agenta FBI, który w jakiś sposób stracił krawat.

Major Geszenko podniósł się z miejsca, odpiął kaburę i w milczeniu oddał broń ludziom z FBI.

— Wracamy do Nowego Yorku — zwrócił się do Larsa jeden z agentów.

Major Geszenko wzruszył ramionami. Sam Marek Aureliusz nie osiągnął wyższego stopnia stoickiej obojętności.

Kiedy doktor Todt, Lars i dwaj agenci FBI zbierali się do wyjścia, nagle odezwała się Lila:

— Lars! Chcę jechać w wami.

Agenci FBI wymienili spojrzenia. Jeden z nich zwrócił się do umieszczonego w klapie marynarki mikrofonu i odbył krótką, niesłyszalną dla reszty naradę z niewidzialnym przełożonym.

— Zgadzą się — rzekł szorstko do Lili.

— Może ci się tam nie spodobać — powiedział Lars. — Pamiętaj, moja droga, że padliśmy w niełaskę.

— Mimo to chcę jechać — odparła dziewczyna.

— W porządku — rzekł Lars i przypomniał sobie o Maren.

## 22.

Stary, obdarty weteran siedział w parku w Festung Waszyngtonie. Mamrotał coś do siebie i obserwował bawiące się dzieci. W pewnej chwili ujrzał dwóch podporuczników Akademii Wojsk Powietrznych Zachodniego Bloku, którzy niespiesznie zdążali w jego stronę żwirową alejką. Byli to dziewiętnastoletni młodzieńcy o wyszorowanych do czysta, pozbawionych zarostu twarzach, z których biła niezwykła inteligencja.

— Ładny dzień — zwrócił się do nich staruszek kiwając głową. Zatrzymali się na chwilę, lecz nic nie odpowiedzieli.

— Uczestniczyłem w Wielkiej Wojnie — pochwalił się z dumą starzec. — Nigdy nie widzieliście walki, a ja widziałem. Na froncie byłem głównym operatorem G. Z. C. Widzieliście kiedy jak G. Z. C. odbija z powodu przeciążenia, gdy wysiada wyłącznik maksymalny linii wejściowej i robi się zwarcie w polu indukcyjnym? Całe szczęście, że byłem kawałek dalej, dzięki temu przeżyłem. Trafiłem do szpitala polowego. To znaczy statku polowego Czerwonego Krzyża. Całe miesiące nie wstawałem z łóżka.

— Rany — rzekł jeden z bażantów siląc się na uprzejmość.

— Czy to może było sześć lat temu podczas buntu w Callisto? — spytał drugi.

Sędziwa istota zatrzęsała się z rozbawienia.

— To było sześćdziesiąt trzy lata temu. Potem zajmowałem się warsztatem. Aż dostałem krwotoku wewnętrznego i musiałem to rzucić, bo wolno mi było wykonywać tylko lekkie prace. Robiłem przyrządy. Byłem w tym naprawdę dobry. Mogę zrobić taki swibak...

Zasapał się nie mogąc przez chwilę złapać tchu.

— Sześćdziesiąt trzy lata temu! — powiedział pierwszy bażant. — Szybko obliczył w pamięci. — Kurka wodna, to było w czasie drugiej wojny światowej, w 1940 roku.

Obaj chłopcy wytrzeszczyli oczy na weterana.

Zgarbiona, blada, chuda jak patyk istota rzekła skrzeczącym głosem:

— Nie, to było w 2005. Pamiętam, bo ten rok jest na moich medalach.

Drżącą ręką złapał za wyświechtaną szarą marynarkę. Zdawać by się mogło, że od tego szarpnięcia marynarka za chwilę rozleci się w strzępy. Starzec pokazał młodzień-

com małą metalową gwiazdę przypiętą do wyblakłej koszuli.

Młodzi podporucznicy pochylili się, by przeczytać wypukłe napisy i cyfry umieszczone na metalowej powierzchni.

— Hej, Ben. Tu naprawdę jest napisane 2005.

— Taak.

Wybałuszyli oczy.

— Ale to jest w przyszłym roku.

— Opowiem wam jak ich pobiliśmy w Wielkiej Wojnie — wysapał weteran, zadowolony, że znalazł słuchaczy. — To była długa wojna; psiamać, zdawała się nie mieć końca. Ale co można zrobić wobec zakrzywienia czasoprzestrzeni? Ależ się zdziwili! — Zachichotał i otarł ślinę z zapadłych ust. — W końcu wymyśliliśmy. Oczywiście były i porażki. — Odchrząknął i z obrzydzeniem splunął na żwir. — Projektanci broni o niczym nie mieli zielonego pojęcia. Głupie sukinsyny.

— Kto był wrogiem? — zapytał Ben.

Minęła dłuższa chwila, zanim weteran zrozumiał pytanie. Kiedy zaś już to zrobił, jego obrzydzenie sięgnęło szczytu. Stał na chwiejnych nogach i odsunął się od młodych oficerów.

— O n i. Ci z Syriusza! Satelity. Po chwili drugi oficer usiadł obok weterana i z powagą w głosie rzekł do Bena:

— Myślę, że... Zrobił gest ręką.

— Taak — odparł Ben. Zwrócił się do starszka: — Posłuchaj, ojczulku. Zjedziemy na dół.

— Na dół? — spytał zmieszany i przerażony starzec.

— Do kremla — wyjaśnił Ben. — Pod ziemię. Tam, gdzie odbywają się zebrania Rady NZ-Z Narbez-u. Do generała Nitzza. Wie pan, kim jest generał Nitz?

Weteran mamrotał coś pod nosem usiłując przypomnieć sobie potrzebne fakty.

— No cóż, był wysoko w górze — rzekł wreszcie.

— Jaki mamy rok? — zapytał Ben.

Starszek rzucił mu rozbawione spojrzenie.

— Mnie nie nabierzesz. Jest 2068. Albo... — Na chwilę jego oczy przygasały, zawahał się. — Nie, jest 2067. Chciałeś mnie podpuścić. Ale ci się nie udało, prawda? Mam rację? 2067?

Trącił łokciem drugiego podporucznika.

— Ja z nim tu zostanę — powiedział Ben do kolegi. — A ty sprowadź wóz wojskowy. Nie możemy go spuścić z oczu.

— Słusznie — odparł tamten.

Wstał i pobiegł w stronę naziemnych budynków kremla. Po głowie bez przerwy chodziło mu śmieszne pytanie, jakby odpowiedź na nie miała jakiś sens: Co to, u diabła, jest „swibak”?

## 23.

Pete Freid siedział na szerokiej ławie w podziemnej części Stowarzyszenia Lanfermana, mniej więcej na poziomie środkowokalifornijskiego miasta San Jose. Maszyny były wyłączone.

Przed Freidem leżał paździenikowy odcinek „Niebieskiego Głownogiego Człowieka z Tytana”. Pete bezgłośnie poruszając ustami czytał właśnie zajmującą przygodę zatytułowaną „Niebieski Głownogi Człowiek spotyka szatańskiego brudnostwora, który przebił się na powierzchnię Io po dwóch bilionach lat letargu w głębinach!” Doszedł do momentu jak Niebieski Głownogi Człowiek przywrócony do świadomości dzięki gorączkowym telepatycznym wysiłkom swego kompana zdołał przekształcić przenośny detektor promieniowania, zwany układem G, w katodowo — magnetyczny bipolarny emanator jonizujący.

Owym emanatorem Niebieski Człowiek wystraszył szatańskiego brudnostwora, kiedy ten usiłował porwać pannę Whitecotton, cystacką przyjaciółkę Niebieskiego Człowieka. Stwór zdołał rozpiąć pannie Whitecotton bluzkę i obnażył jedną pierś. Tylko jedną, bo tego wymagało surowe międzynarodowe prawo dotyczące publikacji dla dzieci. Pierś widniała na tle roziskrzonego nieba Io. Kiedy zaś Pete nacisnął przycisk, zaczęła rytmicznie pulsować. Brodawka jarzyła się jak mała różowa żarówka, sterczała na trójwymiarowej piersi i mrugała, mrugała... i miała tak mrugać, dopóki nie wyczerpie się pięcioletnia bateria umieszczona w okładce komiksu.

Pete wduszał przyciski audio i po kolei metalicznymi głosami odzywali się bohaterowie. Freid westchnął. Jak dotąd znalazł szesnaście rodzajów „broni”. Tymczasem najpierw zniknął Nowy Orlean, potem Provo, a ostatnio, według tego, co podawano w telewizji, również Idaho w Boise. Na wszystkie te miasta opadła szara zasłona, jak nazywały ją stacje telewizyjne i gazety.

Szara zasłona śmierci.

Na biurku zacwierkał wideofon. Pete wyciągnął rękę i włączył urządzenie. Na monitorze pojawiła się zatroskana twarz Larsa.

— Wróciłeś? — zapytał Pete.



— Tak. Jestem w biurze w Nowym Yorku.

— To dobrze — odparł Pete. — Jaka linię postępowania chcesz teraz obrać, skoro firma Lars Incorporated padła?

— Co to ma za znaczenie? — spytał Lars. — Za godzinę mam być na posiedzeniu Rady w kremlu. Nie opuszczają podziemia, na wypadek, gdyby obcy mieli skierować coś na stolicę. Radzę ci również zostać pod ziemią. Słyszałem, że maszyna obcych nie dociera pod powierzchnię.

Pete ponuro skinął głową. Podobnie jak Lars, czuł się fizycznie chory.

— Jak Maren to znosi?

— Ja jeszcze... — rzekł Lars z wahaniem — nie rozmawiałem z Maren. Tak się składa, że przywiozłem ze sobą Lilę Topczew. Jest tu teraz ze mną.

— Daj ją do wideofonu.

— Po co?

— Żebym mógł się jej przyjrzeć.

Na ekranie pojawiła się pogodna, prostoduszna twarz młodej dziewczyny o jasnej karnacji z dziwnie surowymi, czujnymi oczami i mocno zesnurowanymi ustami. Dziewczyna sprawiała wrażenie przerażonej i... wszystko wskazywało na to, że ma trudny charakter.

A niech to, pomyślał Pete. A więc z rozmysłem przywiozłeś tutaj to dziecko? Poradzisz sobie z nią? Wątpię, czy ja bym sobie poradził. Wygląda na osobę z trudnym charakterem.

Ale tak, przypomniał sobie po chwili. Ty lubisz trudne kobiety. To część twojej perwersyjnej natury.

Kiedy na ekran powróciła twarz Larsa, Pete powiedział:

— Maren ci nogi z dupy powyrywa. Niczym jej nie oszukasz, żadną zmyśloną historijką. Nawet jeśli nie będzie miała przy sobie tego nielegalnego telepatycznego urządzenia.

— Nie mam zamiaru oszukiwać Maren — rzekł Lars obojętnie. — Ale tak naprawdę ani trochę mnie to nie obchodzi. Pete, jestem pewny, że te stwory, które zbudowały satelity, czymkolwiek są i skądkolwiek przyszły, mają nas w garści.

Pete milczał. Nie był w stanie dyskutować; zgadzał się z Larsem.

— Kiedy rozmawiałem z Nitzem przez wideofon — ciągnął Lars — on powiedział coś dziwnego. Coś o jakimś starym weteranie wojennym. Nie zrozumiałem, o co mu chodzi. W każdym razie była mowa o jakiejś broni. Pytał mnie, czy kiedykolwiek słyszałem o urządzeniu zwanym G. Z. C. Powiedziałem, że nie. A ty słyszałeś o czymś takim?

— Nie — odparł Pete. — Takiego czegoś nigdy nie zaprojektowano. Inaczej KACH by o tym wiedział.

— Może nie — rzekł Lars. — Na razie.

Wyłączył wideofon. Z ekranu zniknął obraz.

## 24.

Kiedy Lars wyładował, przekonał się, że jeszcze bardziej zwiększono środki ostrożności: minęła ponad godzina, zanim dostał przepustkę. Na zakończenie całej procedury musiał spotkać się osobiście z zaufanym asystentem Rady, który to miał stwierdzić, kim Lars jest i po co przyszedł. Potem zjechał windą na dół, aby wziąć udział w zebraniu Rady, które, jak uświadomił sobie, mogło być jej ostatnim zebraniem w obecnym składzie.

Podejmowano właśnie rozstrzygające decyzje.

Generał Nitz przerwał w środku dyskusję i zwrócił się do Larsa:

— Wiele pan stracił będąc w Iceland. Nie pańska wina. Jednak, tak jak wspominałem przez wideofon, coś się wydarzyło.

Generał Nitz skinął na młodego oficera, który natychmiast włączył homeostatycznie zaprogramowany skaner audio — video o trzydziestocalowym monitorze. Skaner stał w kącie naprzeciwko urządzenia, które w razie potrzeby łączyło Radę z marszałkiem Paponowiczem i SeRKeB-em w Nowej Moskwie.

Odbiornik zaczął się rozgrzewać.

Po chwili na ekranie pojawił się stary człowiek. Był szczupły i miał na sobie jakiś szczególnego rodzaju połatany wojskowy mundur.

— ... i wtedy spuściliśmy im lanie — rzekł z wahaniem staruszek. — Tego się ani trochę nie spodziewali: pokpili sprawę.

Na sygnał generała Nitza młody oficer zatrzymał taśmę audio — video Ampexa. Postać na ekranie zastygła, dźwięk zamarł.

— Chciałem, żeby pan rzucił na niego okiem — rzekł generał Nitz do Larsa. — Nazywa się Ricardo Hastings. To weteran z wojny, która miała miejsce sześćdziesiąt kilka lat temu... przynajmniej on tak twierdzi. Przez cały czas, przez kilka miesięcy, czy nawet lat, stary człowiek codziennie przesiadywał na ławce w parku publicznym tuż obok powierzchniowej części kremla i szukał słuchaczy. W końcu udało mu się. W samą porę, prawda? Może tak, może nie. Wkrótce się przekonamy. Wszystko zależy od tego, co ostało się jeszcze w jego pamięci. Zwłaszcza jeśli chodzi o tę broń, któ-

ra obsługiwał w czasie Wielkiej Wojny. Tymczasem badania wskazują na to, że weteran cierpi na uwiąd starczy.

— Generator Zakrzywienia Czasoprzestrzeni — powiedział Lars.

— Prawie nie ulega wątpliwości — rzekł tonem profesora generał Nitz zakładając ręce i opierając się o ścianę — że przeniósł się prawie wiek w przeszłość dzięki tej broni, za sprawą jej aktywności akumulacyjnej lub resztkowej albo też dlatego, że blisko niej przebywał, chodzi zwłaszcza o jej wersje wybrakowane. Nie potrafimy pojąć, jak to się stało. On zaś niczego nie zauważył, niczego nie rozumie. Jest zbyt stary. Ale to nie ma znaczenia. Doszliśmy już do tego, że „Wielka Wojna”, która dla niego miała miejsce wiele lat temu, gdy był młodym człowiekiem, dla nas jest wojną, która toczy się aktualnie. Ricardo Hastings zdołał już nam wyjaśnić kim są i skąd się wzięli nasi wrogowie. Od niego dowiedzieliśmy się wreszcie czegoś o obcych.

— I ma pan nadzieję — rzekł Lars — że uda się uzyskać od niego tę broń.

— Mamy nadzieję, że uda nam się wyciągnąć z niego cokolwiek.

— Przekażcie go Pete’owi Freidowi — zaproponował Lars. Generał Nitz przyłożył dłoń do ucha.

— Nie będę w ten sposób rozmawiał — powiedział Lars. — Dajcie go do Stowarzyszenia Lanfermana. Niech wezmą go w obroty tamtejsi inżynierowie.

— A jeśli on umrze?

— Może nie umrze. Sądzi pan, że ile czasu zajmie komuś takiemu jak Pete Freid zrobienie na podstawie ogólnej idei projektu, który posłuży do zbudowania prototypu? On jest geniuszem. Mógłby na podstawie rysunku kota, który zrobiło jakieś dziecko, powiedzieć, czy przedstawione na tym rysunku stworzenie zakopuje swoje odchody, czy zostawia je na ziemi. Kazałem Pete’owi czytać wszystkie dotychczas wydane odcinki „Niebieskiego Głownogiego Człowieka z Tytana”. Niech to zostawi i zacznie pracować z Ricardem Hastingsem.

— Rozmawiałem z Freidem — rzekł generał Nitz. — I...

— Wiem — przerwał mu Lars. — Gadanie nic nie da. Zabierzcie Hastingsa do Kalifornii albo lepiej sprowadźcie tutaj Pete’a. Ja nie jestem do niczego potrzebny. Nikt z obecnych w tej sali nie jest potrzebny. Potrzebuje pan Pete’a. Ja wychodzę. — Podniósł się z miejsca. — Umywam od tego ręce, chyba że Pete zajmie się sprawą Hastingsa.

Szybkim krokiem ruszył w kierunku drzwi.

— Może — powiedział generał Nitz — najpierw pan próbuje z Hastingsem. Potem sprowadzi się Freida. Zanim Freid tu przyleci...

— Droga z Kalifornii do Festung Waszyngtonu zajmuje tylko dwadzieścia minut.

— Przykro mi Lars, ale ten człowiek jest naprawdę stary. Wiesz, co to oznacza? Prawie niemożliwością jest nawiązać z nim kontakt werbalny. Proszę więc, żebyś z kamarków jego mózgu, do których nie można się dostać normalną, zwykłą...

— W porządku — rzekł Lars zmieniając nagle zdanie. — Ale najpierw powiadomcie o wszystkim Freida. Teraz zaraz.

Wskazał stojący na biurku Nitz wideofon.

Generał podniósł słuchawkę, wydał odpowiedni rozkaz i wyłączył urządzenie.

— I jeszcze jedno — powiedział Lars. — Nie jestem sam.

Nitz zmierzył go wzrokiem.

— Jest ze mną Lila Topczew.

— Zechce nam pomóc? Będzie mogła z nami pracować?

— Czemu nie? Ma zdolności. Przynajmniej tyle samo, co ja.

— Dobrze — zdecydował generał. — Każę zabrać was dwoje do szpitala w Bethesda, gdzie znajduje się starzec. Możecie oboje wejść w ten dziwny, dla mnie nie pojęty stan transu. A swoją drogą, Pete jest już w drodze.

— Świetnie — odparł zadowolony Lars.

Nitz zdobył się na uśmiech.

— Twardy jesteś jak na primadonnę.

— Jestem twardy, bo po pierwsze nie jestem primadonną, a po drugie zbyt się boję, żeby dłużej czekać. Zbyt się boję, że nas dopadną, gdy nie będziemy twardzi.

## 25.

Superszybkim skoczkiem rządowym pilotowanym przez wysokiej klasy profesjonalistę — znudzonego sierżanta Irvinga Blaufarda Lars pędem wrócił do Nowego Yorku i biura firmy Lars Incorporated.

— Czy ta dama — spytał sierżant Blaufard — jest sowiecką projektantką broni? To właśnie ona?

— Tak — odparł Lars.

— I przeszła na naszą stronę?

— Tak.

— Rany — rzekł przejęty Blaufard.

Skoczek spadł jak kamień na dach budynku, w którym mieściła się firma Lars Incorporated, małej budowli pośród wielgachnych kolosów.

— Istotnie zajmuje pan niewiele miejsca, sir — rzekł sierżant Baulfard. — Ale pewnie reszta znajduje się pod ziemią?

— Obawiam się, że nie — odparł Lars ze stoickim spokojem.

— Cóż, w takim razie pewnie nie potrzeba panu wiele sprzętu.

Wprawnie pilotowany skoczek wylądował na znajomym lądowisku. Lars wyskoczył z pojazdu i pognął w stronę rampy z przesuwaną taśmą. Po chwili maszerował korytarzem do swojego biura.

Kiedy otworzył drzwi, z bocznego przejścia, normalnie zamkniętego, wyłonił się Henry Morris.

— Maren jest w budynku.

Lars z ręką na klamce wytrzeszczył oczy.

— To prawda — rzekł Henry kiwając głową. — W jakiś sposób, pewnie za sprawą KACH-u dowiedziała się, że Topczew przyjechała z tobą z Iceland. Może poinformowali ją agenci KVB; żeby się zemścić. Bóg jeden wie.

— Rozmawiała z Lilą?

— Nie. Zatrzymaliśmy ją w holu dla interesantów.

— Kto jej pilnuje?

— Bili i Ed McEntyre z działu zadań specjalnych. Ale ona jest wściekła jak osa. Lars, nie uwierzyłbyś, że to ta sama dziewczyna. Naprawdę. Nie można jej poznać.

Lars otworzył drzwi do biura. Przy oknie stała samotnie Lila i patrzyła na Nowy York.

— Jesteś gotowa? — spytał Lars.

Lila nie odwracając się odparła:

— Wszystko słyszałam; mam strasznie dobry słuch. Jest tu twoja kochanka, prawda? Wiedziałam, że do tego dojdzie. Przewidziałam to.

Na biurku Larsa zadzwonił interkom. Sekretarka, panna Grabhorn rzekła już nie z pogardą, lecz z paniką:

— Panie Lars, Ed McEntyre mówi, że panna Faine uciekła jemu i Billowi Manfredti. Opuściła hol dla interesantów i idzie prosto do pańskiego biura.

— Niech i tak będzie — powiedział Lars.

Chwycił Lilę za ramię, wyprowadził z biura i ruszył z nią korytarzem do najbliższej rampy. Dziewczyna szła biernie jak kukła. Lars doznał wrażenia, że wlecze lekki przedmiot będący jedynie imitacją człowieka, czymś pozbawionym życia i pragnień. Było to uczucie dziwnie nieprzyjemne. Czy Lili było już wszystko jedno, czy też wyczerpała się jej odporność psychiczna? Nie miał jednak czasu na psychologiczne dywagacje, wciągnął Lilę na rampę i oboje pojechali na dachowe lądowisko, gdzie czekał rządowy skoczek.

Kiedy Lars i Lila wjechali na dach, z drugiej rampy zeszła jakaś postać. Była to Maren Faine.

Henry Morris powiedział prawdę: Maren zmieniła się nie do poznania. Miała na sobie długie do kostek futro z wenusjańskich wubków, mały kapelusik z woalką i duże kolczyki ręcznej roboty. Co dziwne, była bez makijażu, nawet nie umalowała ust. Jej twarz była zgaszona i wyblakła. Maren przyniosła ze sobą zimny powiew grobu; zupełnie jakby przeleciała przez Atlantyk na skrzydłach śmierci. Śmierć czaiła się w jej oczach. Spoglądała obojętnie, a jednak z determinacją.

— Hej — powiedział Lars.

— Witam, Lars — wyskandowała Maren. — Witam, panno Topczew.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Lars nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu czuł się bardziej niezręcznie.

— Co słychać, Maren? — powiedział Lars.

— Zadzwonili do mnie z samego Bułganingradu. Ktoś z SeRKeB-u albo z nim związany. Nie wierzyłam, dopóki sama tego nie sprawdziłam przez KACH.

Uśmiechnęła się, po czym sięgnęła do przypominającej kopertę torebki przewieszanej przez ramię na skórzanym pasku.

Rewolwer, który wyjęła, był z pewnością najmniejszym, jaki Lars kiedykolwiek widział.

W pierwszej chwili Lars pomyślał, że to zabawka, atrapa, że Maren wygrała go w automacie do gry. Wpatrywał się w niego próbując określić, co to za jeden, bo w końcu był ekspertem w sprawach broni. Wtedy uświadomił sobie, że rewolwer jest prawdziwy. Był włoskiej produkcji i mieścił się w damskiej torebce.

— Jak się pani nazywa? — odezwała się stojąca obok Larsa Lila.

Jej pytanie było grzeczne, rozsądne, nawet uprzejme. Zdziwiony Lars spojrzał na Lilę wytrzeszczonymi oczami.

O ludziach zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego. Lila kompletnie rzuciła go na kolana: w tak krytycznym momencie, stojąc naprzeciw Maren i jej małej niebezpiecznej broni, Lila Topczew potrafiła zachować się jak osoba dojrzała, jak dama. Co więcej, wykazała się towarzyską ogładą, jakby była na przyjęciu, gdzie roi się od najbardziej szykownych kogów. Stała na wysokości zadania, co zdało się Larsowi kwintesencją człowieczeństwa. Nikt już nie zdołałby go przekonać, że człowiek to po prostu zwierzę poruszające się w pozycji wyprostowanej, które nosi w kieszeni chusteczkę i potrafi odróżnić czwartek od piątku, czy jakie tam inne wziąć kryterium człowieczeństwa... nawet definicja Starego Orvilla, z Szekspira wzięta, była po prostu obraźliwym, cynicznym nonsensem. Cóż to za uczucie, pomyślał Lars, nie tylko kochać tę dziewczynę, lecz również ją podziwiać.

— Nazywam się Maren Faine — odparła Maren rzeczowo i obojętnie.

Na niej gest panny Topczew nie zrobił najmniejszego wrażenia.

Lila ufnie podała jej rękę, najwyraźniej na znak przyjaźni.

— Miło mi — powiedziała — i sądzę, że możemy...

Maren uniosła malutki rewolwer i pociągnęła za spust.

Zapchany brudem, choć na zewnątrz czysty i lśniący mały gadżet wypluł z siebie coś, co można by uznać za pocisk dum-dum w początkowym stadium rozwoju.

Jednak pocisk ewoluował przez lata i nadal zawierał element zasadniczy — ten, który miał zdolność do eksplozowania w chwili zetknięcia z celem. Co więcej, jego kawałki wybuchały w nieskończoność zbierając żniwo w ciele ofiary i jej otoczeniu.

Lars instynktownie padł na ziemię, odwrócił twarz i skulił się w sobie. Zwierzę w jego wnętrzu przyjęło pozycję płodu: podciągnięte pod siebie kolana, broda przy klatce piersiowej, ramiona obejmujące ciało. Wiedział, że nic nie może zrobić dla Lili. Wszystko się skończyło. Na zawsze. Mogą minąć wieki, stulecia mogą bezustannie płynąć jak woda, ale Lila Topczew już nigdy nie pojawi się znowu na świecie.

Lars myślał logicznie jak maszyna, która niezależnie od tego, co dzieje się w otaczającym ją środowisku spokojnie dokonuje obliczeń i analiz. Nie zaprojektowałem tej broni. Ona pochodzi z wcześniejszej epoki. To starożytny potwór. To zło, które odziedziczyliśmy z zamierzchłych czasów. Wróciło z przeszłości, stanęło pod drzwiami mojego życia i odebrało mi, zniszczyło wszystko, co było dla mnie drogie, czego potrzebowałem, co



pragnąłem ochraniać. Wszystko zniknęło za jednym pociągnięciem cyngla, części mechanizmu tak małego, że można by go połknąć, pożreć, wymazać go ze świata w akcie zaspokajania głodu, aktu afirmacji życia.

Teraz jednak nic go nie wymaże.

Lars zamknął oczy i został tam, gdzie leżał. Nie bał się, że Maren może strzelić raz jeszcze, tym razem do niego. Chciał, straszliwie pragnął, by Maren go zastrzeliła.

Otworzył oczy.

Rampa zniknęła. Podobnie dachowe lądowisko. Nie było Maren Faine i jej małej włoskiej broni. Lars nie dostrzegł nigdzie śladów spustoszenia poczynionego przez rewolwer. Nigdzie nie wałały się resztki ciała, drgające krwawe strzępki. Oczom Larsa, choć nie mógł zrozumieć dlaczego, ukazała się ulica w jakimś mieście. Nie był to Nowy York. Czuł, że nastąpił spadek temperatury, że zmienił się klimat. W dali dostrzegł oblodzone górskie szczyty. Zadrżał z zimna, rozejrzał się wokół i usłyszał ryk rakiety powierzchniowego ruchu ulicznego.

Bolały go nogi i chciało mu się pić.

Obok autonomicznej apteki ujrzał budkę wideofoniczną. Wszedł do środka. Czuł, że zeszywniały mu wszystkie członki, był obolały i zmęczony. Wziął do ręki książkę wideofoniczną i spojrzał na okładkę.

Seattle, Washington, przeczytał.

Która godzina? Ile czasu minęło od chwili zajścia na lądowisku? Godzina? Kilka miesięcy? Może lat? Pragnął, by od tamtej chwili dzieliło go możliwie najwięcej czasu. Miał nadzieję, że jego fuga trwała nieskończenie długo, że jest stary, zgrzybiały, że zaraz rozwieje się na wietrze. Pragnął, by jego ucieczka nigdy się nie skończyła. W głębi umysłu Larsa pobrzmiwał na mocy parapsychologicznego kontaktu głos doktora Todta. Doktor nucił jakąś starą balladę. Lars nie rozumiał słów, jednak udzieliła mu się ponura atmosfera klęski, którą roztaczała pieśń. *Und die Hunde schnurren on den alten Mann.* Nagle ni stąd ni zowąd głos doktora Todta rzekł po angielsku: A psy szczekały na starego człowieka.

Lars wrzucił monetę i wykręcił numer Stowarzyszenia Lanfermana w San Francisco.

— Proszę mnie połączyć z Pete'em Freidem.

— Pan Freid — rzekła radośnie panienska z centrali — wyjechał.

— Wobec tego poproszę Jacka Lanfermana.

— Pan Lanferman także... chyba mogę panu powiedzieć, panie Lars. Obaj panowie są w Festung Waszyngtonie. Wyjechali wczoraj. Prawdopodobnie tam uda się panu z nimi skontaktować.

— Dobrze — powiedział. — Dziękuję. Poradzę sobie.

Potem zadzwonił do generała Nitza. Długo czekał na zrealizowanie połączenia.

Przełączano go od centrali do centrali i kiedy miał już dość i chciał odwiesić słuchawkę, znalazł się twarzą w twarz z samym wodzem.

— KACH nie mógł pana znaleźć — powiedział Nitz. — Ani FBI i CIA.

— Psy warczały — rzekł Lars — na mnie. Słyszałem je. Nitz, słyszałem je po raz pierwszy w życiu.

— Gdzie pan jest?

— W Seattle.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Lars, wygląda pan okropnie. Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, co robi i mówi? Co to za psy?

— Nie wiem — odparł Lars. — Ale naprawdę je słyszałem.

— Żyła sześć godzin — powiedział generał Nitz. — Ale i tak nie miała szans, by z tego wyjść. Ale może pan o wszystkim wie?

— Nic nie wiem.

— Zwlekano z pogrzebem, myśleliśmy, że pan się zjawi. Próbowaliśmy pana odszukać. Jak rozumiem, pan wie, co się z panem stało?

— Wszedłem w trans.

— Czy to już się skończyło?

Lars skinął głową.

— Lila jest razem...

— Co? — spytał Lars.

— Lila jest w Bethesda. Z Ricardo Hastingsem. Próbuje zrobić użyteczny szkic. Zrobiła już kilka, ale...

— Lila nie żyje — przerwał mu Lars. — Maren zabiła ją włoską berettą kaliber 12. Sam widziałem.

Generał Nitz rzucił mu uważne spojrzenie.

— Maren Faine istotnie wypaliła z beretty kaliber 12. Mamy tę broń, resztki kuli i odciski palców Maren. Jednak ona zabiła siebie, nie Lilę.

— Nie wiedziałem — rzekł po chwili Lars.

— No cóż — powiedział generał Nitz — kiedy beretta wystrzeliła, ktoś musiał umrzeć. Taki to już rewolwer. To istny cud, że nie zginęliście wszyscy troje.

— Ona popełniła samobójstwo. Wszystko zaplanowała. Jestem tego pewien — odparł Lars. — Pewnie w ogóle nie miała zamiaru zabić Lili, nawet jeśli przyszła jej taka myśl do głowy.

Westchnął, znużony i zrezygnowany. Nie była to rezygnacja w stoickim stylu, po prostu poddał się.

Nic już nie można było zrobić. Wszystko wydarzyło się w czasie jego transu i fugi.

Dawno, dawno temu. Maren nie żyła. Lila była w Bethesda. On zaś po odbyciu podróży do nikąd, zlądował w centrum Seattle. Widocznie uciekł najdalej jak tylko mógł od Nowego Yorku, gdzie stało się to wszystko, o czym sądził, że się stało.

— Może pan tutaj wrócić? — zapytał generał Nitz. — Żeby pomóc Lili? Jej nic nie wychodzi; bierze ten swój narkotyk, ten wschodnioniemiecki preparat, wpada w trans tuż obok Ricarda Hastingsa, w pobliżu nie ma żadnych innych umysłów, żeby jej nie rozpraszać. A mimo to, gdy przychodzi do siebie, okazuje się, że...

— Robi te same stare szkice, które pochodzą od Orala Giacominięgo.

— Nie.

— Jest pan pewny?

Ospały i znużony Lars nagle oprzytomniał.

— Te szkice są zupełnie inne od wszystkiego, co dotąd rysowała. Zbadał je Pete Freid i też to stwierdził. I ona to mówi. Szkice zawsze przedstawiają to samo.

Lars przeraził się.

— Co?

— Proszę się uspokoić. To w ogóle nie jest broń, to coś nawet trochę nie przypomina Generatora Zakrzywienia Czasoprzestrzeni. Szkice przedstawiają anatomię i fizjologię...

Generał Nitz zawahał się. Nie wiedział, czy zdradzić Larsowi sekret, bo ludzie z KVB prawdopodobnie podsłuchiwali rozmowę.

— Proszę dokończyć — rzekł Lars chrapliwie.

— Szkice przedstawiają androida. Jest to android dość nietypowy, ale jednak android. Przypomina te, które Stowarzyszenie Lanfermana wykorzystuje do testowania broni. Wie pan, co mam na myśli? Ten android do złudzenia przypomina człowieka.

— Przylecę możliwie najszybciej — powiedział Lars.

## 26.

Na ogromnym lądowisku na dachu szpitala wojskowego spotkał trzech elegancko umundurowanych młodych żołnierzy piechoty morskiej. Obstawili go tak, jakby był samym generałem Nitzem czy może, przyszło mu na myśl, kryminalistą albo zlepkim jednego i drugiego. Razem ruszyli w dół rampy na poziom o ograniczonym dostępie, na którym znajdowało się t o.

To. Nie takie słowo jak oni. Lars zwrócił uwagę na swoją próbę odczłowieczenia działalności, z którą miał mieć do czynienia.

Zwrócił się do eskorty:

— To i tak lepiej, niż wpaść w ręce, o ile mają ręce, obcych łowców niewolników z jakiegoś odległego systemu gwiazdowego.

— Co, sir?

— Nic — odparł Lars.

Najwyższy z nich, a naprawdę był wysoki, powiedział:

— Ma pan coś tam, sir.

Gdy ich grupa minęła ostatnią barierę zabezpieczającą, Lars powiedział do wysokiego żołnierza:

— Widziałeś tego starego weterana, tego Ricardo Hastingsa, na własne oczy?

— Przez chwilę.

— Ile według ciebie ma lat?

— Może dziewięćdziesiąt. Sto. Może jest nawet starszy.

— Ja nigdy go nie widziałem — powiedział Lars.

Przed nimi otworzyły się ostatnie drzwi — musiały mieć jakiś superczujnik, dzięki któremu odgadywały, ile dokładnie osób może przez nie przejść; za nimi Lars zobaczył odziany w biel personel medyczny.

— Ale założę się z tobą — powiedział, gdy wrażliwe drzwi zamknęły się cicho za ich plecami — o wiek Ricardo Hastingsa.

— Okay, sir.

Lars powiedział:

— Sześć miesięcy.

Trzej żołnierze wytrzeszczyli oczy.

— Nie — ciągnął Lars. — Poprawka. Cztery miesiące. Nie dodał ani słowa i zostawił swoją eskortę, bowiem zobaczył Lilę Topczew.

— Cześć.

Odwróciła się od razu.

— Cześć. — Uśmiechnęła się przelotnie.

— Myślałem, że jesteś w domku Prosiaczka — powiedział. — W odwiedzinach u Prosiaczka.

— Nie — odparła. — Jestem w chatce Puchatka w odwiedzinach u Puchatka.

— Kiedy ta beretta wypaliła...

— O Chryste, myślałam, że już po mnie, ty też tak myślałeś; byłeś pewien i nie mogłeś spojrzeć. Czy to miałam być ja? Chyba nie. I ja zrobiłabym to samo; nie spojrziałabym, gdybym przypuszczała, że to ty dostałeś. Jak postanowiłam, myślałam i myślałam, nie przestawałam myśleć... Tak cholernie się o ciebie martwiłam, nie wiedziałam, dokąd poszedłeś — byłeś w transie i po prostu odszedłeś. Ale, wracając do niej, doszłam do wniosku, że nigdy wcześniej nie strzelała z tego pistoletu. Nie miała najmniejszego pojęcia, co robi.

— A ty co teraz robisz?

— Pracowałam. O Boże, jak ja pracowałam. Chodź do sąsiedniego pokoju i obejrzyj go sobie. — Ponuro wskazała mu drogę. — Mówili ci, że nie miałam szczęścia?

Lars powiedział:

— Mogło być gorzej, zważywszy, co dzieje się z nami mniej więcej co godzinę. — W czasie podróży na wschód zorientował się w rozmiarze dokonywanego przez wroga spustoszenia. To była groteska. Jako nieszczęście nie miała odpowiednika w historii.

— Ricardo Hastings mówi, że oni są z Syriusza — rzekła Lila. — Są łowcami niewolników, jak podejrzewaliśmy. Są chitynowi i ich fizjologiczna hierarchia datuje się na miliony lat wstecz. Na planetach ich systemu, nieco mniej niż dziewięć lat świetlnych stąd, formy życia zmiennocieplnego nigdy nie wyszły poza etap lemurów. Nadrzewnych, o lisich pyskach, głównie nocnych, niektórych z chwytymi ogonami. Z tego powodu uważają nas jedynie za zdolne do odczuwania dziwołagi. Po prostu wysoko zorganizowane woły robocze, które są nieco zręczniejsze manualnie. Podziwiają nasz kciuk. Możemy wykonywać wszelkie rodzaje niezbędnych prac; myślą o nas tak, jak my o szczurach.

— My przez cały czas testujemy szczury. Staramy się je poznać.

— Ale — kontynuowała Lila — posiadamy lemurzą ciekawość. Gdy usłyszymy hałas, wystawiamy łebki z naszych nerek, aby zobaczyć, co się dzieje. Oni nie. Wydaje się, że wśród form chitynowych, nawet wysoko rozwiniętych, nadal ma się do czynienia

przede wszystkim z maszynami działającymi na zasadzie odruchu. Porozmawiaj o tym z Hastingsem.

— Nie jestem zainteresowany.

Przed nimi, za otwartymi drzwiami, siedział chudy niczym szkielet starzec, którego zapadnięta, podobna do zwiędłej dyni twarz obracała się powoli jak napędzana silnikiem. Oczy nie mrugały. Nie odbijały się w nich żadne emocje. Organizm został wprowadzony do poziomu odbierającej bodźce maszyny. Narządy zmysłów nieprzerwanie pobierały dane, chociaż Bóg wiedział, ile ich trafiało do mózgu i podlegało zarejestrowaniu i zrozumieniu. Może absolutnie nic.

Pojawiła się znajoma postać z podkładką do notowania w ręku.

— Wiedziałem, że w końcu przyjdiesz — powiedział doktor Todt, lecz mimo to wyglądał na człowieka, któremu spadł kamień z serca. — Chodziłeś?

— Prawdopodobnie — odparł Lars.

— Nie pamiętasz.

— Niczego. Ale jestem zmęczony.

— Chodzenie — zaczął doktor Todt — jest tendencyjne nawet dla głównych psychoz, gdy jest dość czasu. Rozwiązanie Nomadów. Tylko że w większości przypadków nie ma dość czasu. Co do ciebie, nie ma czasu w ogóle. — Odwrócił się w stronę Ricardo Hastingsa. — Co do niego, czego zamierzasz najpierw spróbować?

Lars przyjrzał się uważnie starcowi.

— Biopsji.

— Nie rozumiem.

— Chcę pobrać fragment tkanki. Nie obchodzi mnie skąd, z obojętnie jakiego miejsca.

— Po co?

— W dodatku do analizy mikroskopowej chcę mieć datowanie metodą radiowęglową. Na ile dokładna jest ta nowa metoda C-17-B?

— Do ułamków roku. Miesiące.

— Tak myślałem. W porządku, nie będzie żadnych szkiców, transów ani jakiegokolwiek innej aktywności z mojej strony, dopóki nie będę miał wyników datowania.

Doktor Todt wzruszył ramionami.

— Któż może kwestionować sposoby Nieśmiertelnych?

— Ile czasu to zajmie?

— Możemy mieć wyniki o trzeciej po południu.

— Dobrze — powiedział Lars. — Wezmę prysznic, kupię nową parę butów i chyba nowy płaszcz. Żeby poprawić sobie samopoczucie.

— Sklepy są pozamykane. Ludzie w sytuacji krytycznej pozostają pod ziemią. Obszary zajęte przez wroga obejmują obecnie...

— Nie recytuj mi listy. Słyszałem po drodze.

Lila zapytała:

— Chcesz zobaczyć moje szkice, Lars?

— Zerknę na nie. — Wyciągnął rękę i po chwili otrzymał plik szkiców. Przekartkował je pobieżnie i zobaczył to, czego się spodziewał. Ni mniej, ni więcej. Położył papiery na pobliskim stole.

— Są szczegółowym opracowaniem — podkreślił doktor Todt.

— Androida — rzekła z nadzieją Lila, nie odrywając oczu od Larsa.

— Jego — poprawił Lars. Wskazał na wiekową zgarbioną postać o obracającej się niczym wieżyczka armatnia głowie. — Albo raczej tego. Nie wyłapałaś zawartości jego umysłu. Wychwyciłaś anatomiczne elementy tworzące jego bazę biochemiczną. Co sprawia, że działa. Że to jest mechanizm. — Dodał: — Zdaję sobie sprawę, że to android i wiem, że datowanie radiowęglowe pobranej próbki to potwierdzi. Tym, czego chcę się dowiedzieć, jest jego wiek.

Po dłuższej chwili milczenia doktor Todt zapytał chrapliwie:

— Dlaczego?

— Jak długo — powiedział Lars — obcy są wśród nas?

— Tydzień.

— Wątpię, czy tak doskonały android mógłby zostać poskładany w ciągu tygodnia.

Lila wtrąciła:

— Zatem, o ile masz rację, budowniczy wiedział..

— Och, do diabła — zaklął Lars. — Mam rację. Popatrz na własne szkice i powiedz mi, czy nie są to szkice „Ricardo Hastingsa”. O to mi chodzi. Dalej. — Pozbierał szkice, podał jej; wzięła je i lekko kiwając głową przeglądała po kolei, bez zainteresowania, mechanicznie.

— Kto mógłby zbudować takiego doskonałego androida? — zapytał doktor Todt, zerkając Lili przez ramię. — Kto ma odpowiednie zaplecze i zdolności, nie wspominając o... inwencji twórczej?

— Stowarzyszenie Lanfermana — powiedział Lars.

— Kto jeszcze? — zapytał doktor Todt.

— Nikt, o kim bym wiedział. — Dzięki KACH-owi oczywiście miał dokładne pojęcie o zapleczu Wschodniego Oka. Nie mieli niczego porównywalnego. Nic nie mogło równać się ze Stowarzyszeniem Lanfermana, które rozciągało się pod powierzchnią ziemi od San Francisco po Los Angeles; ekonomiczny, przemysłowy organizm, długi na pięćset mil.

— A produkowanie androidów, które nawet przy drobiazgowym badaniu mogły ujść za autentyczne istoty ludzkie, było jednym z ich głównych przedsięwzięć.

Nagle Ricardo Hastings zarechotał:



— Gdyby nie było tego wypadku, kiedy udar mocy przeciążył...

Lars podszedł i przerwał mu.

— Jesteś organizmem autonomicznym?

Spojrzały nań stare, mętne oczy. Ale odpowiedź nie padła; zapadnięte usta nie poruszyły się.

— Śmiało — przynaglił Lars. — Jaki, autonomiczny czy zdalnie sterowany? Homeostatyczny czy może jesteś receptorem instrukcji pochodzących z zewnątrz? Szczerze mówiąc przypuszczam, że jesteś w pełni autonomiczny. Zaprogramowany z góry. — I zwracając się do Lili i doktora Todta powiedział: — To wyjaśniałoby coś, co nazywacie jego „zgrzybiałością”. Stałe powtarzanie pewnych stereotypowych jednostek semantycznych.

Ricardo Hastings, śliniąc się, wymamrotał:

— Chłopcze, ale im dołożyliśmy. Nie spodziewali się tego; myśleli, że jesteśmy już pobici. Nasi projektanci broni zawiedli. Obcy byli przekonani, że mogą tak po prostu wejść i przejąć kontrolę, aleśmy im pokazali, że jest inaczej. Paskudnie, że wy, ludzie, nie pamiętacie; było to przed wami. — On (czy to) zachichotał, wlepiając nie widzące oczy w podłogę, krzywiąc usta w grymasie zadowolenia.

— Ja — powiedział Lars po chwili — chyba nie kupuję pomysłu z przenoszoną w czasie bronią.

— Zrobiliśmy z nich miazgę — bełkotał Ricardo Hastings. — Wykrzywiliśmy wektor czasu i wysłaliśmy ich cholerne satelity milion lat w przeszłość. — W jego oczach na mgnienie zabłyśła iskierka życia. — Utknęli na orbicie planety nie zamieszkannej, jeśli nie liczyć pajaków i pierwotniaków... Jakież to przykre. Bo my ot tak capnęliśmy ich naszym G. Z. C. i wyekspediowaliśmy obcych w dostatecznie odległą przeszłość. Mają tę swoją inwazję na Ziemię, tak jak chcieli... tyle, że w epoce trylobitów. Ha! Tłuc trylobity, kijem uczyć je pokory, to w sam raz dla nich, z trylobitami pójdzie im łatwo. Ale my! — Stary weteran parsknął triumfalnie.

O wpół do trzeciej, po oczekiwaniu, którego Lars za żadną cenę nie chciałby przeżyć jeszcze raz, szpitalny pomocnik przyniósł wyniki testu tkanki starego człowieka.

— Co mówią dane? — zapytała Lila, podnosząc się ociężale. Jej oczy wpijały się w twarz Larsa, gdy próbowała wychwycić jego reakcję.

Lars podał jej pojedynczy arkusz.

— Sama przeczytaj.

— Ty mi powiedz — rzekła słabym głosem.

— Analiza mikroskopowa wykazała, że niewątpliwie jest to tkanka ludzka, nie synte... to znaczy, nie androidzka. Procedury datowania metodą C — 17 — B zastosowane do pobranej próbki tkanki wykazały, że ma ona od stu dziesięciu do stu piętnastu lat. A być może jest nawet starsza.

— Myliłeś się — skomentowała Lila. Lars, kiwając głową, przyznał:

— Tak.

Ricardo Hastings zarechotał pod nosem.

## 27.

W tej rozgrywce, powiedział sobie Lars Powderdry, zawiodłem tak kompletnie jak wówczas, gdy zawiodłem w autentycznie krytycznej chwili, gdy trzeba było znaleźć broń. Nie zdobyłem dla nich żadnego prawdziwego punktu, prócz tych w grze, w którą Wschodnie Oko i Zachbłok grały przez wszystkie te lata Ery Lemieszowania, w której okpiłiśmy mnóstwo prosapów, dla ich własnego dobra, dzięki ich własnym skłonnościom.

Jednakże sprowadziłem Lilę do Waszyngtonu, pomyślał. Może to powinno zostać umieszczone w księgach rekordów jako prawdziwy wyczyn. Ale — co to dało, poza okropnym samobójstwem Maren Faine, która miała wszelkie powody, by żyć, by w pełni cieszyć się szczęśliwym życiem?

Rzucił do doktora Todta:

— Proszę moje *escalatium* i *conjorizine*. Dwie zwyczajne dawki. — A do Lili powiedział: — Ty weź ten produkt wschodnioniemieckiej firmy, na który masz monopol. Chcę, żebyś tym razem zażyła podwójną dawkę. To jedyny sposób na zwiększenie naszej wrażliwości, jaki potrafię wymyślić, a chcę, żebyśmy byli wrażliwi, jak tylko zdołają wytrzymać nasze organizmy. Ponieważ prawdopodobnie będziemy mogli spróbować tylko raz.

— Zgadzam się — przytaknęła posepnie Lila.

Drzwi zamknęły się za Todtem i członkami szpitalnego personelu. On i Lila oraz Ricardo Hastings zostali odcięci od świata.

— Taka dawka — powiedział do Lili — może zabić jedno z nas albo oboje, albo uszkodzić nas na stałe. Wątroby, mózgi...

— Zamknij się! — warknęła Lila. I przełknęła tabletki, popijając je wodą z kubka.

On zrobił to samo.

Przez chwilę siedzieli patrząc na siebie, ignorując bełkocącego, śliniącego się obok starca.

— Czy kiedykolwiek dojdiesz do siebie — zapytała Lila — po jej śmierci?

— Nie. Nigdy.

— Winisz mnie? Nie, obwiniasz siebie.

— Obwiniam ją — powiedział Lars. — Przede wszystkim za posiadanie tej żalostnej, wszawej beretty; nikt nie powinien nosić przy sobie broni ani nawet jej mieć; nie żyjemy w dżungli.

Przerwał. Leki wywierały efekt; paraliżowały mu szczęki niczym potężna dawka fenotiazyny. Zamknął oczy i pogrążył się w cierpieniu. Ta dawka, o wiele za duża, porywała go i nie mógł już ani widzieć, ani nawet czuć obecności Lili Topczew. Paskudnie, pomyślał. I doświadczał nie tyle strachu, ile żalu, i bólu, gdy wokół niego kondensowała się chmura, gdy zaczęło się znajome opadanie — a może wznoszenie? — wyolbrzymione, spotęgowane poza wszelkie rozsądne granice, przez świadome przedawkowanie narkotyków.

Mam nadzieję, łudził się, że ona nie musi znosić tego samego; mam nadzieję, że dla niej jest to łatwiejsze — i ta świadomość czyni wszystko łatwiejszym dla mnie.

— Naprawdę ich załatwiliśmy — mamrotał Ricardo Hastings, chichocąc, sapiąc, ociekając śliną.

— Tak? — zdołał wydusić Lars.

— Tak, panie Lars — odparł Ricardo Hastings. I mało zrozumiąły, płytki bełkot stał się jakby wyraźniejszy, klarowny. — Ale nie za pomocą tak zwanego Generatorsa Zakrzywienia Czasoprzestrzeni. To wymysł, w złym tego słowa znaczeniu. Mam na myśli przykrywkę. — Starzec zachichotał, ale tym razem chrapliwie. Inaczej.

Lars, z nieopisaną trudnością, zapytał:

— Kim jesteś?

— Jestem zabawką — odparł starzec.

— Zabawką!

— Tak, panie Lars. Początkowo elementem gry wojennej wymyślonej przez Klug Enterprises. Niech pan szkicuje, panie Lars. Panna Topczew bez wątpienia szkicuje, ale nie zdając sobie sprawy jedynie powtarza bezwartościowe prezentacje wizualne wcześniej produkowane... i zignorowane przez wszystkich prócz pana. Rysuje mnie. Miał pan absolutną rację.

— Ale jest pan stary.

— Panu Klugowi wpadło do głowy proste techniczne rozwiązanie. Przewidział możliwość, a prawdę mówiąc, nieuchronność zastosowania nowego testu określania wieku metodą C-17-B. Dlatego moje elementy składowe są modyfikacjami materii organicznej dojrzewającej przez nieco ponad sto lat. O ile to wyrażenie nie budzi w panu wstrętu.

— Nie budzi — powiedział, czy pomyślał, Lars. Nie potrafił już stwierdzić, czy naprawdę mówi na głos. — Po prostu w to nie wierzę.

— Zatem — podjął Hastings — niech pan rozważy inną możliwość. Jestem androidem, jak pan podejrzewał, ale zbudowanym ponad sto lat temu.

— W 1898? — zapytał Lars z bezbrzeżną pogardą. — Przez wytwarzający bryczki koncern w Nebrasce? — Roześmiał się (albo tylko spróbował). — Podaj mi jeszcze jedną. Jeszcze jedną teorię, która pasowałaby do tego, co ty wiesz i co ja uważam za fakty.

— Tym razem chciałby pan poznać smak prawdy, zgadza się, panie Lars? Prawdy podanej bez osłonek, bez niedomówień? Czy czuje się pan na siłach? Szczerze? Jest pan pewien?

Po chwili Lars powiedział:

— Tak.

Miękki, cichy głos, składający się z tym nawiązanym w głębokim transie kontakcie być może wyłącznie z myśli, poinformował go:

— Panie Lars, jestem Vincent Klug.

## 28.

Ten drobny cwaniaczek. Nieznaczący, o znikomej wiarygodności, zwariowany człowiek — zabawka — powiedział Lars.

— To prawda. Nie android, ale człowiek taki jak pan, tylko stary, bardzo stary. U kresu swych dni. Nie taki, jakiego pan spotkał i widział pod powierzchnią, w Stowarzyszeniu Lanfermana. — Głos był zmęczony, bezdźwięczny. — Żyłem długo i widziałem wiele. Widziałem Wielką Wojnę, jak powiedziałem. Jak mówiłem każdemu, kto chciał mnie słuchać, gdy siedziałem na parkowej ławce. Wiedziałem, że właściwa osoba w końcu przyjdzie, i tak się stało. Zabrali mnie do środka.

— I był pan bohaterem w tej wojnie?

— Nie. Ani nie byłem najważniejszy, ani nie było żadnej broni. Instrument odkształcający czas istnieje, będzie istniał, ale nie był czynnikiem decydującym w czasie Wielkiej Wojny przeciwko łowcom niewolników z Syriusza. To wymyśliłem. Za sześćdziesiąt cztery lata, w 2068, użyję go, by wrócić.

Klug westchnął.

— Nie rozumie pan. Mogę wrócić tutaj z 2068; zrobiłem tak. Jestem tutaj. Ale nie mogę zabrać z sobą niczego. Ani broni, ani żadnych przedmiotów, informacji, idei, najmniej znaczącej pod względem technologicznym zabawki prosapa. Niczego. — Głos był dziki, rozbrzmiewała w nim gorycz. — Śmiało! Szturchnij mnie telepatycznie, podhib w moich wspomnieniach i wiedzy o następnych sześciu dziesięcioleciach. Wyciągnij ze mnie charakterystyki Generatorsa Zakrzywienia Czasoprzestrzeni. I daj to Pete'owi Freidowi ze Stowarzyszenia Lanfermana w Kalifornii; wydaj rozkaz, każ zbudować prototyp i użyj go przeciw obcym. Śmiało! Wiesz, co się stanie? To mnie skasuje, panie Lars. — Głos ciął go, ogłuszał. Okrutny. Zniekształcony przez mściwość i przez daremność sytuacji. — A kiedy to mnie skasuje, przez narzucenie alternatywnej ścieżki czasu skasuje również broń. A wywołana w ten sposób oscylacja, w której będę uwięziony, będzie trwała w nieskończoność.

Lars milczał. Nie zaprzeczał; słowa Kluga wydawały się oczywiste i zaakceptował je.

— Podróżowanie w czasie — podjął stary, wyniszczony Klug z przyszłości, która

miała się wydarzyć za sześćdziesiąt cztery lata — jest jednym z mechanizmów podlegającym najsurowszym ograniczeniom, które zostały ustalone przez instytucjonalny system badawczy. Chce pan wiedzieć dokładnie, jak bardzo jestem ograniczony, panie Lars, w tej chwili czasu, która dla mnie ma miejsce ponad sześćdziesiąt lat w przeszłości? Widzę wszystko, co się stanie, i nie mogę nic powiedzieć, nie mogę poinformować pana; nie mogę być wyrocznią. Nic! Wszystkim, co mogę zrobić, a jest to bardzo mało, lecz może wystarczy... ja wiem, czy to wystarczy, ale nie mogę podejmować ryzyka zdradzenia panu nawet tego... jest zwrócenie pańskiej uwagi na pewien przedmiot, artefakt czy aspekt pańskiego obecnego otoczenia. Rozumie pan? To już musi istnieć. Obecność tego czegoś w żaden sposób nie może być uzależniona od mego powrotu stąd do przeszłości.

— Hmm — mruknął Lars.

— „Hmm” — przedrzeźnił drwiąco Vincent Klug.

— No cóż — zaczął Lars. — Co mogę powiedzieć? Wszystko zostało powiedziane; teraz po prostu przejdziemy przez to krok po kroku.

— Zapytaj mnie o coś.

— Dlaczego?

— Po prostu zapytaj! Wróciłem nie bez powodu; czy nie jest to oczywiste? Boże, jestem spętany tym cholernym prawem, nazywa się... — Klug urwał, zdławiony własną bezsilnością i furją.

— Nawet nie mogę podać ci nazwy prawa, które mnie ogranicza — powiedział ze słabnącą siłą. Walka o nawiązanie porozumienia bez wychodzenia poza wąską, właściwą ścieżkę wyczerpywała go w sposób widoczny.

Lars powiedział:

— Zgadywanki. To prawda; lubisz gry.

— Dokładnie. — W suchym jak kurz głosie zaczęła pulsować nowa energia. — Ty zgadujesz. Ja albo odpowiem, albo nie.

— Coś istnieje teraz, w naszych czasach, w 2004.

— Tak! — Szaleńcze, wibrujące, buczące podniecenie; szaleńczy przyływ życiodajnej siły.

— Ty, w tym okresie czasu, nie jesteś kogłem. Jesteś na zewnątrz i to jest fakt. Próbowałeś zwrócić na to uwagę NZ-Z Narbez-u, ale skoro nie jest się kogłem, nikt nie chce słuchać.

— Tak!

— Prototyp roboczy?

— Tak. Projekt Pete'a Freida. Skonstruowany w czasie wolnym. Po tym, jak Jack Lanferman dał pozwolenie na korzystanie z warsztatów firmy.

— Gdzie jest teraz to urządzenie?



Długie milczenie. Potem, urywane, w udręce:

— Boję się... powiedzieć... zbyt wiele.

— Pete je ma.

— N-nie.

— Dobrze. — Lars zastanowił się. — Dlaczego nie spróbowałeś porozumieć się z Li-  
lą? — zapytał. — Kiedy ona weszła w trans i sondowała twój umysł?

— Ponieważ — wyszeptał Klug ze zmęczeniem w suchym, spiesznym głosie — ona  
jest ze Wschodniego Oka.

— Ale prototyp...

— Widzę przyszłość. Ta broń, panie Lars, jest przeznaczona tylko dla Zachbłoku.

— Czy obecnie ta broń znajduje się w Festung Waszyngtonie?

Głos wiekowego Vincenta Kluga zamierał stopniowo.

— Gdyby tak było, nie rozmawiałbym z panem. Wróciłbym do własnego czasu.

— Dodał: — Szczerze mówiąc, przebywając tutaj mam wiele do stracenia, przyjacielu.  
Nauki medyczne mojej ery są w stanie podtrzymywać moje życie na znośnym pozio-  
mie. Jednakże to nie jest ważne w tym roku, w 2004. — W jego głosie pulsowało zmę-  
czenie i pogarda.

— Rozumiem to urządzenie — powiedział Lars — i westchnął — ta broń pochodzi  
z mojego czasu, nie z przyszłości. Pan miał prototyp. Prototyp prawdopodobnie dzia-  
ła. Więc albo zabrał go pan z powrotem do swojej fabryczki, albo czymkolwiek to jest,  
pan nad tym pracuje! — Przez długi czas zastanawiał się, obracając w myślach uzyska-  
ne dane. — W porządku — powiedział. — Nie muszę już pana o nic pytać; nie musimy  
tego przeciągać. Lepiej nie ryzykować. Zgadza się pan?

— Zgadzam się — odparł Klug — o ile czuje pan, że może kontynuować na własną  
rękę, z tym, co pan wie i niczym więcej.

— Znajdę to urządzenie.

Oczywiście musiał natychmiast skontaktować się z Vincentem Klugiem z teraż-  
niejszości, by wyciągnąć od niego to urządzenie. Ale — właśnie to sobie uświadomił  
— Vincent Klug z roku 2004 wcale nie musiał uważać wynalezionego urządzenia za  
broń.

Tym samym mógł nie mieć pojęcia, o co chodzi; Klug mógł posiadać tuzin, dwa tu-  
ziny typowych, głupawych, mało znaczących konstrukcji na wszelkich możliwych eta-  
pach, od pobieżnych szkiców przez opracowane projekty po finalne artykuły gotowe do  
sprzedaży hurtowej.

Przedwcześnie zerwał kontakt z sędziwym Vincentem Klugiem z roku 2068.

— Klug — powiedział natychmiast, nagłaco. — Jaka to zabawka? Daj mi jakąś wska-  
zówkę. Gra planszowa? Gra wojenna? — Nasłuchiwał.

W jego uszach, gdy wypowiadał te słowa, zazgrzytał głos starca — nie był to telepa-

tyczny odbiór myśli, a znane mamrotanie:

— Tak, naprawdę daliśmy im łupnia, tym łowcom niewolników; jasne, nie spodziewali się, że wystąpimy z czymkolwiek. — Starzec sapał i chichotał z zadowolenia. — Nasi projektanci broni byli na straconych pozycjach. Przynajmniej tak myśleli obcy.

Lars, drżący, otworzył oczy. Głowa pękała mu z bólu. Skrzywił się w oślepiającym blasku sufitowego światła. Obok siebie zobaczył Lilę Topczew, zgarbioną, bezwładną, z palcami zaciśniętymi na piórze... zawieszonym nad czystym, nietkniętym arkuszem białego papieru.

Trans, telepatyczna więź z niejasnym, wewnętrznym umysłem starego „weterana wojennego” Vincenta Kluga, dobiegła końca.

Patrząc w dół Lars zobaczył własną rękę zaciśniętą na piórze i własną kartkę. Oczywiście nie było na niej szkicu: nie był tym zaskoczony.

Ale papier nie był pusty.

Widniało na nim jedno zdanie, nagryzmołone tak, jakby piórem wodziły niezdarne, nie wprawione palce dziecka.

Zdanie brzmiało:

(Nieczytelne, krótkie słowo) *w labiryncie*.

Coś w labiryncie, pomyślał Wubek? Możliwe. Miał wrażenie, że rozpoznaje ek. I słowo składało się z pięciu liter, z których drugą — teraz, gdy przyjrzał się uważnie, był tego pewien — było u.

Wstał chwiejnie i wyszedł z pokoju; otwierał drzwi jedno po drugim, w końcu znalazł pielęgniarza.

— Gdzie jest wideofon? — zapytał.

Usiadł wreszcie przy stole, na którym spoczywał aparat. Drżącymi palcami wybrał numer nowojorskiego biura Henry’ego Morrisa.

Po chwili miał Henry’ego na ekranie.

— Złap tego wytwórcę zabawek, Vincentego Kluga — powiedział Lars. — Ma jakąś dziecięcą zabawkę, jakiś labirynt, który przeszedł przez Stowarzyszenie Lanfermana. Istnieje model roboczy. Zbudował go Pete Freid.

— Zrobione — powiedział Henry, kiwając głową.

— W tej zabawce — ciągnął Lars — jest broń. Broń, której możemy użyć przeciwko obcym i wygrać. Nie mów Klugowi, po co ci ona. Kiedy będziesz ją miał, przyślij mi ją do Festung Waszyngtonu i żeby nie było zbędnych opóźnień.

— Przyślę — obiecał Henry Morris.

Gdy się rozłączył, Lars usiadł, raz jeszcze podniósł arkusz papieru, przyjrzał się nabażranemu zdaniu. Na litość boską, co to za niewyraźne słowo? Prawie je miał...

— Jak się czujesz? — Pojawiła się Lila Topczew, z załzawionymi oczyma, pocierająca czoło, gładząca potargane włosy. — Boże, jest mi niedobrze. I znów nic nie mam. — Usiadła ciężko naprzeciw niego, opierając głowę na rękach. Po dłuższej chwili wstała, wzdychając, i zerknęła na trzymaną przez niego kartkę. — To odebrałeś? W czasie transu?

Zmarszczyła brwi, jej usta poruszyły się.

— Coś... *w labiryncie*. To pierwsze słowo... — Przez pewien czas milczała, a potem stwierdziła: — Aha. Wiem, co to znaczy.

— Wiesz? — Zniżył kartkę i z jakiegoś powodu poczuł chłód.

— To słowo brzmi ludek — powiedziała Lila. — „Ludek w labiryncie”. Człowiek w labiryncie; tak napisałeś w transie. Zastanawiam się, co to znaczy.

## 29.

Później, pod powierzchnią, Lars siedział w jednym z wielkich, cichych pokoi konferencyjnych kremla Festung Waszyngtonu, stolicy całego Zachodniego Bloku z jego dwoma miliardami mieszkańców. (Teraz było ich dużo mniej, ale Lars nie myślał o tym; był skoncentrowany na czymś innym.)

Siedział przed leżącą na stole rozpakowaną przesyłką od Henry'ego Morris a. List od Henry'ego poinformował go, że ten przedmiot był jedyną zabawką — labiryntem opracowaną przez Klug Enterprises i zmontowaną przez Lanfermana w ciągu ostatnich sześciu lat.

Był to mały, kwadratowy przedmiot.

Do niego dołączona była drukowana broszurka z fabryki Vincenta Kluga. Lars przeczytał ją kilka razy.

Labirynt sam w sobie był dość prosty, ale dla swego uwięzionego mieszkańca stanowił przeszkodę nie do pokonania. Ponieważ labirynt zawsze wyprzedza o krok swą ofiarę. Mieszkaniec nie mógł wygrać, nieważne jak szybko czy jak przemyślnie albo niestrudzenie pędził, skręcał, wracał po własnych śladach, próbował jeszcze raz, szukając jedynej właściwej (Czy musiała być jakaś właściwa?) kombinacji. Nie mógł uciec. Nigdy mógł nie poznać smaku wolności. Ponieważ labirynt, zasilany dziesięcioletnią baterią, stale ulegał zmianie.

Jakaś zabawka, pomyślał Lars. Jakiś pomysł, który stanowi „zabawę”.

Ale to stwierdzenie było niczym; nie wyjaśniało, co ma przed sobą na stole. Ponieważ labirynt był psychologicznie wyrefinowaną zabawką, jak określała broszura. Nowością, natchnionym składnikiem, dzięki któremu producent zabawek Vincent Klug spodziewał się wprowadzić tę pozycję na rynek, był czynnik empatyczny.

Pete Freid, siedzący obok Larsa, powiedział:

— Do diabła, sam to złożyłem. I nie widzę w tym niczego, co mogłoby uczynić to bronią. Vincent Klug też nie, ponieważ omawiałem to z nim przed wykonaniem tego prototypu i później. Wiem cholernie dobrze, że nigdy nie miał takiego zamiaru.

— Masz absolutną rację — zgodził się Lars. Ponieważ dlaczego na tym etapie swego

życia producent zabawek Vincent Klug miałby interesować się prawdziwą bronią? Ale późniejszy Vincent Klug...

On wiedział lepiej.

— Jaki jest Klug? — zapytał Pete'a.

Pete wzruszył ramionami.

— Do diabła, widziałeś go. Wygląda tak, że gdyby wbić w niego szpilkę, to strzeliłby jak nadmuchany balon.

— Nie chodzi mi o jego wygląd — powiedział Lars. — Chodzi mi o to, jaki jest w środku. Głęboko; jak wygląda mechanizm, który wprawia go w ruch.

— Jest dziwny, można powiedzieć.

— Dlaczego? — Lars poczuł nagły niepokój.

— No cóż, przypomina mi jeden z projektów, który przyniósł mi dawno temu. Coś, co wiecznie chodziło mu po głowie, ale z czego w końcu zrezygnował. Ku mojej radości.

— Androidy — powiedział Lars.

— Skąd wiesz?

— Co zamierzał robić z androidami?

Pete, z niezadowoloną miną, podrapał się po głowie.

— Nigdy nie mogłem do tego dojść. Ale nie podobał mi się ten pomysł. Powtarzałem mu to za każdym razem.

— To znaczy, że chciał, abyś je budował? Chciał, by Stowarzyszenie Lanfermana wykorzystało swoje doświadczenie w tej dziedzinie i skoncentrowało się na jego projekcie androida, ale z jakichś dziwnych powodów nigdy nie...

— Nie sprecyzował tego. Tak czy owak chciał, by naprawdę były podobne do ludzi. A ja zawsze miałem w związku z tym nieprzyjemne odczucia. — Pete nadal był pochmurny. — Dobrze, przyznaję, Klug jest człowiekiem skomplikowanym. Pracowałem z nim, ale nie udaję, że go rozumiem, i nie bardziej niż kiedykolwiek domyślam się, o co mu chodzi z tym projektem androida. W każdym razie zrezygnował i zajął się... — wskazał na labirynt — ... tym.

No cóż, pomyślał Lars, więc to wyjaśnia szkice androidów Lili.

Generał Nitz, który dotychczas siedział w milczeniu po drugiej stronie stołu, powiedział:

— Osoba, która bawi się tym labiryntem... o ile zrozumiałem to właściwie, on zakłada emocjonalne identyfikowanie się z tym czymś. — Wskazał na maleńkiego mieszkańca, teraz bezwładnego, bowiem labirynt nie był włączony. — Z tym stworzeniem. Co to jest? — Wpatrywał się w nie intensywnie, a Lars po raz pierwszy zauważył, że generał jest krótkowidzem. — Wygląda jak niedźwiedź. Albo jak wenusjański wubek; wiecie, te puszyste zwierzęta, uwielbiane przez dzieciaki... w waszyngtońskim zoo jest fenotypo-

wa enklawa. Boże, dzieciaki nigdy nie są zmęczone przyglądaniem się tej kolonii wubków.

Lars powiedział:

— To dlatego, że wenusjański wubek posiada ograniczoną zdolność telepatyczną.

— Właśnie — zgodził się generał Nitz. — Tak samo jak ziemskie morświny, jak w końcu odkryto; coś takiego nie jest unikatowe. Nawiasem mówiąc to dlatego ludzie mieli wrażenie, że morświny są inteligentne. Nie wiedząc, dlaczego. To...

Lars przesunął przełącznik i puszyste, podobne do wubka czy do niedźwiedzia sympatyczne stworzenie w labiryncie zaczęło się ruszać.

— Patrzcie, jak idzie — mruknął Lars na wpół do siebie.

Pete zachichotał, gdy puchate stworzenie odbiło się jak piłka od bariery, która niespodziewanie ustawiła się na jego drodze.

— Zabawne — powiedział Lars.

— O co chodzi? — zapytał Pete, zaskoczony jego tonem, uświadamiając sobie, że coś jest nie tak.

Lars powiedział:

— Do diabła, to zabawne. Patrzcie, jak walczy, by się wydostać. Teraz spójrzcie na to. — Czytając broszurę, przeciągnął rękoma po obu stronach obudowy labiryntu i znalazł pokrętła. — To z lewej zwiększa stopień trudności labiryntu. I, co za tym idzie, konsternację ofiary. Pokrętło po prawej obniża...

— Ja to zrobiłem — rzekł z naciskiem Pete. — Wiem.

— Lars — powiedział generał Nitz — jesteś wrażliwym człowiekiem. To dlatego nazywamy cię „trudnym”. I dlatego jesteś medium zajmującym się bronią.

— Primadonną — powiedział Lars. Nie odrywał wzroku od podobnej do wubka i niedźwiedzia ofiary, która miotła się w obrębie labiryntu z jego stale zmieniającą się konfiguracją barier.

Lars zapytał:

— Pete, czy w tę zabawkę nie jest wbudowany element telepatyczny? Wywierający efekt na operatora?

— Tak, do pewnego stopnia. O niskiej mocy wyjściowej. Stwarza jedynie umiarkowane wrażenie identyfikacji dziecka, które bawi się labiryntem, z uwięzionym stworzeniem. — Generałowi Nitzowi zaś wyjaśnił: — Rozumie pan, istnieje teoria psychiatryczna mówiąca, że ta zabawka uczy dziecko miłości do innych żywych organizmów. Podsyca wrodzone tendencje, i to pokrętło po prawej pozwala je uzewnętrznić.

— Aczkolwiek — powiedział Lars — jest i drugie. Po lewej.

— No cóż — zaczął protekgnalnym tonem Pete — umieszczenie go było techniczną koniecznością, bo gdybyś miał tylko czynnik zmniejszający trudności, stworzenie wy dostałoby się na wolność. Gra dobiegłaby końca.

— Więc pod koniec — powiedział Lars — aby gra trwała dalej, przestajesz operować pokrętłem obniżania i zaczynasz kręcić tym drugim, a zespół obwodów elektrycznych labiryntu powoduje zwiększanie trudności, przed jakimi stoi uwięzione stworzenie. I tak, zamiast ugruntować skłonności dziecka do współodczuwania, może podbudować tendencje sadystyczne.

— Nie! — sprzeciwił się natychmiast Pete.

— Dlaczego nie?

— Z powodu telepatycznego obwodu empatii. Nie łapiesz tego, ciemniaku? Dzieciak obsługujący labirynt identyfikuje się z ofiarą. Jest nią. To on jest w labiryncie; właśnie na tym polega empatia — wiesz o tym. Do diabła, dzieciak pogarsza położenie tego małego bydłatka z nie większą przyjemnością, niż robiłby krzywdę sobie.

— Ciekaw jestem — zaczął Lars — co by się stało, gdyby tak podwyższać moc wyjściową telepatycznego obwodu empatii.

Pete powiedział:

— Dzieciak utożsamiałby się coraz bardziej. Różnica, na poziomie emocjonalnym, między nim a ofiarą w labiryncie... — Przerwał, oblizwał usta.

— I przypuśćmy — kontynuował Lars — że pokrętła również zostały zmienione w taki sposób, że oba służą, ale w niezbyt wyraźny sposób, wyłącznie zwiększaniu trudności, jakie napotyka ofiara labiryntu. Czy byłoby to możliwe pod względem technicznym?

Po chwili namysłu Pete odparł:

— Jasne.

— A masowa automatyczna produkcja? W dużej ilości?

— Dlaczego nie?

Lars powiedział:

— Ten puszysty wenusjański wubek nie jest ziemskim organizmem, jest dla nas obcy. A jednak z powodu posiadanej zdolności telepatycznej nawiązuje z nami kontakt empatyczny. Czy obwód, taki jak ten w zabawce, oddziaływałby podobnie na każdą wysoko rozwiniętą odczuwającą formę życia?

— To możliwe. — Pete pokiwał głową. — Dlaczego nie? Każda forma życia, która jest inteligentna, by odbierać emanacje, podlegałaby ich wpływom.

— Nawet chitynowa, będąca funkcjonującą częściowo na zasadzie odruchu maszyną? — zapytał Lars. — Forma życia, która rozwinęła się z owadów o chitynowym pancerzu? Nie ze ssaków? Nie z organizmów ciepłokrwistych?

Pete spojrzał na generała Nitza.

— On chce zawyżyć moc wyjściową — powiedział podekscytowany, jękając się z emocji — i wyprzedzić przewody sterowników manualnych tak, żeby operator nie mógł się wyzwolić, gdy będzie chciał, i nie mógł zmniejszyć surowości barier powstrzy-



mujących ofiarę tego cholernego labiryntu... i w rezultacie...

— To mogłoby spowodować — odpowiedział Lars — szybką, całkowitą dezintegrację psychiczną.

— I chcesz, by u Lanfermana zrekonstruowali tę rzecz i wyprodukowali ją w wielkich ilościach w naszym systemie. I rozprowadzili labirynty tam. — Pete wskazał kciukiem w górę. — Brawo. Ale nie możemy rozdać ich obcym z Syriusza czy skąd tam oni są; to wykracza poza nasze...

Generał Nitz powiedział:

— Ależ możemy. Jest sposób. Mnóstwo labiryntów może być dostępnych w centrach populacji, które zdobywają obcy. Więc kiedy dostaną nas, dostaną również je.

— Tak — zgodził się Pete.

Generał Nitz zwrócił się do niego:

— No to szybko! Każ je budować.

Pete ponuro wpatrywał się w podłogę.

— To... — wściekłym gestem wskazał leżący na stole labirynt — ... musi trafić w ich przyzwoitą cechę. W przeciwnym razie nie zadziała. Ktokolwiek to wykombinował, wpływa na gracza wykorzystując pozytywną stronę jego n a t u r y. I to mi się nie podoba.

Czytając broszurę dołączoną do zabawki, generał Nitz powiedział:

— „Psychologiczne wyrafinowanie tej zabawki polega na tym, że uczy ona dziecko miłości i szacunku dla innych stworzeń nie ze względu na to, co one mogą mu zrobić, ale dla nich samych.” — Złożył broszurę, rzucił ją Larsowi i zapytał Pete’a: — Ile czasu to zajmie?

— Dwanaście, trzynaście dni.

— Zrób to w osiem.

— Jasne. Osiem. — Pete zastanowił się, oblizał suchą dolną wargę, przełknął ślinę i dodał: — To jest jak eksplodujący krucyfiks — pułapka.

— Głowa do góry — powiedział Lars. I, manipulując pokrętłami po obu stronach labiryntu, skonfrontował zatrwożoną, puszystą, podobną do wubka ofiarę z malejącym stopniem trudności. Obniżył próg tak bardzo, że zaczęło się wydawać, iż ofiara zdoła dotrzeć do wyjścia.

A wtedy Lars dotknął pokrętła po lewej stronie. Zespół obwodów elektrycznych labiryntu niesłyszalnie uległ zmianie — i na drogę ofiary opadła ostatnia i całkowicie niespodziewana przeszkoda. Zatrzymała ją w chwili, gdy ta właśnie poczuła się wolna.

Lars, operator, związany z zabawką słabym telepatycznym sygnałem, poczuł przenikający go ból — cierpienie nie było dotkliwe, ale wystarczyło, by pożałował, że dotknął pokrętła po lewej stronie. Jednakże było za późno; ofiara labiryntu znów była usidlona.

Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości, pomyślał Lars. Zabawka, jak mówi broszura, uczy współczucia i dobroci.

Ale teraz, pomyślał, nasza kolej nad nią popracować. My jesteśmy kogami, my jesteśmy władcami tego społeczeństwa; w naszych rękach, dosłownie, spoczywa odpowiedzialność za ochronę naszej rasy. Odpowiedzialność za cztery miliardy istot ludzkich, które na nas patrzą. I — my nie produkujemy zabawek.

## 30.

Po tym, jak obcy łowcy niewolników z Syriusza wycofali swoje satelity — pod koniec na ziemskim niebie orbitowało ich osiem — życie Larsa Powderdria zaczęło wracać do normy.

Był zadowolony.

Ale bardzo zmęczony, co uświadomił sobie pewnego ranka, gdy przebudził się w swym nowojorskim mieszkaniu i zobaczył na łóżku obok siebie grzywę ciemnych włosów, które należały do Lili Topczew. Chociaż było mu dobrze — lubił ją, kochał, był szczęśliwy, że jego życie splotło się z jej życiem — wspomniął Maren.

I przestał być zadowolony.

Zsunął się z łóżka, wyszedł z sypialni i udał się do kuchni. Nalał sobie filiżankę stare gorącej i świeżej kawy dostarczanej przez zlemieszowany gadżet podłączony do skądinąd zwyczajnego piecyka.

Usiadł przy stole, sam, i pijąc kawę patrzył przez okno na wysokie budynki na północy.

To byłoby interesujące, dumał, wiedzieć, co Maren powiedziałyby o naszej broni użytej w Wielkiej Wojnie, o tym, w jaki sposób zmusiliśmy obcych do odstąpienia. Jak uczyniliśmy się bezwartościowymi. Przypuszczalnie chitynowi mieszkańcy planet Syriusza nadal są łowcami niewolników, ich satelity nadal krążą po niebach innych ludzi.

Ale nie tutaj.

A NZ-Z Narbez, plus kogi z Wschodniego Oka z całym i c h wyrefinowaniem, nadal zastanawiają się nad wprowadzeniem broni w system samego Syriusza...

Sądzę, pomyślał, że Maren byłaby rozbawiona.

W drzwiach kuchni pojawiła się Lila, w różowej nocnej koszulce, zaspana.

— Dla mnie nie ma kawy?

— Jasne, że jest — powiedział, wyjmując filiżankę i spodek. — Wiesz, skąd pochodzi angielskie słowo to care, troszczyć się? — zapytał, gdy nalał jej kawy z posłusznego zlemieszowanego gadżetu podłączonego do kuchenki.

— Nie. — Usadowiła się przy stole. Skrzywiła się, mierząc złym wzrokiem popielniczkę z niedopałkami wczorajszych papierosów.

— Od łacińskiego słowa *caritas*, które oznacza miłość, szacunek.

— No cóż.

— Święty Hieronim — ciągnął — użył go jako tłumaczenia greckiego słowa *agape*, które oznacza nawet więcej. Lila popijała kawę w milczeniu.

— *Agape* — powiedział Lars, stając przy oknie i patrząc na domy Nowego Yorku — znaczy szacunek do życia; coś w tym rodzaju. Nie ma żadnego angielskiego odpowiednika. Ale pomimo tego posiadamy tę cechę.

— Hmm.

— I — kontynuował — tak samo ci obcy. I to była dźwignia, za którą szarpnęliśmy, by ich zniszczyć.

— Podaj jajko.

— W tej chwili. — Wcisnął guzik na kuchence.

— Czy jajko potrafi — zaczęła Lila, przerywając picie kawy — myśleć?

— Nie.

— Czy może czuć to, co powiedziałeś? *Agape*?

— Oczywiście, że nie.

— Wobec tego — powiedziała Lik, gdy podał jej na talerzu ciepłe, parujące, zwrócone żółtkiem w górę sadzone jajko z piecyka — gdybyśmy zostali napadnięci przez zdolne do uczuć jaja, przegralibyśmy.

— Niech cię lichy.

— Ale ty mnie kochasz. To znaczy, nie masz nic przeciwko; w tym sensie, że mogę być taka, jaka jestem, a ty choć tego nie aprobujesz, jakoś mnie znosisz. Bekon?

Wcisnął jeszcze dwa guziki, po bekon dla niej i tost dla siebie, poza tym kompot jabłkowy, sok pomidorowy, dżem, gorące płatki zbożowe.

— Zatem nie czujesz do mnie *agape* — zdecydowała Lila, gdy kuchenka wydała jedzenie według instrukcji. — O ile, jak powiedziałeś, *agape* znaczy *caritas*, a *caritas* znaczy to *car e*. Nie przejmowałbyś się, na przykład, gdybym... — Zastanowiła się chwilę. — Przypuśćmy — podjęła — że postanowiłam wrócić do Wschodniego Oka, zamiast kierować twoim oddziałem paryskim, jak nalegasz. — Z zadumą dodała: — Żebyś zastąpiła ją jeszcze pełniej.

— Nie dlatego chcę, żebyś poprowadziła moje biuro w Paryżu.

— No cóż... — Jadła, piła, zastanawiając się przez cały czas. — Może nie, ale właśnie teraz, gdy przyszedłam do ciebie, ty wyglądasz przez okno i myślisz: „Jak to by było, gdyby ona nadal żyła”. Mam rację?

Przytaknął ruchem głowy.

— W Bogu nadzieja, że nie obwiniasz mnie za to, co zrobiła.

— Nie winie cię — powiedział z ustami pełnymi gorących płatków. — Po prostu nie rozumiem, dokąd odchodzi przeszłość. Co się stało Maren Faine? Nie chodzi mi o to, co się stało tamtego dnia na górnej rampie, gdy zabiła się tym... — zdusił parę słów, które cisnęły mu się na język — ... to znaczy, tą beretką. Gdzie ona jest? Dokąd odeszła?

— Nie rozbudziłeś się tak do końca. Przemyłeś twarz zimną wodą?

— Zrobiłem wszystko, co miałem zrobić. Po prostu nie rozumiem tego; jednego dnia Maren Faine była, a następnego już jej nie było. A ja znalazłem się w Seattle, chodząc bez celu. Nie widziałem, jak to się stało.

Lila potrząsnęła głową.

— Jakaś część ciebie widziała. Ale nawet gdyby było inaczej, fakt pozostaje faktem: nie ma już żadnej Maren Faine.

Odłożył łyżkę pełną płatków.

— Co mnie to obchodzi? Kocham cię! I dzięki Bogu, uważam, że to niewiarygodne, to nie ty zostałeś zabita przez ten pocisk, jak z początku myślałem.

— Gdyby ona żyła, mógłbyś mieć nas obie?

— Jasne!

— Nie. Niemożliwe. Jak?

— Jakoś bym to rozwiązał.

— Ona w dzień, ja w nocy? Albo ona w poniedziałki, środy i piątki, a ja...

— Umysł ludzki — powrócił do tematu — prawdopodobnie rozwikłałby ten problem, gdyby tylko miał okazję. Rozsądną okazję, bez tej beretty i tego, co zrobiła. Wiesz, co pokazał mi ten stary Vincent Klug, gdy wrócił jako tak zwany wojenny weteran, ten Ricardo Hastings? Że powrót jest niemożliwy. — Pokiwał głową.

— Jeszcze nie — rzekła z naciskiem Lila. — Może za pięćdziesiąt lat.

— Nie obchodzi mnie to — powiedział. — Po prostu chcę ją zobaczyć.

— I co potem?

— Potem wróciłbym do własnego życia.

— I zamierzasz zmarnować pięćdziesiąt czy ileś lat na czekaniu na wynalezienie tego Generatora Zakrzywienia Czasoprzestrzeni.

— W KACH-u sprawdzili dla mnie pewne rzeczy. Nie ulega wątpliwości, że ktoś już przeprowadza podstawowe badania. Teraz, gdy wiadomo, że G.Z.C. będzie istniał, jego skonstruowanie nie potrwa długo.

— Dlaczego — zapytała Lila — nie połączysz się z nią?

Zerknął na nią, przestraszony.

— Nie żartuję. Po co masz czekać pięćdziesiąt lat...

— Obliczyłem... że prawdopodobnie około czterdziestu.

— To też za długo. Dobry Boże, będziesz miał ponad siedemdziesiąt!

— Zgadza się.

— Mój narkotyk — powiedziała cicho Lila. — Pamiętasz; jest zabójczy dla metabolizmu twego mózgu czy jakiegoś innego cholerstwa — w każdym razie wystarczą trzy tabletki; twój nerw błędny przestanie funkcjonować i umrzesz.

Po chwili milczenia przyznał:

— To prawda.

— Nie staram się być okrutna. Ani mściwa. Ale... ale myślę, że zrobienie tego, zażycie trzech tabletek formophane byłoby sprytniejsze i bardziej rozsądne, byłoby lepszym rozwiązaniem niż czekanie przez czterdzieści do pięćdziesięciu lat, niż ciągnięcie życia, które nie ma absolutnie żadnego znaczenia...

— Daj mi pomyśleć. Daj mi parę dni.

— Widzisz — mówiła dalej Lila — nie tylko połączyłbyś się z nią natychmiast, bez czekania przez więcej lat, niż już przeżyłeś, ale rozwiązałbyś swoje problemy tak, jak ona rozwiązała swoje. Również to by was łączyło. — Uśmiechnęła się ponuro. Nienawistnie.

— Zaraz dam ci trzy tabletki formophane — powiedziała i zniknęła w sąsiednim pokoju.

On siedział przy kuchennym stole, wlepiając oczy w talerz stygnących płatków, a potem nagle ona wróciła. Podała mu coś na dłoni.

Wyciągnął rękę, wziął od niej tabletki, wrzucił je do kieszeni w bluzie pizamy.

— Dobrze — oznajmiła Lila. — Więc postanowione. Teraz mogę pójść się ubrać i przygotować do wyjścia. Myślę, że porozmawiam z sowiecką ambasadą. Jak nazywa się ten człowiek? Kiereński?

— Kaminsky. Jest tam szefem.

— Dowiem się przez niego, czy wezmą mnie z powrotem. Mają paru idiotów, których używają w Bułganigradzie jako media, lecz oni nie są za dobrzy, według KACH-u.

Przerwała na moment.

— Ale oczywiście nie będzie tak, jak było. Już nigdy nie będzie tak samo.

## 31.

Trzymał w ręku trzy tabletki formophane i patrzył na stojącą przed nim na stole wysoką, zimną szklankę z sokiem pomidorowym. Próbował odgadnąć — jakby naprawdę to było możliwe — jak to będzie połykać te tabletki tu i teraz, podczas gdy ona — ta dziewczyna w sypialni, jak tam jej na imię — przygotowuje się do wyjścia.

Umarłby, podczas gdy ona wkładałaby sukienkę. To proste, w każdym razie, dla beztroskiej fantazji pozostającej na usługach psychopatycznie wygadanego ludzkiego umysłu.

Lila, ubrana w szarą wełnianą spódnicę i halkę, bosa, zatrzymała się w drzwiach sypialni.

— Jeżeli to zrobisz, nie będę cię żałowała i objiała się przez czterdzieści lat. Nie będę czekała na wynalezienie tego G. Z. C., żeby wrócić do czasu, gdy jeszcze żyłeś. Chcę, żebyś to wiedział, Lars, zanim to zrobisz.

— W porządku. — Nie spodziewał się, że będzie inaczej, więc nie czyniło to różnicy.

Lila, która nadal stała w drzwiach, obserwując go, powiedziała:

— Albo może będę.

Jej ton, jak mu się wydawało, nie był nienaturalny ani wymuszony. Naprawdę szczerze zastanawiała się, jak będzie się czuła, jak to odbierze.

— Nie wiem. Chyba wszystko będzie zależało od tego, czy we Wschodnim Oku przyjmą mnie z powrotem. A jeżeli tak, jakie będzie moje życie. Jeżeli będą traktować mnie tak, jak wcześniej... — Zastanowiła się. — Nie mogłabym tego znieść i zaczęłabym rozpamiętywać, jak było tutaj, z tobą. Więc może będę rozpaczała; tak, chyba będę płakała po tobie, jak ty po niej. — Spojrzała na niego czujnie. — Rozważ ten aspekt, zanim zażyjesz tabletki.

Skinął na zgodę; należało się nad tym zastanowić.

— Naprawdę byłam tu szczęśliwa — kontynuowała Lila. — W niczym nie przypominało to życia w Bułganigradzie. To okropne mieszkanie „wysokiej klasy”, jakie tam miałam... nigdy nie widziałeś, ale było wstrętne. Wschód jest światem bez gustu.



Ruszyła ku niemu, klapiąc bosymi stopami po podłodze.

— Powiem ci coś. Zmieniłam zdanie. Jeżeli nadal mnie chcesz, zajmę się paryskim biurem.

— Co to znaczy?

— Znaczy — odparła zrównoważonym tonem — że zrobię dokładnie to, czego, jak mówiłam, nie zrobię. Zastąpię ją. Nie dla ciebie, ale dla siebie, żebym znów nie wplątała się w to mieszkanie w Bułganigradzie. — Zawahała się i dodała: — Żebym nie wplątała się tak, jak ty, który siedzisz tu w piżamie, z tabletkami w rękę, i próbujesz zadecydować, czy czekać czterdzieści lat, czy załatwić to od razu. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Instynkt samozachowawczy.

— Tak. — Skinął.

— Posiadam go. Ty nie? Gdzie on jest w tobie?

Powiedział:

— Zniknął.

— Nie pojawi się nawet wtedy, gdy przejmę filię w Paryżu?

Sięgając po szklankę z sokiem pomidorowym jedną ręką, drugą włożył do ust trzy tabletki, podniósł szklankę... zamknął oczy, poczuł ustami chłodną krawędź naczynia, i wtedy pomyślał o twardej, zimnej puszcze piwa, którą Lila Topczew dała mu tak dawno temu w Fairfax, gdy się poznali. Kiedy, pomyślał, próbowała mnie zabić.

— Czekaj — powiedziała Lila.

Otworzył oczy, trzymając na języku trzy tabletki. Nie rozpuściły się, bowiem pokrywała je twarda polewa ułatwiająca połykanie.

— Mam — zaczęła Lila — gadżet, zlemieszowany projekt numer... no cóż, nie ma wielkiego znaczenia, z której. Używałeś go wcześniej. Prawdę mówiąc znalazłam go tu, w mieszkaniu. Stary Orvill.

— Jasne — powiedział niewyraźnie z powodu tabletek. — Jaki jest Stary Orvill dzisiaj?

— Poproś go o radę, zanim to zrobisz.

To wydawało się rozsądne. Ostrożnie wypluł nie rozpuszczone tabletki i schował je, lepkie, do kieszeni piżamy. Siedział i czekał, Lila zaś wyszła po gadżet. Po chwili przyniosła skomplikowany elektroniczny były system kierowania, teraz przemieniony w domową zabawkę i krypto — bóstwo, Starego Orvilla. Pozbawioną rysów twarzy małą głowę, z którą, czego Lila nie wiedziała, ostatnio konsultował się w towarzystwie Maren Fame.

Postawiła Orvilla na śniadaniowym stole.

— Słuchaj, Orvill — zagadnął Lars — jak, do diabła, dziś się czujesz? — Ty, który byłeś szkicem projektu broni numer 202, pomyślał. Faktycznie to Maren pierwsza zwróci-

ła na ciebie moją uwagę. Na ciebie i twoje czternaście, a może szesnaście bądź osiemnaście tysięcy zminiaturyzowanych części, ty biedny cudaku. Wykastrowany, jak ja, przez system.

— Świetnie — odparł telepatycznie Stary Orvill.

— Ten sam, ten sam Stary Orvill — powiedział Lars — którego Maren Faine...

— Ten sam, panie Lars.

— Znow masz zamiar cytować mi Ryszarda Wagnera w oryginale? Bo jeśli tak, tym razem to nie wystarczy.

— To prawda. — Myśli Starego Orvilla zarechotały w jego mózgu. — Przyznaję. Panie Lars, czy zechciałby pan zadać mi konkretne pytanie?

— Rozumiesz sytuację, w jakiej się znajduję?

— Tak.

— Powiedz mi, co mam zrobić.

Nastała długa przerwa, w czasie której niewiarygodnie liczne zminiaturyzowane elementy pierwotnego systemu naprowadzania z projektu 202 klekotały pracowicie. Czekał.

— Czy chce pan — zapytał go w końcu Stary Orvill — szczegółowej, w pełni udokumentowanej odpowiedzi ze wszystkimi cytatami, z materiałem źródłowym w attyckiej grece, środkowo — nisko — wysokim niemieckim i łacinie z...

— Nie — przerwał mu Lars. — Konkretnie.

— Jednym zdaniem?

— Albo i mniej. O ile to możliwe.

Stary Orvill odpowiedział:

— Zabierz pan tę dziewczynę, Lilę Topczew, do sypialni, i odbądź z nią stosunek płciowy.

— Zamiast...

— Zamiast się truć — dopowiedział Stary Orvill. — I również zamiast marnowania czterdziestu lat na czekanie na coś, z czego postanowił pan zrezygnować, i co pan zignorował, panie Lars, już wtedy, gdy udał się pan do Fairfax na pierwsze spotkanie z panną Topczew. Już wtedy nie kochał pan Maren Faine.

Cisza.

— Czy to prawda, Lars? — zapytała Lila.

Skinał głową.

Lila powiedziała:

— Stary Orvill jest sprytny.

— Tak — zgodził się. Wstał, odsunął krzesło, podszedł do niej.

— Zamierzasz skorzystać z jego rady? — zapytała Lila. — Ale jestem już na wpół ubrana: musimy być w pracy za czterdzieści pięć minut. Oboje. Nie ma czasu.

Jednakże roześmiała się radośnie, z nieopisaną ulgą.

— O, tak — powiedział Lars. Wziął ją na ręce, ruszył do sypialni. — Jest mało czasu.

— Zatrzasnął nogą drzwi i dodał: — Ale wystarczy.

## 32.

Pod powierzchnią ziemi w niechlujnym, tanim pokoju 2A mieszczącym się w najpaskudniejszym budynku szerokiego kręgu substandardowego osiedla otaczającego Festung Waszyngton, Surley G. Febbs stał przy jednym końcu rozklekotanego stołu, wokół którego siedziało pięcioro osobników.

Pięć różnych, różniących się zdecydowanie osób, plus on sam. Jednakże wszyscy zostali zatwierdzeni przez Univox — 50R, oftejalny komputer rządowy, jako zdolni do reprezentowania autentycznego ogólnego trendu nawyków konsumenckich Zachbloku.

To było sekretne spotkanie sześciorga nowych konkomodatorów.

Febbs, postukując w stół, przesywającym tonem wygłosił:

— Oznajmiam, że zebranie zostało otwarte.

Spojrzał surowo w górę i w dół, by pokazać, kto tu rządzi. Ostatecznie to on sprowadził ich do tego obskurnego pokoju, w sposób najprzezorniejszy z możliwych, z zachowaniem środków ostrożności takich, jakie potrafi wymyślić jedynie wyjątkowo przebiegły (jego) umysł.

Wszyscy byli skoncentrowani — ale nerwowi, ponieważ Bóg tylko wiedział, czy lada chwila, mimo nadzwyczajnej ostrożności przywódcy, Surleya G. Febbsa, w drzwiach nie pojawi się FBI czy CIA albo KACH.

— Jak wiecie — zaczął Febbs, ze splecionymi na piersiach rękoma i szeroko rozstawionymi nogami, aby przekonująco zademonstrować, że jest tu solidnie osadzony, że nie da się stąd wymieść wynajętym dupkom z żadnych instytucjonalnych sił policyjnych — my, sześcioro konkomodatorów, nie powinniśmy znać nawet naszych nazwisk. Dlatego zaczniemy pogawędkę od ich wyrecytowania. — Wskazał na siedzącą najbliższą kobietę.

— Martha Raines — przedstawiła się piskliwie.

Febbs wskazał na następną osobę.

— Jason Gili.

— Harry Markinson.

— Doreen Stapleton.

— Ed L. Jones — rzekł zdecydowanym tonem ostatni mężczyzna, siedzący przy drugim końcu stołu.

I oto chodziło. Mimo praw Zachbloku i jego agencji policyjnych znali się po nazwisku.

Na ironię, od czasu odwołania Stanu Wyjątkowego, NZ-Z — Narbez „pozwolił” im wejść do kremla i oficjalnie uczestniczyć w swoich posiedzeniach. I to dlatego, uświadomił sobie Febbs, spoglądając na piątkę konkomodatorów, że indywidualnie każde z nas niczego nie posiada. Bo to j e s t n i c. I Rada wie o tym. Ale wszyscy razem...

Powiedział rozkazująco:

— Doskonale; zaczynamy. Każde z was przyniosło element tej nowej broni, tej pozycji 401, którą nazywają Molekularnym Inwertorem Fazy Ograniczonej Wiązki. Mam rację? Widziałem papierowe torby i zwyczajne plastikowe pudełka w waszych rękach. Racja?

Pięcioro konkomodatorów odpowiedziało mu mamrotanym „tak, panie Febbs”, albo skinieniem, albo jednym i drugim. Wszyscy położyli swoje pakunki na stole, na widoku, jako wyraz odwagi.

Febbs ostrym, przeładowanym emocjami głosem poinstruował:

— Otwórzcie je. Zobaczymy zawartość!

Drżącymi palcami otworzono papierowe torby i pudełka.

Na stole spoczęło pięć elementów. Po złożeniu (zakładając, że ktoś w tym pokoju zdoła to zrobić), miały stworzyć śmiercionośny Molekularny Inwertor Fazy Ograniczonej Wiązki.

Taśmy pokazujące MIF w akcji, nagrane w olbrzymich podpowierzchniowych poziomach doświadczalnych Stowarzyszenia Lanfermana wykazywały, że w żaden sposób nie można się przed nim obronić. A cała Rada NZ-Z Narbez-u, łącznie z sześcioma wreszcie dopuszczonymi konkomodatorami, solidnie je przestudiowała.

— Zadanie — oznajmił Febbs — połączenia tych komponentów i stworzenia oryginalnego modelu naturalnie spoczywa na mnie. Osobiście biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność. Jak wszyscy wiecie, następne formalne spotkanie Rady odbędzie się za tydzień od dnia dzisiejszego. Mamy więc mniej niż siedem dni na przygotowanie Molekularnego Inwertora Fazy Ograniczonej Wiązki, pozycja 401.

Jason Gili pisnął:

— Mamy tu tkwić, gdy pan będzie go składał, panie Febbs?

— Skoro tego pragniecie — odparł Febbs.

Ed Jones zapytał:

— Czy możemy zgłaszać propozycje? Przyczyną, dla której o to pytam, jest, rozumie pan, moja praca w prawdziwym życiu — to znaczy przed zostaniem konkomodatorem. Byłem awaryjnym elektrykiem w GE w Detroit. Znam się więc trochę na elektronice.

— Możecie zgłaszać propozycje — zdecydował Febbs po namyśle. — Pozwalam. Ale rozumiecie nasz uświęcony pakt. Jako organizacja polityczna przyjęliśmy zasadę akceptowania decyzji naszego wybranego przywódcy bez krępujących biurokratycznych ograniczeń. Racja?

Wszyscy wymruczeli zgodnie „racja”.

Tym nieskrępowanym, niezbiurokratyzowanym wybranym przywódcą był oczywiście Febbs. Stał na czele ich tajemnej politycznej rewolucyjnej organizacji, którą (po długiej debacie) nazwano złowieszczą BKWOPRW — WPMEWRPS, Benafaktorzy Konstytucyjnej Wolności Odbieranej Pod Rządami Współczesnej Władzy Przez Małą Elitę W Razie Potrzeby Siłą. Komórka Jeden.

Biorąc komponent swój i Eda Jonesa, Febbs usadowił się na krześle, sięgnął do skrzynki nowiutkich narzędzi, w które zdołał zaopatrzyć się wielkim kosztem. Wyjął długi, smukły, izolowany niemiecki wkrętak z autonomicznym mechanizmem obracającym go w stronę zgodną albo przeciwną do ruchu wskazówek zegara (w zależności od sposobu, w jaki naciskało się plastikową rączkę), i przystąpił do pracy.

Pozostali członkowie organizacji z uszanowaniem przyglądali się jego poczynaniom.

Godzinę później Surley G. Febbs, przerywając pracę dla zaczerpnięcia tchu, stęknął, otarł chusteczką pot z czoła i stwierdził:

— To potrwa jakiś czas. Nie jest łatwe. Ale uda się.

Martha Raines rzekła nerwowo:

— Mam nadzieję, że żaden krążący na chybił trafił monitor policyjny nie przeleci nad nami i nie wychwyci naszych myśli.

Jones wskazał grzecznie na elementy broni i powiedział:

— Hm, wydaje mi się, że ten kawałek pasuje do tego szablonu. Widzi pan, gdzie są dziurki?

— Możliwe — przyznał Febbs. — To przypomina mi o czymś, co zamierzałem poruszyć później. Ale skoro i tak przerwałem na chwilę, równie dobrze mogę powiedzieć wam teraz. — Popatrzył na nich, aby upewnić się, czy wszyscy poświęcają mu niepodzielną uwagę, a potem przemówił z autorytetem tak wielkim, jak tylko możliwe. Biorąc pod uwagę jego zdolności i wiedzę, był to bardzo wielki autorytet. — Chcę, żebyście uważali Komórkę Jeden za dokładny model socjoekonomicznej, politycznej struktury społeczeństwa, które założymy w miejscu obecnego, styranizowanego, rządzonego przez uprzywilejowaną elitę kogów.

— Powiedz im, Febbs — zachęcił Jones.

— Tak — zgodził się Jason Gili. — Posłuchajmy jeszcze raz! Lubię tę część mówiącą o tym, co się stanie, gdy wyrzucimy ich z biura za pomocą projektu 401.

Febbs, z najwyższym opanowaniem, kontynuował:

— Wszyscy członkowie Rady NZ-Z Narbez-u oczywiście zostaną postawieni przed sądem jako kryminaliści. Zgadzą się co do tego.

— Tak!

— To Artykuł A naszej Konstytucji. Ale co do reszty kogów, szczególnie tych sukinyńców komuchów ze Wschodniego Oka, z którymi kumpluje się ten zdrajca generał Nitz... Tak ten marszałek Paponowicz czy jak mu tam. No cóż, jak wyjaśniłem wam na naszym ostatnim spotkaniu...

— Racja, Febbs!

— ... naprawdę to załatwimy. Oni są najgorsi. Ale przede wszystkim musimy opanować, i zażądać absolutnego posłuszeństwa, ponieważ jest to czynnikiem taktycznie decydującym, najpierw musimy uzyskać kontrolę nad CAŁOŚCIĄ PODPOWIERZCHNIOWYCH INSTALACJI LANFERMANA W KALIFORNII, ponieważ jak wszyscy wiemy, to stamtąd pochodzi nowa broń, jak ta 401, którą tak głupio przekazali nam dla — ha — ha — zlemieszowania. Chodzi mi o to, że nie chcemy, by budowali ich więcej.

Martha Raines zapytała nieśmiało:

— A co zrobimy po tym, jak, ach, opanujemy Stowarzyszenie Lanfermana?

Febbs odparł:

— Wtedy aresztujemy tę ich wynajętą marionetkę, tego Larsa Pawderdrya. A potem zmusimy go do zaprojektowania broni dla nas.

Odezwał się Harry Markinson, biznesmen w średnim wieku obdarzony pewną dozą zdrowego rozsądku.

— Ale ta broń, dzięki której wygraliśmy to, co teraz nazywa się „Wielką Wojną” z...

— Do rzeczy, Markinson.

— Ta broń, uch, nie została zaprojektowana przez Lars Incorporated. Początkowo była labiryntem wymyślonym przez jakieś niekogowskie zakłady wyrabiające zabawki, Klug Enterprises. Więc — czy nie musimy strzec się tego Kinga...

— Słuchaj — rzekł cicho Febbs. — Powiem ci, że to prawdziwa bomba. Ale teraz jestem zajęty.

Wziął mały szwedzki śrubokręt zegarmistrzowski i na powrót zajął się składaniem broni 401. Nie zwracał najmniejszej uwagi na piątkę konkomodatorów. Nie było czasu na gadanie; zadanie musiało zostać wykonane, skoro chcieli, aby ich błyskawiczny zamach na elitę kogów zakończył się powodzeniem. A tak być musiało.

Trzy godziny później, gdy większość komponentów (prawdę mówiąc wszystkie z wyjątkiem ostatniego, dziwnego, skręconego jak gęsia szyja dyniowatego czegoś) była już złożona, gdy Febbs był mokry od potu, a pozostali konkomodatorzy odchodzili od zmysłów, nudzili się albo zamartwiali, w zależności od temperamentu, rozległo się pukanie do drzwi. Szokujący dźwięk sprawił, że w pokoju nagle zapadła grobowa cisza.



Febbs burknął lakonicznie:

— Sam się tym zajmę. — Ze skrzynki z narzędziami wyjął cudownie wyważony szwajcarski młotek z chromowanej stali i powoli przeszedł przez pokój, mijając pobladłych, zeszywniałych konkomodatorów. Przekręcił klucz, zdjął łańcuchy, wysunął zasuwę, otworzył potrójnie zabezpieczone drzwi, czemu towarzyszyło skrzyknięcie zawiasów, i zerknął w mrok korytarza.

Stał tam autonomiczny robot dostawczy błyszczący jak nowy.

— Tak? — mruknął pytająco Febbs.

Robot zaterkotał:

— Paczka dla pana Surleya Granta Febbsa. Przesyłka polecona. Proszę podpisać tutaj, jeżeli jest pan panem Febbsem, albo, jeżeli nie jest pan panem Febbsem, w drugiej linijce. — Podsunął formularz, pióro i płaską powierzchnię na swym korpusie, na której można było pisać.

Febbs odłożył młotek i odwrócił się na chwilę do konkomodatorów.

— W porządku. Prawdopodobnie dalsze zamówione przez nas narzędzia. — Podpisał formularz i autonomiczny robot dostawczy podał mu owiniętą w szary papier paczkę.

Febbs zamknął drzwi, stał przez chwilę trzymając paczkę w drżących dłoniach, potem wzruszył ramionami w akcie odważnego wyzwania.

— Pan to masz mocne nerwy, Febbs — oznajmił Ed Jones, wyrażając opinię grupy. — Byłem pewien, że to Einsatzgruppe KACH-u.

— Moim zdaniem — powiedział Harry Markinson z nieopisaną ulgą — wyglądało, że to ta cholerna sowiecka tajna policja, KVB. Mam szwagra w Estonii...

Febbs przerwał mu.

— Nie są dość sprytni, by nas namierzyć. Historia się z nimi rozprawi, oceniając ich ewolucyjną drogę do form wyższych.

— Tak — zgodził się Jones. — Wystarczy spojrzeć, ile czasu zajęło im stworzenie broni do pokonania obcych łowców niewolników z Syriusza.

— Niech pan otworzy paczkę — zaproponował Markinson.

— W swoim czasie — odparł Febbs. Wpasował dynio-podobne coś we właściwe miejsce i wytarł mokre, parujące czoło.

— Kiedy zadziałamy, Febbs? — zapytał Gili. Wszyscy siedzieli z oczyma wbitymi w przywódcę, czekając na jego decyzję. On, świadom tego, czuł się odprężony. Napięcie minęło.

— Myślałem... — zaczął Febbs w swój najbardziej febbowski sposób. Faktycznie głęboko rozmyślał. Podniósł broń, projekt numer 401, i położył rękę na spuście.

— Potrzebowałem was pięciorga — podjął — ponieważ musiałem uzyskać wszystkie sześć komponentów składających się na tę broń. Jednakże...

Naciskając spust zdemolekularyzował, za pomocą szerokokątnego nastawienia wią-

ki o odwróconej fazie emanującej z lufy broni, pięcioro konkomodatorów, którzy siedzieli tu i tam wokół rozklekotanego stołu.

Stało się to bezgłośnie. Natychmiastowo. Jak się spodziewał. Taśmy audio — video z laboratoriów Lanfermana pokazane Radzie, podkreślały te użyteczne aspekty działania pozycji 401.

Pozostał tylko Surley G. Febbs. Uzbrojony w najbardziej nowoczesną, najmodniejszą, wysoko zaawansowaną, bezdźwięczną, natychmiastową broń na Ziemi. Przeciw której jeszcze nikt nie znał obrony... nawet Lars Powderdry, zajmujący się wymyślaniem właśnie takich rzeczy.

I pan, panie Lars, powiedział do siebie Febbs, jest następny.

Ostrożnie odłożył broń i zapalił papierosa. Ręce mu nie drżały. Żałował, że w pokoju nie ma już nikogo, kto mógłby podziwiać jego racjonalne, precyzyjne ruchy — w każdym razie nikogo poza nim.

A potem, ponieważ oczywiście teraz miał czas, podniósł paczkę w szarym papierze, przyniesioną przez autonomicznego robota dostawczego, i położył ją tuż przed sobą. Rozpakowywał ją, powoli, leniwie, angażując swój nieskończenie subtelny umysł w rozmyślania o przyszłości, którą miał w zasięgu ręki.

Był naprawdę zaskoczony tym, co znalazł w opakowaniu. Nie były to dodatkowe narzędzia. Nie było to nic, co zamówił on czy obecnie nie istniejąca organizacja BKWOPRWWPMEWRPS, Komórka Jeden.

Prawdę mówiąc była to zabawka.

A dokładnie, jak stwierdził po podniesieniu wieczka kolorowego, zabawnego pudełka, był to produkt tej drobnej firmy zabawkarskiej, Klug Enterprises. Jakaś gra.

Dziecięcy labirynt.

Poczuł, natychmiast, na poziomie instynktu — ponieważ ostatecznie nie był zwyczajnym człowiekiem — ostre, dojmujące, intuicyjne przerażenie. Ale nie na tyle ostre, dojmujące czy intuicyjne, by mogło go skłonić do odrzucenia pudełka. Odebrał impuls. Ale nie zareagował na niego — ponieważ był ciekawy.

Już widział, że nie jest to zwyczajny labirynt. Intrygował jego wyjątkowo subtelny, bystry umysł. Przyciągał go tak, że nie mógł oderwać od niego oczu. Potem zainteresował się instrukcją umieszczoną wewnątrz pokrywki pudełka.

— Jest pan wiodącym konkomodatorem świata — rozbrzmiał w jego głowie telepatyczny głos, który emanował z samego labiryntu. — Pan Surley Grant Febbs. Racja?

— Racja — przytaknął Febbs.

— To pan — kontynuował telepatyczny głos — zdecydował, że każdy wprowadzany na rynek towar musi być wart zachodu konsumenta. Racja?

Febbs, będąc z natury ostrożny, poczuł lekkie zaniepokojenie, niemniej jednak skinął głową.

— Tak, więc o to chodzi. Muszą przyjść do mnie pierwsi. Na tym polega moja robota w Radzie, jestem aktualnym konkomodatorem A. Dlatego dają mi ważne składniki.

Telepatyczny głos powiedział:

— Vincent Klug z Klug Enterprises, małej firmy, chciałby, panie Febbs, żeby wypróbował pan tę nową grę, „Człowiek w Labiryncie”. Proszę zdecydować, czy pańskim zdaniem eksperta jest ona gotowa do wypuszczenia na rynek. Dołączono formularz, w którym może pan umieścić swoje uwagi.

Febbs wyjąkał:

— To znaczy, że chcecie, abym się tym pobawił?

— Właśnie tego chcemy. Proszę wcisnąć czerwony guzik po prawej stronie labiryntu.

Febbs wcisnął czerwony guzik.

Małe stworzenie w labiryncie wrzasnęło z przerażenia.

Febbs drgnął przestraszony. Stworzonko było puszyste i sympatyczne. Przemawiało nawet do niego. Normalnie nie cierpiał zwierząt. Nie wspominając o ludziach. Zaczęło biegać szaleńczo w labiryncie, szukając wyjścia.

Łagodny telepatyczny głos kontynuował:

— Zauważy pan, że ten produkt, opracowany dla rynku wewnętrznego i wkrótce wytwarzany na szeroką skalę — o ile pomyślnie przejdzie takie początkowe testy — nosi uderzające podobieństwo do słynnego Empatyczno — Telepatycznego Labiryntu Pseudononhomo Ludens wymyślonego przez Klug Enterprises i wykorzystanego ostatnio jako broń. Racja?

— T-tak. — Ale jego uwaga nadal była skoncentrowana na mozole małego puszystego stworzonka. Miało ono straszne problemy, z każdą sekundą stawało się coraz bardziej zdezorientowane i coraz bardziej zagubione w drogach i skrótach labiryntu.

I im usilniej próbowało, tym głębiej się wikało. To nie w porządku, pomyślał, czy raczej poczuł, Febbs. Doświadczał udręki stworzonka i ta udręka była zatrważająca. Coś trzeba było z tym zrobić, i to zaraz.

— Hej — zaczął słabo. — Jak mam wydostać tego zwierzaka, czy czym to tam jest?

Telepatyczny głos poinformował:

— Po lewej stronie labiryntu znajdzie pan guzik w wesołym niebieskim kolorze. Niech go pan wcisnie, panie Febbs.

Zrobił to z ochotą.

Natychmiast poczuł, albo wyobraził sobie, że czuje (co? Różnica jakby wyparowała) zmniejszenie przerażenia paraliżującego schwytną w pułapkę zwierzątko.

Ale prawie w tej samej chwili strach wrócił — i tym razem zaatakował z odświeżoną, nawet zwiększoną siłą.

— Chciałby pan — powiedział telepatyczny głos — wydostać człowieka z labiryntu.

tu. Nieprawdaż, panie Febbs? Bądźmy szczerzy. Niech pan nie oszukuje samego siebie. Mam rację?

— Racja — wyszeptał Febbs, kiwając głową. — Ale to nie jest człowiek, prawda? To znaczy, to tylko robak czy zwierzę, czy co tam innego. Co to jest?

Musiał wiedzieć. Usilnie pragnął usłyszeć odpowiedź. Może zdołam je wyjąć, pomyślał. Albo wrzasnąć na niego. Jakoś porozumieć się z nim, żeby wiedziało, jak się wy dostać i że jestem tutaj, próbując mu pomóc.

— Hej! — zawołał do stworzenia, które miało się od jednej bariery do drugiej, gdy struktura labiryntu ulegała nieustannym zmianom, zawsze wyprzedzającym je o krok. — Kim jesteś? Czym jesteś? Masz jakieś imię?

— Mam imię — odmyślało szaleńczo schwyte w pułapkę stworzenie, łącząc się z nim, przelewając na niego swoją udrękę. Podzieliło się z Surleyem G. Febbsem desperacko i z przyjemnością.

Poczuł się usidlonny; nie patrzył w dół na labirynt, ale... widział bariery przed sobą. Był...

Był stworzeniem w labiryncie.

— Nazywam się... — pisnął, przerażony, do ogromnej, nie w pełni pojmwanej, górującej ponad nim istoty, której powierzchowność, postawę, wyczuwał przez chwilę. Ale teraz wydawało się, że ten ktoś zniknął. Już nie potrafił go zlokalizować. Znow był sam, stawiając czoło przesuwającym się ze wszystkich stron ścianom.

— Nazywam się — pisnął — Surley G. Febbs i chcę stąd wyjść! Słyszysz mnie, kimkolwiek jesteś? Czy możesz coś dla mnie zrobić?

Nie było odpowiedzi, nie było niczego, nikogo, u góry.

Miało się samotnie.

## 33.

O piątej trzydzieści rano Don Packard, szef KACH-u z Siedemnastego Wydziału Miasta Nowy York, nadal siedział przy biurku we własnym mieszkaniu i z mikrofonem w ręku dyktował notatki, które miały znaleźć się w dokumentach rozesłanych w ciągu nowego, rozpoczynającego się właśnie dnia zwyczajnych, normalnych mężczyzn i kobiet.

— W związku z konspiracją obejmującą sześcioro niedawno włączonych do Rady NZ-Z Narbez-u konkomodatorów — powiedział do mikrofonu, po czym przerwał na chwilę, by napić się kawy. — Ta zakonspirowana organizacja już nie istnieje. Jej pięćoro członków zostało barbarzyńsko wyeksterminowanych przez przywódcę, S. G. Febbsa. Sam Febbs obecnie znajduje się w stanie permanentnego cofnięcia psychotycznego.

Klient, generał George Nitz, wymagał jedynie takiej informacji, jednakże Donowi Packardowi wydała się ona niewystarczająca. Postanowił ją rozszerzyć.

— Wczoraj o jedenastej przed południem, 12 maja, 2004, jak ujawniły urzędnicy monitorujące KACH-u, konspiratorzy spotkali się w podpowierzchniowym pomieszczeniu 2A w Festung Waszyngton, budynek 507969584. Było to ich czwarte spotkanie, ale po raz pierwszy i jedyny każde z nich przyniosło z sobą element broni (projekt 401). Nie wymieniam nazwisk sześciorga konspiratorów, gdyż są one Radzie znane. Składanie broni będącej pierwszą bronią nowego wariantu, zostało rozpoczęte przez S. G. Febbsa z wykorzystaniem precyzyjnych narzędzi nabytych ogromnym kosztem.

W czasie składania broni pozycja 401 S. G. Febbs nakreślił współkonspiratorom polityczne i ekonomiczne podstawy radykalnego nowego systemu, który zaproponował wnieść w miejsce starego, łącznie z wymordowaniem doskonale znanych postaci publicznych.

Don Packard zamilkł raz jeszcze i znów łyknął kawy. Po chwili podjął dyktowanie. W trakcie mówienia stojący przed nim aparat automatycznie rejestrował jego słowa w formie dokumentu pisanego.

— O czwartej po południu normalny robot dostarczył zwyczajnie opakowaną przesyłkę poleconą do mieszkania 2A w segmencie budynku 507969584. S. G. Febbs odebrał

paczkę i nie otwierając jej powrócił do składania broni. Po jej złożeniu S. G. Febbs, jak już zazaczyłem (patrz wyżej) zdeintegrował pięcioro współkonspiratorów, pozostając w ten sposób jedynym posiadaczem niedawno wypróbowanego modelu roboczego broni 401, jedyne istniejącego modelu.

Don Packard ponownie napił się kawy. Był zmęczony, ale już prawie kończył. Niedługo będzie mógł zanieść kopię dyktowanego dokumentu generałowi Nitzowi. To była tylko rutyna.

— S. G. Febbs zaczął manipulować Empatycznie — Telepatycznym Labiryntem jak — mu — tam i wkrótce uległ, stając się jego ofiarą — prawdę mówiąc, w niezwykle krótkim czasie, bijąc rekord ustanowiony przez więźniów — ochotników z federalnego więzienia Zachłoku na Callisto. S. G. Febbs — stwierdził na zakończenie Packard — obecnie przebywa w klinice Wallingford, gdzie pozostanie przez czas bliżej nie określony. Jakkolwiek...

Urwał i spojrzał z zadumą na kubek kawy. Skoro jego klientem był generał Nitz, skonkludował raport przypiskiem zawierającym uwagi własne.

— Wydaje się — zaczął po namyśle — że skoro, wskutek ostatniego Stanu Wyjątkowego, Vincent Klug obecnie posiada stały, legalny dostęp do jedynej w swoim rodzaju olbrzymiej sieci produkcyjnej Lanfermana w Kalifornii, i może w ilości, w jakiej tylko zapragnie rozprowadzać te cholerne labirynty różniące się od oryginalnej broni, która okazała się tak skuteczna w walce z obcymi z Syriusza, to może korzystnie byłoby wyposażyć go w coś, co tak wspaniale służyło Radzie w przeszłości: honorowy, ale absolutnie prawnie obowiązujący patent oficera sił zbrojnych Zachodniego Bloku. Tym samym, w razie potrzeby...

Przerwał, ale tym razem nie z własnej woli.

Dzwonek przy drzwiach jego drogiego, zastrzeżonego, leżącego wysoko mieszkania zadźwięczał przeraźliwie. Jeszcze nie było szóstej. Dziwna pora.

No cóż, niewątpliwie posłaniec z Rady, która jak najszybciej chciała otrzymać jego raport na temat konspiracji sześciorga konkomodatorów.

Jednakże za drzwiami nie zobaczył adiutanta w mundurze. W holu stał robot dostawczy, błyszczący jak nowy, z opakowaną w zwyczajny szary papier paczką pod pachą.

— Pan Don Packard? Mam dla pana przesyłkę poleconą.

Do diabła, co to jest? — zapytał się w myślach zirytowany Packard. Właśnie wtedy, gdy miał zamiar skończyć robotę i trochę odpocząć.

— Proszę podpisać tutaj — powiedział robot — jeżeli jest pan panem Packardem, albo w drugiej linii, jeżeli nie jest pan panem Packardem. — Podsunął formularz, pióro i płaską powierzchnię na własnym korpusie, na której można było pisać.

Don Packard z prywatnej agencji policyjnej KACH, otępiały i prawie nie widzący na

oczy po długiej nocy nieustannej i bogatej w wydarzenia ciężkiej pracy, podpisał kwit i odebrał przesyłkę. Przypuszczam, że to dalszy sprzęt monitorujący albo rejestrujący, powiedział do siebie. Wiecznie „ulepszają” te denerwujące technologiczne wynalazki, które musiał z sobą targać.

W złym humorze zaniósł paczkę na biurko.

I otworzył ją.



## SPIS TREŚCI

1.	3
2.	9
3.	15
4.	20
5.	26
6.	33
7.	38
8.	46
9.	51
10.	58
11.	63
12.	68
13.	74
14.	80
15.	84
16.	92
17.	96
18.	102
19.	107
20.	111
21.	115
22.	122
23.	124

24.	126
25.	129
26.	135
27.	141
28.	144
29.	149
30.	155
31.	159
32.	163
33.	171